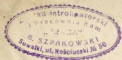


5002

FRANK HELLER



WODZ  
MNI  
NA  
POKUSZENIE



3003

3003

N 1592

SKŁAD  
I SKŁAD  
PISMIENNYCH  
S. i J. Zielonkówien.

Buwańki, ul. Kocuzki 24.

---



25

3103



387

W 1582

KSIĘGARNIA  
 I SKŁAD  
 PIŚMIENNYCH  
 S. i J. Zielonkówien  
 Bywańki, ul. Kosciuszki 84.

---

# DZIEŁA FRANKA HELLERA

---

Collin, bohater F. Hellera, jest niepospolitym, niespotykanym dotychczas w literaturze sensacyjnej typem przestępcy w wielkim stylu, z szerokim gestem i o wybitnej, genialnej niemal inteligencji.

Dzieła Frank Hellera, aczkolwiek tłumaczone na różne języki, nie są typem tej najłatwiejszej literatury sensacyjnej. Dopiero przy wczytaniu się w książki utalentowanego szwedzkiego pisarza, czytelnik ocenia subtelny dowcip, „ironiczne na świat spojrzenie” i śmiałość rozwiązywania nieoczekiwanych sytuacji.

W przekładzie polskim ukażą się w nakładzie  
„R O J U”:

1. Przygody Filipa Collin.
2. Finanse Wielkiego Księcia.
3. Lavertisse wygrywa główny los.
4. Żółta i zielona nić.
5. Tysiąc i druga noc.
6. Pan Collin jest zrujnowany.
7. Wakacje Karola Bertila.
8. Ekspres Syberyjski.
9. Siedem przygód Odysseusza.
10. Collin contra Napoleon.
11. Wódz mnie na pokuszenie.
12. Małżeństwo Jassufa Chana.

---

TOW. „R Ó J” WARSZAWA, KREDYTOWA 1.

FRANK HELLER

WÓDŹ MNIE  
NA POKUSZENIE

*cena*

*5,60*

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA

*przekazył*

JAN MAŃSKI

*H 1592*

*H 1592*

ZBIÓRKA  
I SKŁAD NARZĘDZI  
PIŚMIENNYCH

S. i J. Zielonkównien

Szwajki, ul. Kosciuszki 84

W A R S Z A W A — 1 9 3 1

NAKŁADEM TOW. WYDAWNICZEGO „RÓJ”.



21.113.6-3



Uprasza się o nie niszczenie

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*w którym słońce oświeca adjunkta Quillandera.*

Młodzieniec piszący wypracowanie ma zgóry powzięty rozkład swej pracy; wódz wydający bitwę posiada plan strategiczny; a człowiek pragnący pożyczyć pieniędzy i poszukujący wierzyciela ma serce pełne kombinacyj i zamysłów, — resztę wypełnia strach. Idzie jak do dentysty. Jego ruchy są powolne; robi wszystko dokładnie i wytwornie. Nawet to czego unika wzbudza w nim przesadne zaciekawienie; zatrzymuje się, żeby głaskać małe, brudne psy, zdmuchuje niedostrzegalne pyłki z rękawa, przysłuchuje się uważnie piosence ulicznej, gwizdanej przez zasmarkanego ulicznika. Ale w gruncie rzeczy słyszy tylko niespokojne bicie swego serca. Czy odmówi? I od czego zacząć?

Adjunkt Quillander tak często odbywał drogę do Cannossy, że stąpał już po własnych śladach; zazwyczaj udawało mu się; miał wprawę w zastawianiu pułapek na wystraszonych wierzycieli; a jednak serce mu biło przy pięćdziesiątym wekslu tak samo jak przy pierwszym. Mocniej nawet, bo pierwsze weksle wystawia się w okresie młodzieńczej lekkomyślności; powściągi natury ekonomicznej przychodzą później.

Można być zonglerem, zmuszonym kontraktem do

ciągłego ustawiania w piramidę filiżanek i noszenia ich na nosie. Ale żongler ekonomiczny zawiera kontrakt z diabłem i zerka coraz niespokojniej, obserwując czy piramida nie pada. Czy zaproponować mu mówienie sobie „ty“? Czy wprost przystąpić do rzeczy, czy iść okrężnymi drogami? Czy być ożywionym, opowiadać anegdoty, bawić go, czy też wziąć go w sposób poważny? Czy zaryzykować pięćset, czy poprzestać na trzystu? Te pytania powtarzają się w sercu poszukiwacza pożyczki, gdy stoi na skrzyżowaniu ulic Canossy i jak urzeczony gapi się na schody.

Pewnego czerwcowego dnia na tem skrzyżowaniu ulic stanął adjunkt Quillander. Miał on za sobą piętnaście lat studjów uniwersyteckich. Był adjunktem łaciny i historii. Wyglądał okazale jak biskup; w ramionach był szeroki i imponujący, twarz miał surową i otyłą. Ale w głębi jego duszy panowała bezradność i zwątpienie. O pożyczce rozmawiał już bezskutecznie z adjunktem Schornem.

— Weksel tem się tylko różni od ameby — mówił adjunkt Quillander — że ameba może w nieskończoność przedłużać swą egzystencję przez podział samej siebie a weksel, pomimo najlepszych chęci, nie jest do tego zdolny.

— Przypuszczam, że nie — odpowiedział adjunkt Schorn dłubiąc w nosie.

Adjunkt Schorn dłubał w nosie, powodowany do tego względami higieicznymi. Od młodości toczył wojnę z bakcyłami o wyrugowanie ich z kanału nosowego i z szyjek butelek od piwa. Jego kanał nosowy był zawsze czysty, i nigdy nie tknął butelki piwa przed wydezyufckowaniem jej szyjki za pomocą małego palca. Adjunkt Schorn był niskiego wzrostu i miał okrągłe, melancholijne, żabie oczy. Był socjal-demokratą, wrogiem konserwatywnych rządów i przyjacielem maluczkich

w społeczeństwie. „Masz słabość do niższych klas społecznych“, ze zdumieniem mówił adjunkt Quillander. Do małych w społeczeństwie zaliczał adjunkt Schorn również białe i czerwone ciała krwi, które podczas pracy wspierał głębokim oddechem.

— Jutro — powiedział adjunkt Quillander — upływa ostatni termin płatności czterech weksli na sumę czterystu koron. Z początku był to tylko jeden weksel z podpisami Kjellquista, Sternera, Petréna i Alindera. Kiedy mi się po raz pierwszy rozmnożył, powiedziałem sobie, że widać już tak być musi. Podzieliłem go na dwa weksle na łączną sumę trzystu pięćdziesięciu koron, jeden z podpisami Kjellquista i Sternera, drugi — Petréna i Alindera. Jest to metoda, przy której pomocy ameby przedłużają sobie życie. Później dwa weksle na sumę 350 koron rozmnożyły się przez podział na cztery nowe na łączną sumę 400 koron. W rezultacie, jutro upływa ostatni termin płatności czterech obligów na 400 koron, i bank żąda albo gotówki albo prolongaty. Co robić? Czyż mam Alindera, Kjellquista, Sternera i Petréna podzielić, w myśl troistości filozoficznego podziału człowieka, na ciało, duszę i ducha i wystawić dwanaście nowych weksli na sumę 450 koron? Sądzę, że mi się to nie uda.

— Nie — zgodził się adjunkt Schorn.

— Nie — powtórzył adjunkt Quillander i odsunął wtył poły surduta, jak gdyby pragnął dać ujście ogarniającemu go natchnieniu. — To się nie uda, a opłacić prolongaty nie jestem w stanie. Oczywiście, sumy również nie mogę spłacić, dlatego też tu stoję. On mieszka tam po drugiej stronie. On jedynie może mnie uratować.

Adjunkt Schorn westchnął, nie myśląc tym razem o ożywieniu czerwonych ciałek krwi.

— Czy twój wuj nigdy nie umrze? — zapytał.

Adjunkt Quillander wzruszył ramionami. Całe ciało

nauczycielskie marzyło już od dawna o tem, by ujrzeć na klepsydrze nazwisko Fredrika Quillandera, jak ziarno w czarnej lupinie. Fredrik Quillander był kawalerym, i w trosce o zabezpieczenie bytu swego siostrzeńca najszczerzem jego życzeniem było umrzeć i wszystko mu zapisać. Srogi los jednakże już wiele lat odmawiał mu spełnienia tego skromnego życzenia.

— Mieszka tam naprzeciwko — powtórzył adjunkt Quillander zamiast odpowiedzi.

— Nie mogę zażywać twoich weksli — powiedział adjunkt Schorn z nowem westchnieniem.

Adjunkt Quillander zrobił surową minę.

— Jesteś „socjal“, czy nie? — zapytał. — Chcesz przyspieszyć światową katastrofę ekonomiczną, czy nie?

Adjunkt Schorn odpowiedział trzeciem westchnieniem, które odświeżyło tlenem jego ciała krwi. Adjunkt Quillander zapalił cygaro, które w ciągu pięciu minut trzy razy mu gasło, i jeszcze raz powtórzył:

— Tam mieszka, po drugiej stronie! W nim moja cała nadzieja. On dotąd nigdy jeszcze nie podpisał weksła.

— Widziałem go dzisiaj — rzekł niespodzianie adjunkt Schorn. — Miał taką rozradowaną minę. Czyż on nigdy nie miał kłopotów finansowych?

— Gdybyż to było możliwe! — krzyknął adjunkt Quillander, całkiem rozszłoszczony na swego niedoszłego ży-ranta. — Żyje jak mnich, nigdzie nie wychodzi i, jak wszyscy mówią, cały swój dochód oddaje temu okropnemu smokowi, swej ciotce. Jakże więc ma mieć kłopoty finansowe!

— Miał taką rozradowaną minę — upierał się adjunkt Schorn, dłubiąc nerwowo w nosie.

— On! — Adjunkt Quillander podniósł palec, jakby apelując do tłumu niewidzialnych świadków, który nas stale otacza. — On! Jeżeli to prawda, że każda rzecz jest

odzwierciedleniem swej idei, to rzecz pewna, że idea pedagogiczna może się w Möbiusie przegłądać jak w lustrze. Dziesięć minut na wykład nowej lekcji, dwadzieścia pięć minut na wysłuchiwanie lekcji zadanej, osiem minut na powtórzenie, minuta na modlitwę, w sumie czterdzieści pięć minut. On jest wcieleniem idei pedagogicznej.

Podniósł jeszcze bardziej głos i krzyknął w niebo, podobnie jak krzyczała krew Abła:

— On jest ideą pedagogiczną, a ja idę teraz, żeby prosić ideę pedagogiczną o podpisanie weksla! Ha-ba!

Odrzucił wypalone cygaro, zapalił nowe, opuścił bez pożegnania adjunkta Scborna i spiesznymi krokami udał się w kierunku domu, stojącego na tej samej ulicy, na której rogu się zatrzymał. W głębi jego duszy rozbrzmiewało echo niespokojnych głosów. Czy zaproponować mu przejście na „ty“? Jestem starszy od niego, ale nie znam go. Czy udawać światowca czy uduchowionego, być żartobliwym czy poważnym? Nie znam go, nie wiem. Wiem tylko, że *musi* podpisać.

Jakto, więc już nacisnął guzik dzwonka? Drzwi się otwarły; wybiła jego godzina.

Za progiem ujrzał twarz surową, zamkniętą w sobie. Nie było to jednak oblicze, przed którym miał być postawiony, by usłyszeć wyrok na siebie, i odetchnął z ulgą. Była to ciotka Lundén, czterdziestoletnia, zgryźliwa ciotka Möbiusa, połowa spadku po ojcu, ale nie ta, która adjunkta Quillandera w danym momencie interesowała. Przyglądała mu się wzrokiem komisarza policji. Adjunkt Quillander, odrzuciwszy przedtem zapalone przed chwilą cygaro, mruknął zapytanie, czy zastał w domu kolegę.

Panna Lundén niechętnie otworzyła mu drzwi, poczem przekroczył próg. Pierwsza łódź pontonowego mo-

stu przez Rubikon stanęła na swoim miejscu. Czy ten most można będzie dobudować na drugi brzeg?

Nagle zjawił się adjunkt Möbius. Stał przed nim, mały, szaro ubrany, niebieskooki i gładko uczesany. Wyglądał jak uczeń. Drzwi od swego gabinetu otworzył tak cicho, że Quillander nie usłyszał. Obserwował swego kolegę łagodnym, pełnym zdumienia spojrzeniem. Adjunkt Quillander chrząknął:

— Czy przeszkadzam?

Chciał już powiedzieć: czy przeszkadzam ci, ale przypomniał sobie, że jeszcze nie byli ze sobą na „ty“. Czy ma mu zaraz z punktu zaproponować przejście na „ty“? Zanim się obejrzał, już to zostało dokonane. Jego język poruszał się mechanicznie, jak ręka, którą podał adjunktowi Möbiusowi na umocnienie bruderszaftu. Adjunkt Möbius, przytykając oczy, rzekł łagodnie:

— Dziękuję ci, drogi przyjacielu. Bądź łaskaw wejść.

Druga łódź pontonowego mostu stanęła na właściwym miejscu. Teraz kolej na ciotkę Lundén ze spojrzeniem, którego mógłby jej pozazdrościć sędzia przedwieczny. Adjunkt Möbius zaprowadził swego kolegę do gabinetu i przyjaźnie wskazał mu miejsce na fotelu.

— Palisz?

— Dziękuję — dziękuję ci!

Adjunkt Quillander wziął cygaro z pudełka, napół przytomnie obciął koniec i zapalił je. Pierwsze zaciągnięcie całkowicie wróciło mu przytomność. Było to bezsprzecznie najobrzydliwsze z cygar, jakie kiedykolwiek miał w ustach. Myśl, że świadczy to o oszczędnościowym systemie, panującym w tym domu, była przerażająca. Taki dom może być bogaty i jego właściciel może być człowiekiem łagodnym, ale w takim domu nigdy weksła nie podpiszą. Klęby dymu splotły się nagle w kształt ciała astralnego adjuukta Schorna. Owo ciało astralne wykrzywiło się, jak gdyby paliło takie samo

cygaro jak i adjunkt Quillander, lecz ciało wykrzywiało się tak w posępnym, szyderczym śmiechu, i wreszcie głos astralny rzekł:

— A co, nie mówilem? Möbius! Ha-ha-ha!

Adjunktowi Quillanderowi zrobiło się czarno przed oczami. Czy ma uciec, jak malec z przed drzwi dentysty? Wówczas oczyma duszy znowu ujrzal wyraźnie cztery ameboidalne wksle z napisem: „W dniu dzisiejszym zaprotestowany z powodu nieuiszczenia należności, zaświadczone ex officio“... i t. d. Nie, w jego położeniu nie można było być tchórzem.

— Drogi przyjacielu — zaczął — sądzę, że jesteś zdumiony moją wizytą.

Möbius poglaskal tylko swą ostro przystrzyżoną bródkę, i milczal, jak gdyby znajdował, że odpowiedź jest zbędna. Adjunkt Quillander ciągnął dalej:

— W pewnym sensie może masz rację. Niewiele mamy ze sobą styczności. Szkoła wytwarza koterje. Mam i ja swoją koterję: Schorn i jeszcze kilku. Ściśle rzecz biorąc, nie wiem właściwie do jakiej koterji należysz.

Adjunkt Quillander poruszył cygarem i myślał: jeżeli się teraz do tego stopnia przezwyciężę, żeby to palić, to znaczy, że przerosłem tych, którzy zdobywają umocnione pozycje. Może to prognostyk dla mojego ataku na to obwarowane serce?

Bowiem pytając Möbiusa o jego koterję, planował właściwy atak. Poszukiwacz wierzyciela musi sam siebie radzić się, musi zwracać uwagę na drobnostki i być pelen przytomności umysłu, — tylko to zapewnia powodzenie.

Adjunkt Möbius przesunął swą małą, białą rękę po bródce.

— Sądzę, że nie należę do żadnej koterji — powiedział spokojnie.

— Najchętniej przestajesz z samym sobą? — przypochlebiał się dalej adjunkt Quillander.

— Tak — było całą odpowiedzią Möbiusa.

— Oczywiście, dużo studjujesz?

— Hm, tak, coś niecoś.

— Zapewne masz zamiar pozostać na uniwersytecie i zostać docentem?

— Nie, tego nie mogłem powiedzieć.

— Doprawdy? Tak slyszałem.

— To szczególne. Nie, to niemożliwe.

— Zdaje się, że to Schorn mi o tem opowiadał. Czy teraz znacie się ze sobą?

— Bardzo powierzchownie.

— Zresztą jesteście prawdopodobnie w tym samym wieku?

— To możliwe. Wierzę temu.

— Ja również. Schorn dużo mi o tobie opowiadał. Twierdzi, że byłeś ulubieńcem Sideniusa.

— To szczególne. Nie wierzę w to. Dla Sideniusa byłem zbyt radykalny.

Adjunkt Quillander nie śmiał podnieść brwi. To ja-gniętko zbyt radykalne! O teologii wiedział bardzo niewiele, i stanowisko profesora Sideniusa było mu w zupełności nieznane, ale trudno mu było uwierzyć, żehy mogło być dalej posunięte niż stanowisko Möbiusa. Zresztą nazwisko Sideniusa wymienił na chybił-trafil. Schorn nigdy z nim nie rozmawiał o Möbiusie. Żałował tego. Dotychczasowy rezultat nie był zachęcający. Ten człowiek był równie przystępny jak zółw. Gdzież więc była szczelina w jego skorupie?

— Mówisz, że byłeś zbyt radykalny dla Sideniusa? Aha! Doprawdy, starałem się trochę poznać nowoczesną teologję i sądziłem, że Sidenius znajduje się na skrajnej lewicy.

Adjunkt Möbius podniósł łagodne, niebieskie oczy



i zaczął się przypatrywać swemu gościowi. Adjunkt Quillander był zajęty cygarem, jakby chciał to specjalnie zademonstrować gospodarzowi. Adjunkt Möbius znów spuścił oczy i powiedział:

— Sądziłeś, że Sidenius znajduje się na skrajnej lewicy? Ależ, drogi przyjacielu, toż to poprostu ebionita.

— Tak, że Sidenius — hm — jest ebionitą, to wiem, ale nie wiem, dlaczego ma mu to przeszkadzać być radykalnym teologiem.

— Pomiędzy ebionitami i radykalną teologią nie może być żadnej dyskusji i żadnego kompromisu — powiedział adjunkt Möbius i poglaskał bródkę w bok, jakby pragnąc zaznaczyć swój stosunek uczuciowy do wzmiankowanego kierunku teologicznego. Quillander przyprawił jego ruchy o drżenie. Czy wpadł już definitywnie? Czego właściwie chcieli ebionici? Czy powinien się wycofać i przyznać, że nie wiedział? Nie, zaszedł już za daleko, teraz musi podtrzymać zainteresowanie rozmówcy, który dotąd niczem się nie zainteresował. Mechanicznie wyciągnął rękę po zapalnik — cygaro zgasło — ale cofnął ją z powrotem.

— Drogi przyjacielu — powiedział — czytałem dość dużo z nowoczesnej teologii, ale nie możesz ode mnie wymagać, żebym był w tej dziedzinie fachowcem jak ty. Nie widzę nic niedorzecznego w myśli, że Sidenius może być radykalny, pomimo że jest e... ebionitą. Zresztą słyszałem o tem od innych, naprzykład od Schorna.

— Doprawdy? Na uniwersytecie nic osiągnąłem wrażenia, żeby Schorn interesował się teologią. Raczej wprost odwrotnie. — Spojrzał na Quillandera. — Może to ty rozbudziłeś jego zainteresowania?

Adjunkt Quillander poczuł, że jak Herkules stanął na rozdrożu. Mógł jeszcze zawrócić. Mógł jeszcze zerwać maskę, teologję w dowcipny sposób wydrwić i zmusić przeciwnika do kapitulacji. Ale czy należało tak ryzy-

kować? Czyż nie było koniecznością przedostanie się do serca przeciwnika w kryjówce zainteresowań teologicznych, jak w koniu trojańskim? Na wszystko musiał szybko reagować. Widział przed sobą łagodną twarz Möbiusa, i powziął decyzję. Za tem czołem nie znajdują echa podszepty Mefistofelesa. Sprohował wejść w skórę jezuitę, który robi wszystko dla wyższych celów, i odpowiedział powoli:

— Nie jest wykluczone, że wyrwałem pewien wpływ na Schorna. Powiedziałem ci już, że nie jestem teologiem, ale próbowałem ze wszystkich sił wniknąć w problematykę teologii. Zawsze coś mi z tego pozostało.

— Cieszysz się — powiedział adjunkt Möbius i poważnie popatrzył na niego. Quillander znów zrobił ruch, żeby zapalić cygaro, ale znów się powstrzymał. Spodziewał się, że teraz Möbius zabierze głos, lecz ten poprzestał na obserwowaniu rozmówcy. Spiesznie ciągnął dalej:

— Na nieszczęście, jak ci wiadomo, łatwiej jest burzyć niż budować. Na uniwersytecie wszedłem pomiędzy ludzi bardzo chętnych do burzenia i wogóle skłonnych do wszelkich negacyj. Rezultatem dla mnie osobiście było piętnaście lat studjów zamiast pięciu, wiesz o tem. To chyba mogłoby dać trochę do myślenia. Ale traci się nie tylko dużo czasu, skutki zaznaczają się i w inny sposób, w tych dniach...

Otóż to! Czy należało się rozpędzić? Czy był to czas, wskazujący temu kto stracił czas na uniwersytecie, że czas to pieniądz? Czy też miał dalej przygotowywać grunt? Nie znalazł czasu na powzięcie decyzji. Adjunkt Möbius chrząknął i pochylił się naprzód. Spoglądał na Quillandera swemi łagodnymi, niebieskimi oczami, podczas gdy ten bawił się nożem do przycinania papieru. Widocznie zamierzał mówić.

— Nie chcę zaprzeczać, drogi przyjacielu — zaczął ci-

cho, podczas gdy Quillander z lekkim westchnieniem opadł z powrotem na fotel — że mnie zadziwiłeś. Mimowoli nabiera się pewnego wyobrażenia o ludziach, których się widzi. Małośmy się stykali ze sobą, i mógłbym oczywiście wydanie sądu o tobie odłożyć na później. Ale my, ludzie, pragniemy mieć jedną formułkę na wszystko. Formułka, jaką sobie o tobie urobiłem, stoi w sprzeczności z tem, coś mi teraz mówił. Uważałem cię — ściśle mówiąc — za charakter nader powierzchowny, jeden z tych co to poważnie mówią o rzeczach swawolnych i swawolnie o rzeczach poważnych.

Adjunkt Quillander zrobił poważną minę, jak gdyby słuchał toastu przy obiedzie. Podobnie jak w takich okazjach, niewiele słyszał ze słów mówcy. Najważniejsze było to, że temat zajmuje samego mówcę. Był to przypadek wróżący zwycięstwo. Jeszcze tylko troszeczkę pracy, a wówczas! Cztery ameboidalne weksle uważał już za zalatwione. Semestr miał się ku końcowi, może uda mu się zaciągnąć tak dużą pożyczkę, żeby zostało coś na podróż wakacyjną... Adjunkt Möbius mówił w dalszym ciągu.

— Jak powiedziałem, urobiłem sobie mimowoli pewien sąd o tobie. W ciągu krótkiego czasu, odkąd jesteś tutaj, spostrzegłem, że moja formułka była z gruntu fałszywa. Probowaleś wniknąć w to, co dla mnie jest szczytem istnienia. Nie potrafię ci powiedzieć, jakie to dla mnie radosne. Zdaje mi się, że podobnego uczucia musiał doświadczyć św. Piotr, gdy wielkorządcę egipskiego zastał przy studjach nad Pismem Świętem — przypominasz to sobie?

— Ależ naturalnie! — Adjunkt Quillander skinął ręką, w której trzymał wygasłe cygaro. Szło lepiej niż śmiało pomyśleć. — Do tego właśnie zmierzałem, ale przerwałeś mi swemi przyjaznymi słowami. Otóż w tych dniach...

— Przepraszam się, cygaro ci zgasło. Czy pozwolisz?

Adjunkt Möbius podał zapalną, i adjunkt Quillander ze stłumionem przekleństwem zapalił trudne do opisanego cygaro. Zaczął od nowa:

— Miałem właśnie zamiar powiedzieć ci, że w tych dniach...

— Wybacz, drogi przyjacielu, ale zanim posuniemy się dalej, muszę ci powiedzieć, że poza swoim cygarem zdaje się jeszcze o jednej rzeczy zapomnieć.

— A mianowicie?

— Ach, to tylko sprawa teologiczna, ale sądzę, że mogłaby cię zainteresować.

Adjunkt Quillander znowu stłumił przekleństwo. Zdało mu się, że z teologią już się załatwił. Wierzytel jest jak jajko, powinien być podegrzany, byle nie za bardzo. Kiedyż uda mu się dojść do sedna rzeczy?

— Cóż to za sprawa? — zapytał głosem, w którym, jak sądził, brzmiało zaniepokojenie.

— Otóż ebionici — zaczął zwolna adjunkt Möbius — byli sektą, która w programie swym posiadała tylko jeden jedyny punkt. Tym się zajmowali, pozatem prawie nic ich nie obchodziło.

Cygaro adjunkta Quillandera upadło na ziemię. Adjunkt Möbius łagodnie położył je na popielniczkę i powiedział:

— Ebionici żyli w początkach chrześcijaństwa, i całym ich programem była negacja godności apostołskiej św. Pawła. Mówisz, że Sibenius czyni to samo, i sądzisz, że to da się pogodzić z radykalnymi poglądami teologicznymi. Ja jestem innego zdania. Ani Sibeuius ani radykalna teologia nie odmawiają godności apostołskiej św. Pawłowi. Ta kwestja została rozstrzygnięta na pierwszym zjeździe apostołskim w Jerozolimie w roku 55. Jesteś dziś prawdopodobnie jedynym na świecie człowie-

kiem, interesującym się tem zagadnieniem. To bardzo radosne, ale nie mogę zaprzeczyć, że mnie to zdziwiło.

Fizycy opisują przestrzeń atmosferyczną jako zupełnie bezdźwięczną i wypełnioną zimnem próżnią. Adjunkt Quillander sprawiał w tym momencie wrażenie, że się tam znajduje. Nie nie słyszał, czuł łamiące zimno we wszystkich członkach. Jakby z niezmierzej odległości obserwowała go łagodna twarz, która mówiła wyraźniej niż słowami, że gra jest przegrana. Poniżył się przed Möbiusem, i został zdemaskowany, przejrzany nawskroś, upokorzony! Nie wiedział, czy sam powinien był kląć czy Möbiusa, czy miał odejść spokojnie czy też zerwać się i zatrasnąć drzwi za sobą. A więc był to koniec... Jutro cztery ameboidalne weksle zostaną zaprotestowane... a później, pojutrze, w kolegium profesorskim będzie kursowała historia jego upokorzenia. Podróż wakacyjna rozwiała się jak dym. Wytrzeszczył oczy na Möbiusa, rozgoryczony, bliski nienawiści na widok tej łagodnej, niewzruszonej twarzy i tych niebieskich oczu, w których przeblyskiwał triumf. Teraz Möbius spokojnie podniósł się z miejsca, podszedł do drzwi i otworzył je. To było wyraźne! Quillander powstał ociężale. Wzrok jego padł na cygaro leżące na popielniczce, i głośno zaklął. I on to święństwo palił! Wówczas zaszło coś, co go wypełniło zdumieniem. Adjunkt Möbius wyjrzał za drzwi, zamknął je ostrożnie i wrócił na swoje miejsce.

— Chcesz już odejść, drogi przyjacielu?

— H-r-r... — Quillander miał uczucie, że gardło mu się zakleilo. Czyżby Möbius sądził, że Quillander da mu możliwość dalszego naigrawania się z niego?

— Może usiądziesz? — zapytał Möbius. — Chętnie-  
bym z tobą o czemś porozmawiał, naturalnie jeżeli masz  
czas.

Quillander znów odzyskał mowę.

— Obawiam się, że moje wiadomości w innych gałęziach teologii są równie niedostateczne, jak...

— Nie mówmy o tem więcej! To błąd do wybaczenia, drogi przyjacielu. Właściwie mówiąc, nie było to moja winą. Ty sam...

— Czy chcesz mnie jeszcze kiedyś...

— Ale, ale! Czy nie zechcesz usiąść? Powiem tylko parę słów. Ale sądzę, że znajdziemy temat, który cię zainteresuje.

Quillander ociągał się. Dokąd ten człowiek zmierza? Sprawia wrażenie, jakby koniecznie chciał rozmawiać. Po klęsce, jaką Quillander dopiero co poniósł, jedyną właściwą odpowiedzią byłby uśmiech szydery i odejście. Namyslał się. Bitwę przegrał, ale mógł jeszcze znaleźć okazję do oddania kilku strzałów, zanim przeciwnik ujrzy jego plecy. Usiadł na fotelu i zrobił groźny ruch ręką, jak gdyby mówiąc: „Jestem gotów! Tylko krótko!”

Nie spodziewał się pytania, jakie mu zadał Möbius!

— Powiedz mi, co ty właściwie o mnie myślisz?

Malo brakowało, a byłby wybuchnął głośnym śmiechem. Co on myśli o Möbiusie! Jeżeli Möbius pragnął otrzymać pochlebającą mu odpowiedź, czego zwykle pragną ludzie, zadając takie pytania, to źle się wybrał. Quillander obmyślał odpowiedź, któraby była dostatecznie jadowita i druzgocąca, nie będąc jednak ordynarną. Wówczas rzucił okiem na twarz rozmówcy. Z błękitnych jak niebo oczu wyglądała bezbrzeżna pokora. Spoglądały na niego jak oczy dziecka; nie było w nich ani śladu zadufania w sobie, tylko nieśmiałe oczekiwanie.

Quillander zatriumfował. Poczul swą siłę i przewagę. Nagle wyrwało mu się:

— Jesteś wcieleniem idei pedagogicznej.

Möbius powolnie skinął głową.

— Tak, masz rację. Wiem, że masz rację. Przepraszam cię, zgasło ci cygaro. Może pozwolisz nowe?

Podsunał mu pudełko z cygarami. Quillander spojrział tak, że nie trzeba było tłumaczy, by wyjaśnić sens tego spojrzenia.

— Mogłem się tego spodziewać — powiedział Möbius z westchnieniem. — Zdaje się, że nie można ich palić. Nie znam się na cygarach. Nie znam się na winie. Wszystko, co należy do materialnych rozkoszy, jest dla mnie księgą o siedmiu pieczęciach. To wpływ mego ojca i wychowania jakie otrzymałem.

— Wpływ pedagogji — zaznaczył Quillander.

— Tak. Urodziłem się pod znakiem pedagogów. Jak inni pod znakiem Merkurego albo Saturna. Mój ojciec wynalazł własny system wychowawczy i zastosował go do mnie. Pragnął mi dać charakter, i odebrał mi wolę. Od najwcześniejszego dzieciństwa żyłem według ustalonego szematu. Na odgłos dzwonka wstawiałem, na odgłos dzwonka jadłem, spacerowałem do określonego odgłosu dzwonka, i jeżeli się bawiłem, to również tylko do określonego odgłosu dzwonka.

— Ale niewiele się bawileś? — zapytał Quillander pełen nadziei.

— Nie; sądzę, że przyjemność, jeżeli ma być przyjemnością, musi być improwizowana. Dopóki byłem pod okiem ojca i miałem się bawić, wszystko odbywało się akuratanie i było zgóry przewidziane. Najpierw obowiązek, potem przyjemność. Gdy wszystkie co do jednego obowiązki były spełnione, można było dopiero pomyśleć o rozrywce. Spacerowaliśmy po Ogrodzie Botanicznym albo po mieście, by oglądać stare domy. Ojciec informował mnie, kiedy zostały zbudowane i w jakim stylu. ~~Wtedy~~ do czasu chodziliśmy do cukierni. Do-  
stawaliśmy dwa ciastka, bo więcej byłoby niehigienicznie,

i czytałem „Fliegende Blätter“. W ten sposób wprawia-  
łem się równocześnie w niemieckim.

Quillander poczuł, że jego rozradowanie wzrasta.

— No, ale gdy poszedłeś do szkoły? — zapytał.

— Nigdy nie byłem w szkole. Ojciec sam przygotował  
mnie do matury. Był to człowiek o dużej wiedzy.

— No, a bibka maturalna?

— Zwarjowałeś?! Jedliśmy razem kolację w hotelu.  
I to wszystko.

— A uniwersytet?

— Bezpośrednio przed mojem wstąpieniem na uni-  
wersytet umarł ojciec. Matki nigdy nie znałem. Ojciec  
zostawił mi trochę pieniędzy — no, a potem ciotka  
Lundén.

Quillander poczuł, że jego zgryzota z powodu ponie-  
sionej klęski prawie zupełnie znikła. Zwyciężyć możesz,  
Hannibalu, ale nie wykorzystasz zwycięstwa. Möbius  
przedtem zwyciężył go, twardo i bezlitośnie, ale czyż  
mógł się z tego cieszyć? Przenikał w myśli oblicze ciotki  
Lundén i prawie życzliwie słuchał, podczas gdy Möbius  
ciągnął dalej:

— Ciotka Lundén jest pod wieloma względami wspan-  
iałą kobietą, ale — jak dla mnie — posiada za wiele  
woli. Ja zaś wcale nie posiadam woli. Posiadam wdro-  
żone mi zwyczaje. Jestem automatem, niczem innym.  
Stępiałem pod wpływem pedagogiki, jak inni dzięki na-  
pojom wyskokowym i rozpuście.

Umilkł i po chwili ciągnął dalej:

— Wmawiam sobie, że dobrze jest jak jest, żyję ży-  
ciem zdrowotnym i bezpiecznym, — ale jednej rzeczy  
brakuje: to nie jest życie! Żyć, to znaczy działać. Dzia-  
łać to znaczy wybierać z dwojga możliwości. Ale ja nie  
wybieram, ja nie działam, ja nie żyję. Czemże jest ży-  
cie bezpieczne, jeżeli się nigdy nie jest wystawionym na  
pokuszenie?



Znowu umilkł i podjął po chwili:

— Istnieje słowo, które pokrywa wszystko. Trzeba żyć niebezpiecznie. Powiedział to Nietzsche. Trzeba żyć niebezpiecznie. Inaczej się umiera. Jest to inny rodzaj śmierci, mówi biblja.

Jego niebieskie oczy rzuciły rozpaczliwe spojrzenie na Quillandera, który siedział w milczeniu, opanowany przez dwa uczucia. Jedno z nich było zadowoleniem, że i Möbius, podobnie jak on, niesie swój krzyż — drugie zdziwieniem, dlaczego mu to wszystko opowiada. Tak, dlaczego to robi? Skłonność do zwierzeń była jego najmniejszym grzechem.

Möbius powoli ciągnął dalej:

— W ten sposób pojmuję słowa biblij. Bez pokus nasze cnotliwe życie nie ma wartości. Chciałbym, żebyś mnie zrozumiał. Powiedziałeś, że byłem zbyt radykalny dla Sideniusa, — to nieprawda. Wierzę w naszą wolną wolę i w biblijne prawo moralne. Wierzę w to w starożytny sposób. W niektórych częściach biblij pociągnęła mnie nowoczesna krytyka wiary, wiary dziecięcej, ale prawo moralne pozostało dla mnie nietknięte. Ale... jest jedno wielkie ale. Jestem jak rekrut, który zna regulamin, ale nie brał jeszcze udziału w żadnej bitwie. Wiem jak to brzmi: nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu, nie pożądaj żadnej rzeczy, która jego jest. Uczę tego moich uczniów i wierzę w to — ale to nie ma dla mnie ani odrobiny sensu. Nigdy nie miałem pokusy do kradzieży, gdyż odziedziczyłem pieniądze w spadku. — Quillander posępnie skinął głową. — Nigdy nie miałem pokusy do wirolomstwa, gdyż nie znam żadnej kobiety oprócz ciotki Lundén. Uczniów moich przestrzegam przed tem. Równie dobrze mógłbym ich przestrzegać przed kultem Olyna i Tora. Jestem znużony teoretycznym poznawaniem

wszystkiego; czytałem etykę Sideninsa — Quillander zmrużył oczy — i Kraffta-Ebinga...

— Kraffta-Ebinga! Muszę ci powiedzieć... — Quillander poruszył się na fotelu.

— Tak, i Kraffta-Ebinga. Przeczytałem to wszystko jak najuważniej, wmyślając się we wszelkie pokusy, o których tam jest mowa, ale wszystko to jest dla mnie zagadnieniem algebraicznym, niczem innym. Wiem jakie powinno być wyjście, ale jest mi wszystko jedno.

Umilkł. Quillander miał uczucie, jak gdyby się znajdował w ogrodzie zoologicznym i ujrzał nagle wielbłąda próbującego fruwać. Möbius! Möbius był tym, który to opowiadał! Który przyznał się, że marzy o pokusach, który czytał Kraffta-Ebinga! Schorn pouczał Quillandera, że nie należy ufać żadnemu z teologów, ale gdyby mu ktoś powtórzył słowa Möbiusa, krzyknąłby: kłamstwo! Znowu zadał sobie pytanie: dlaczego on właśnie *mnie* się zwierza? Nie zdążył zadać sobie tego pytania po raz drugi. Najbliższą jego czynnością było zerwanie się z fotela z impetem wyrzuconego kamienia. Möbius obejrzał się bojaźliwie na drzwi, nachylił się i powiedział:

— Na jaką sumę ma być weksel, o którego podpisanie chciałeś mnie prosić?

A potem — czy dobrze słyszał? Czy dobrze widział? Czy był przytomny? Potem — powstrzymujący gest ręki i...

— Pst! Cicho! Z ciotką Lundén nigdy się nie jest bezpiecznym. Wiedziałem od początku, że poto przyszedłeś. Nie warto mówić na jaką sumę, i tak podpiszę. Trzeba żyć niebezpiecznie. Posiadam' tak mało odwagi, że nigdy nie wypróbowałem własnej pięści. Ty znasz życie. Musisz mi pomóc. Musisz mnie wprowadzić w życie. Zgadzam się na wszelkie warunki.

Quillander ledwie słyszał, wpatrzony w wizję, jakie miewali święci mistyczni: ameboidalne weksle splecione.

gotówka w kieszeni, podróż wakacyjna! Bo gdzieś nieoż-  
na lepiej niż w Kopenhadze wodzić Möbiusa na poku-  
szenie? Möbius również powstał i patrzył na niego  
wzrokiem pełnym wyczekiwania. Wreszcie Quillander  
usiadł, serdecznie poklepał swego kolegę po plecach  
i mruknął:

— Wszystko w porządku! Już ja tem pokieruję. Zda-  
j się na mnie!

— Ale jedno zastrzeżenie — zaczął Möbius.

Quillander drgnął. — Czyżby się rozmyślił?

— Jedno zastrzeżenie. Żebyś ani słowa o tem nikomu  
nie mówił. Rozumiesz, ciotka Lundén; onaby mi życie  
w piekło zamieniła.

Uspokojony, ale jeszcze z zamętem w głowie, wybą-  
kał Quillander jedną z uwag, jakie się robi w takich  
chwilach, jedyną, jaka mu w danej chwili przyszła na  
myśl:

— Ale poczta? Czy ona otwiera twoje listy? Wiesz,  
bank wysłał zawiadomienie o płatności weksla!

Möbius wyjął wieczne pióro i znowu wyjrzał za drzwi.

— Przylapię listonosza — powiedział — i odbiorę od  
niego zawiadomienie. A więc na jaką sumę?

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Adjunkt Quillander poucza a adjunkt Möbius jest roz-  
targniony.*

Grand-Hotel Pedersena stał, jak i przed trzydziestu pięciu laty, na szarej ulicy w pobliżu placu Ratuszowego; z szarą, wielookienną fasadą, z połączonym napisem nad wejściem i małą winiarnią w piwnicy. Od czasu nieboszczyka Pedersena często zmieniał właścicieli, nie zmieniając z tego powodu swej demokratycznej nazwy. Niegdyś hotel dla lepszych gości z prowincji, od dawna już stracił dawny kolor, i zatrzymywali się w nim tylko podróżujący kupcy i szwedzcy studenci. Przed dziesięcioma laty Quillander był stałym gościem tego hotelu i napelniał go śpiewem, jak gdyby był gniazdem skowronków. Przyzwyczajenie jest najzachłanniejszym z tyranów, dlatego też tablica gości Grand-Hotelu Pedersena obwieściła, że od dwóch dni adjunkci T. Quillander, I. Schorn i P. L. Möbius, z Brostatu w Szwecji, zaliczają się do gości hotelowych.

Gdyż oczywiście pojechali do Kopenhagi. Dziwaczne a błogosławione pragnienie Möbiusa, aby poznać życie, mogło być zaspokojone tylko przez wyjazd do Kopenhagi; to mu Quillander natychmiast zapewnił. Są tam — myślał sobie, ale nie mówił tego — damy wesole i uprzej-

me, które zajmą się takim jegomościem jak on. I naturalnie obstawał przy tym punkcie: dama nieco młodsza i wolnomyślniejsza niż ciotka Lundén; Quillander pochwalał takie życzenie.

Wyjazd był połączony z pewnemi trudnościami. Ciotkę Lundén udało się wywieść w pole. Odwaga Möbiusa wzdrygała się przed tem zadaniem. Ostatecznie napisał list z wymyśloną historją o wizycie u krewnych, wysłał go ze stacji i wyjechał bez bagaży.

Przedtem został wystawiony nowy weksel z podpisem: P. L. Möbius, adjunkt. Möbius sam podjął pieniądze, żeby bank nie wysyłał zawiadomienia. Ale kasę objął Quillander.

— Nie jesteś przyzwyczajony do dysponowania pieniędzmi, drogi przyjacielu. Dawniej, kiedyśmy jako studenci razem podróżowali, zawsze byłem kasjerem. Ale jeżeli będziesz coś potrzebował, to powiedz mi. Nie jestem bynajmniej sknerą.

Möbius skinął głową w milczeniu. Nowy weksel opiewał na tysiąc sto. Quillander sądził, że za tę sumę uda mu się sfinansować wprowadzenie Möbiusa w życie. Poprzedni weksel, ten z owego pamiętnego wieczoru, był wystawiony na sumę ośmiuset pięćdziesięciu koron. Möbius miał widoki, nie żyjąc dotąd nigdy życiem niebezpiecznem, że w ciągu trzech miesięcy będzie inaczej. Ale Möbius nie myślał o pieniądzach. Żył pośród wizyj tego, co tam jest i co go tam czeka. Widział aleje bulwarów, wielkie restauracje, teatry. Widział ludzi w świetle jaskrawych lamp lukowych; tłum obcych twarzy, zwłaszcza kobiecych. Dopóki wizje jego ograniczały się do znanych rzeczy, czuł tylko wielką tęsknotę; gdy ukazywały się twarze kobiet, zaczynał się bać, czuł jak gdyby dłoń zaciśniętą wkoło serca i chciał uciekać. Te posuwały się ku niemu — blade, niepojęte twarze o wielkich oczach, pytające go o coś, czego nie rozumiał.

Przechodziły nawskroś jego duszę. Rachował godziny. I oto nagle był w Kopenhadze z Quillanderem i Schornem.

Schorn pojechał z nimi, jak gdyby to było zrozumiałe samo przez się. Möbius nie zapraszał go, ale i nie odpędzał. Wkrótce po wyjeździe Schorn oświadczył, że swój udział później ureguluje, i Möbius skinął głową, milczący i roztargniony.

Adjunkt Quillander w swym pokoju w Grand-Hotelu kończył poranną toaletę. Schorn, już ubrany, siedział i przyglądał się, w znaczący sposób oczyszczając małym palcem szyjkę porannego pilznera. Do kopenhaskich zwyczajów Quillandera należało posiadanie asysty przy ubieraniu się. Plókał gardło, wydając odgłosy podobne do wystrzałów, poczem odstawił szklanekę.

— Ach! — powiedział. — Kopenhaga! I co za pogoda! Widziałeś? Dziś jemy śniadanie w Nimbie.

Adjunkt Schorn w milczeniu wypróżniał flaszkę pilznera.

— Möbius niedługo przyjdzie. Wyszedł tylko poto, żeby się ogolić.

Quillander zapinał kołnierzyk na swej grubej szyji.

— Co myślisz o Möbiusie? — zapytał nagle.

Schorn patrzył przed siebie filozoficznymi, żabiemi oczami.

— Jest całkiem do rzeczy — rzekł zwięźle.

— Jest nim — powiedział Quillander — kiedy się go bliżej pozna. Przyznam ci się, że nigdy w życiu nie przypuściłbym, że on podpisze. Dziś jeszcze nie mogę pojąć, skąd mi się zebrało na odwagę, żeby pójść do niego. Właściwie, on jest skąpy, rozumiesz?

— Hm — powiedział adjunkt Schorn.

— Tak! Ludzie, którzy nie mają do czynienia z pieniędzmi, są zawsze skąpi. Są jak nieprzytomni kiedy wi-

dzą pieniądze. Dlatego wyświadczam mu przysługę, pozwalając podpisać weksel.

Adjunkt Schorn wytrzeszczył na niego swe melancholijne, żabie oczy.

— Tak, a *gdyby* się zdarzyło, że będzie miał jednorazowo większy wydatek, wyciągnie stąd nauczkę, jak powściągać swoje skąpstwo.

Adjunkt Schorn przyglądał się Quillanderowi, podczas gdy ten czyścił i wkładał marynarkę.

— Jesteś prawdziwym przyjacielem swych przyjaciół — powiedział. — Nie wiedziałem, że podpisuję twoje papiery dla własnej korzyści. Sądziłem, że to się robi w celu przyspieszenia światowej katastrofy ekonomicznej.

— Dzień dobry, drogi przyjacielu, dzień dobry! Jak ci się spało? I co powiesz o dzisiejszej pogodzie?

Adjunkt Möbius wszedł, ładnie uczesany, wyświeżony, w szarym garniturze, w którym wydawał się młodszy niż był w istocie. Gdyby nie mała spiczasta bródka, możnaby go wziąć za świeżo upieczonego studenta. Na pytanie Quillandera zareagował nieprzytomnym uśmiechem.

— Przepraszam, że wczoraj wieczorem tak wcześnie poczułem się zmęczony — powiedział. — Nie jestem przyzwyczajony tak późno kłaść się spać, wiesz o tem, ale teraz czuję się rzeźki i wypoczęty.

— Cieszy mnie to — powiedział Quillander — chociaż właściwie wyglądasz na trochę zblazowanego. Teraz chcemy zjeść śniadanie. Pomyślałem sobie, że to powinno nastąpić na tarasie Nimbu. Czy masz coś przeciwko temu?

— Bynajmniej. A gdzie jest taras Nimbu?

— Obok Tivoli. Dadzą nam tam jeść. Naturalnie

będzie to drożej kosztować, ale to drobiazg. Jestem gotów.

— Tivoli? — powiedział Möbius. — Byliśmy tam wczoraj wieczorem. To ten ogród pełen kobiet?

— Nicinaczej. Ale teraz przed południem możesz się niczego nie obawiać. Teraz są tam tylko niańki z dziećmi. Idziemy?

Möbius skinął głową. Z Quillanderem na czele przeszli przez długi, pachnący stęchlizną korytarz Grand-Hotelu Pedersena. Podczas gdy gardło Quillandera wydobywało z myśli serję tonów, która wkrótce miała otrzymać inne przeznaczenie, Möbius myślał o wczorajszym dniu.

W dniu przybycia miał zbyt wielki zamęt w głowie, by zauważyć dokąd go Quillander prowadził. W ciągu wczorajszego dnia kontury wielkiego miasta zaczęły mu się jaśniej zarysowywać. Zobaczył bulwary, parki, place, restauracje, na swe wyraźne życzenie zwiedził muzeum: jadł, pił i słuchał muzyki; ale wieczorem wszystko znikło poza wielobarwną mgłą światel: Tivoli. Twarze kobiet zbliżały się ku niemu jak w jego snach, blade i różowe, z falistemi włosami, z oczyma patrzącemi w jego oczy, pełnemi pytań o coś, czego nie rozumiał. Podobnie jak w samotnych wizjach był przestraszony, czuł ucisk ręki na sercu i miał ochotę uciec.

Wreszcie zaprowadził go Quillander do kawiarni pełnej kobiet. Tam całkiem stracił głowę. Nagle podeszły do stołu dwie młode kobiety i rozmawiały z Quillanderem. Czy były to przyzwoite kobiety? Miał za mało doświadczenia, żeby o tem sądzić. Ale gdyby niemi były, czyż podeszłyby tak bez zaproszenia? Wytrzeszczał na nie oczy, że aż się roześmiały na głos, poczem zacerwienił się a one śmiały się jeszcze bardziej. Wówczas wstał od stołu i zniknął niepostrzeżenie, drząc w kola-



nach po tem co przeżył. Znalazłszy się na dworze, żałował że wyszedł. Czy miał się wrócić? Tam na sali pozostało to, do czego tęsknił. „Nie“, powtarzał w myśl, „nie“, i pochłonięty myślami zaczynał chodzić wzdłuż i w poprzek Tivoli, „nie“. Chodził tak aż do dwunastej, kiedy zamykano Tivoli; potem włóczył się jeszcze po ulicach; gdy wreszcie znalazł się w łóżku, nie mógł zasnąć...

— Charmant, charmant! — słyszał głos Quillandera. — Krewetki na lodzie, rzodkiewka, zakąski, ser edamski, emcenthaler, piwo i wódka. Mniej więcej tak to powiuno wyglądać w rodzinie chrześcijańskiej. Jeżeli mój wuj, broń Boże, niedługo zamknie oczy, zrobię was, Swenson, za to że tak rażno się uwijacie, swoim ochmistrzem. *Pugiles ingemiscunt...* Bokserzy stękają nie z bólu, ale dlatego, że dzięki wypchnięciu głosu całe ciało wprawia się w drganie — ach!!!

Mobius znalazł się na szerokiej, ocienionej werandzie, przy stole nakrytym obrusem śnieżnej białości. Poniżej ciągnął się wielki park Tivoli, znany już Möbiusowi; nianki siedziały tam ze swemi wózkami; żołnierze podchodzili do nianiek i mówili: wstań, zabieraj ze sobą wózek i chodź ze mną; z wieży ratuszowej dobiegł urywek melodji dzwonów: była dwunasta. Quillander posadził Möbiusa naprzeciwko siebie, z promieniejącą radością twarzą podnosząc do góry próżny kieliszek od wódki. Melancholijne żabie oczy Schorna również przebłyskiwały radością. Uśmiechnięty kelner dyskretnie pozostawał w tyle.

— Drogi przyjacielu, zapomniałeś wypić toastu — powiedział Quillander. — To nie do wybaczenia, ale ja ci przebaczam. Tylko niziny społeczne nienawidzą ludzi, wyświadczających przysługi natury ekonomicznej. Wyższe klasy przebaczą im to. Ale nie przebaczę ci, jeżeli nie skosztujesz tych krewetek. Tych zwierząt nie można znaleźć w całej Szwecji.

Möbius zabrał się do małej różowej krewetki. W tym momencie weszło duńskie towarzystwo, dwaj panowie i dwie młode panie w jasnych letnich sukniach. Te szczebiotały i śmiały się, a gdy zbliżyły się do szwedzkiego stołu, przyjrzały się uważnie adjunktowi Quillanderowi, jedna zaś zmierzyła Möbiusa powłóczystem, spokojnem, przyjaznem spojrzeniem. Möbius odwrócił się nieco na swem miejscu, jednak zauważył to spojrzenie. Gdy duńskie towarzystwo usiadło, pochylił się nad stołem i rzekł niepewnym głosem:

— To ciekawe, że kobiety w Danji patrzą na mężczyzn tak, jakby były ich siostrami, podczas gdy...

— ...podczas gdy nimi nie są — powiedział Quillander. — To co mówisz jest najczcigodniejszą prawdą. Spoglądają na nas ze spokojnem podniesionem czołem, ale czy mają na to prawo? Sądzę, że nie. Powiedzieć ci, co mi się zdarzyło wczoraj po twojem odejściu?

— Cóż takiego? — Möbius w roztargnieniu obserwował młodą damę, siedzącą przy sąsiednim stoliku.

— Ach — zaczął Quillander, wzdychając — raczej miał Cycero, gdy mówił: rozkosz usidli mężczyzn jak sieć ryby. *Homines voluptate sicut pisces* — o tak! Wczoraj sam byłem dowodem prawdy tej sentencji. Przypominasz sobie tę czarną dziewczynę, która przyszła do nas w pawilonie? Musiałeś zwrócić na nią uwagę przynajmniej o tyle, żeby przypomnieć ją sobie innym razem. Zresztą dlaczegoś uciekł?

— Byłem zmęczony — mruknął Möbius.

— Szkoda. Nie dlatego, żeby to była jakaś szczególna znajomość, lecz byłoby to korzystne z innych względów... czy wiesz co za odkrycie zrobiłem dziś rano? Że kasa znikła. Z tego punktu widzenia byłoby o wiele pomyślniej, gdybyś...

-- Kasa znikła! — Adjunkt Schorn upuścił widelec jak bagnet, wytrzeszczył oczy na Quillandera i zaczął oddy-

chać tak głęboko, że jego ciałka krwiste musiały osiągnąć wrażenie, iż jest to dzień pracy. Quillander rzucił na niego niechętnie spojrzenie i zakłopotany patrzył na Möbiusa, mrużąc oczy. Möbius sprawiał wrażenie, że nie dosłyszał tego, co do niego mówiono. Bezustanku spoglądał na sąsiedni stół.

— No, nie cała kasa, tylko to co miałem przy sobie... Hm. Mam zwyczaj zawsze część pieniędzy deponować u portjera. To wzmacnia kredyt, gdy później jest się zmuszonym do pompowania. Człowiek nie zajac. Nie pierwszy to raz zdarza się coś podobnego między ludźmi. — Quillander mówił z coraz większą pewnością siebie, i bez charakterystycznego wstępu wyciągnął z bocznej kieszeni podługowatą książeczkę.

— No, chwała Bogu, mamy to... Rozumiesz, w danej sytuacji musimy coś przedsięwziąć, inaczej jutro albo pojutrze gotowi nas zaaresztować.

Podługowatą książeczkę wraz z wiecznem piórem podsunął Schornowi. — Zażyruj, Möbius realizuje pożyczkę, ja akceptuję. Zawsze na najniebezpieczniejszych posturkach! Wódz nie waha się osłonić swe oddziały własnym ciałem. Ale czyni to chętnie, gdyż kocha swe oddziały, na dowód czego składa im kwiat. *Skol!*

Schorn wziął wieczne pióro i podpisał, rzucając na Quillandera wiele mówiące spojrzenie. Podługowatą książeczkę Möbiusowi, który ujął wieczne pióro i podpisał nie patrząc. Pióro odmówiło mu posłuszeństwa, więc wstrząsnął nim i podpisał jeszcze raz. Quillander, obserwujący wszystkie jego ruchy wytrzyśzczonymi oczyma, wyrwał książeczkę, zanim Möbius zdążył skończyć.

— Ach! — powiedział. — Teraz wysyłam to do banku, i pojutrze otrzymamy pieniądze telegraficznie. Wam to dobrze, nie macie pojęcia o załatwianiu spraw finansowych. Możecie to spokojnie złać na mnie. Svenson, je-

szcze ćwiartkę! Czuję, że moje oblicze promienieje jak oblicze proroka Mojżesza, a tamta młoda dama patrzy i na mnie, robiąc oko do Möbiusa, ale nie mogę przecież, u diabła, okręcić sobie głowy serwetką, jak Mojżesz. Swenson, po tej szynce prosimy o *persica apparatus*, brzoskwinie, i butelkę portweinu — tak, tak *Pêches Melba*, rozumiecie mnie, Swenson, cилubо swego zawodu, niechaj błogosławieństwo i powodzenie towarzyszy waszym czynom.

Zalatwiwszy się z jedną brzoskwinia, Möbius podniósł się.

— Niedługo wrócę — powiedział — zresztą zostawcie wiadomość w hotelu.

— Dokąd się udajesz?

— Idę do gliptoteki — powiedział Möbius. — Może masz ochotę pójść tam ze mną?

— Zwarzowaleś? Odejść od pełnej butelki takiego portweinu! *Omnia mea mecum porto* — *omnia* cała, *porto* ta butelka portweinu, *mea* jest moja, *mecum* i mam zamiar ją zabrać ze sobą — wewnątrznie, zaznaczone.

Adjunkci Quillander i Schorn lyknęli portweinu, patrząc wśląd za odchodzącym przyjacielem, który był ładnie uczesany, dobrze oczyszczony, i w swoim szarym garniturze wyglądał na świeżo upieczonego studenta. Nie przeczuwali, gdzie i w jakich okolicznościach spotkają znów adjunkta Möbiusa.

ASIAKOWA, OSTOJA  
I SKŁAD MATERIAŁÓW  
PIŚMIENNICH  
S. i J. Zielonkówien.

Sewaki, ul. Kłociszki 54

ROZDZIAŁ TRZECI

*Adjunkt Möbius odbywa podróż i ma o czem opowiadać.*

Letnie niebo sklepiało się jak błękitny parasol nad Roskildą a adjunkt Möbius stał przed słynną katedrą miejską i oglądał ją, myśląc o wszystkim innym.

Czemu adjunkt Möbius znalazł się w Roskildzie?

Taras Nimbu opuścił, aby być sam i móc porozmyślać. Czuł, że to dla niego było konieczne. Spodziewał się do-  
tąd, że przy pomocy Quillandera uda mu się poznać prawdziwe życie: i oto zaczął się przekonywać, że było to naiwnością. W Kopenhadze niewątpliwie można poznać prawdziwe życie, to zdaje się nie było wyjątkową właściwością jakiegoś określonego miejsca; ale w każdym razie nic nie można się było nauczyć, jadąc z Quillanderem czy jakimkolwiek innym przewodnikiem. Nie, nie potrzeba na to biura Cooka, że poznawać życie. Trzeba własną pięścią utorować sobie drogę do poznania. Trzeba „żyć niebezpiecznie“. Dopóki się otrzymuje pieniądze na swoje nazwisko i wydaje je na obiad i kolację, trudno powiedzieć, że się żyje niebezpiecznie. Żyć to działać, działać to wybierać. Jedyne wolny wybór, jaki mu udostępniono od chwili wyruszenia w podróż, było czy zjeść obiad u Wivela, czy w Pałast-Hotelu.

Möbius gładził swą spiczastą bródkę i patrzył na ka-

tedrę. Była obrzydliwa. Nie mógł się zmusić do podziwiania jej. Zbudowano ją z czerwonej cegły, w stylu napół romańskim, napół gotyckim. Okna były wysokie i wąskie, wciśnięte pomiędzy fasadę i boczne nawy. Brama od zakrystji była wymalowana tą samą brudno-brunatną barwą, która rzuciła mu się w oczy zaraz po przybyciu do Danji. Widział ją na meblach, na ścianach, na banknotach, wszędzie.

...Nie, nie można żyć niebezpiecznie według rozkładu dnia, jaki Quillander narzucił. Je się, pije, jeździ się autem; nie poznaje się życia ani nawet miasta, w którym się jest. Być może, iż możnaby to nazwać gromadzeniem doświadczenia, skoro jednemu z nich skradziono portfel, ale nie życiem niebezpiecznym, o nie, życie ma w pogotowiu większe triumfy i większe rozczarowania. Młoda Dunka, która mu się przyglądała swem jasnym spojrzeniem, dała mu błyskawicznie przecucie nieznanych krajów, do których się idzie, by poznać niebezpieczeństwo. Gdyby tylko miał odwagę rzucić się w coś niebezpiecznego, tak żeby swą wartość wystawić na próbę, żeby być zmuszonym do wyboru, do działania...

Möbius spojrział na zegarek: było po wpół do piątej. Co powiedzą Quillander i Schorn? Ani się domyślają, że pod wpływem nagłego impulsu poszedł na dworzec, wsiadł w pierwszy lepszy pociąg, i wyjechał z Kopenhagi. Ano cóż, spotka się z nimi kiedy będzie chciał. Najpóźniej jutro. Ich program od wczoraj nie uległ poważniejszym zmianom; jeżeli dziś nie przystosował się do niego, to jutro może to naprawić. Ale czy pozostać dłużej w Roskildzie; czy wracać do Kopenhagi?

W tym momencie do miejsca, gdzie stał Möbius, zbliżył się krótkonogi, siwy staruszek. Niósł w ręku pęk kluczy, i szło za nim towarzystwo złożone z ośmiu albo dziesięciu osób. Towarzystwo to wyglądało na prowincjonalów. Stary brzęczał kluczami i mówił coś niedo-

slyszalnie jak czarodziej, który probuje zatrzymać publiczność, dopóki nie nadeszła kolej na „numer“.

— Jeden z najstarszych kościołów w Danji, tylko Bi-borg, Maribo i Ribbe dają się z nim porównać pod względem starości. Saxo Grammaticus był proboszczem tej katedry i posiada sarkofag z łacińskim napisem, restaurowany w 1728. Chrystjan Jedenasty i wszyscy następujący po nim królowie posiadają w kościele grobowce.

Teraz zbliżył się do malej furtki z boku wieży. Otworzył ją, gestem zapraszając towarzystwo do wejścia.

— Proszę państwa, proszę, niech państwo będą łaskawi wejść. Tylko 50 oerów od osoby. — Tu nagle spostrzegł Möbiusa, który w milczeniu obserwował tę scenę. — Może i pan życzy sobie zwiedzić kościół? Wstęp 50 oerów. Państwo pozwolą, nieprawdaż?

Möbius drgnął. Oczywiście musi zwiedzić kościół, skoro jest w Roskildzie. To było jasne. Wsunął rękę do kieszeni, w której miał drobne. Wyciągnął ją i zlekka zarumienił się.

— Dziękuję, ja...

Odwrócił się i odszedł, nie dokończywszy zdania. Zakrystjan popatrzył wślad za nim i skrzywił się. Z przytłumionem westchnieniem zwrócił się do towarzystwa z prowincji.

Möbius zrobił właśnie przerażające odkrycie, że ma w kieszeni akurat 25 oerów. Nie wiedział, czy ma coś prócz tego w portfelu. Jeżeli i tam nic nie miał, to wolał przynajmniej być sam, gdy to stwierdzi.

Poszedł za róg i wyciągnął portfel. Z portfelu zionęła pustka, czarna pustka. Quillander obejmując kasę zaproponował wprawdzie, że może mu dać pieniędzy o ile będzie potrzebował; ale w danym momencie nie na wiele mu się to przydało. Gorączkowo przeszukiwał pozostałe kieszenie. Kieszeń od marynarki: nic; kieszenie od kamizelki: nic; kieszenie od spodni: również — nic!

w prawej znalazł jeszcze jedną monetę 25-oerową. Dwadzieścia pięć i dwadzieścia pięć stanowi razem pięćdziesiąt oerów! Niewielka suma. Bardzo niewielka. Przypomniał ją sobie z dzieciństwa, gdy obchodził urodziny. Wtedy skrzętnie przechowywał tę kwotę, żeby za nią pójść do muzeum. Pięćdziesiąt...

Nagle przyszło mu na myśl coś pocieszającego: przecież kupił bilet powrotny. Nie będzie przynajmniej zmuszony wracać piechotą do Kopenhagi. Ta myśl napelniła go takim rozradowaniem, że mechanicznie zawrócił do furtki kościelnej. Może wspomnienie lat dziecińczych, kiedy chodził zwiedzać muzea, wpłynęło na to, że tam skierował swe kroki. Stał przed wejściem, obracając w palcach swoje dwie monety dwudziestopięciooerowe. Czy wydać je? Czy wejść?

Wiadomo, że zakazane owoce najlepiej smakują. Po nich smakują najlepiej te owoce, których, ściśle rzecz biorąc, nie powinniśmy sobie życzyć. Möbius, spostrzegłszy teraz, że cały jego majątek sprowadza się do 50 oerów, zapalał żądzą zwiedzenia katedry, która mu przedtem była tak obojętna. Czy powinien był wydać swoje ostatnie pieniądze? Nie powinien był... Żądza przewyciężyła skrupuły. Ze swemi dwiema dwudziestopięciooerówkami w ręku otworzył drzwi.

W przedsionku katedry było pusto. Ani śladu zakrystjana z grupą turystów. Spostrzegłszy to — nie wcześniej — pomyślał Möbius o nowej możliwości: zwiedzić kościół i mimo to zatrzymać pieniądze.

Natychmiast odsunął od siebie tę myśl. Fe, jakie to pospolite! O tem nie może być mowy. Postanowił zwiedzić katedrę, więc gdy tylko znajdzie zakrystjana, który zapewne jest gdzieś w głębi, wręczy mu pieniądze. Stanowczym krokiem przeszedł przez przedsionek. Ale zanim wszedł do wnętrza katedry, ta natrętna myśl powróciła. A jeżeli na przykład zakrystjan będzie gdzieś



dalej od drzwi, cóż wtedy? Wtedy można będzie pobieżnie rzucić okiem na kościół i odejść. Nie będzie w tem, ściśle rzecz biorąc, nic złego. Jeżeli zakrystjan będzie stał przy drzwiach, w takim razie oczywiście wręczy mu pieniądze. A jeżeli nie, to... Nie domyślał do końca. Pochpnął drzwi z mimowolną ostrożnością i zajrzał do wewnątrz. Zakrystjana nie było w pobliżu. Wogóle nie było go widać. Pod wysokim sklepieniem katedry było pusto. Möbius wszedł i rozejrzał się wkoło.

Wnętrze kościoła, w przeciwieństwie do jego wyglądu zewnętrznego, było ciekawe. Ujrzał sarkofagi, tablice herbowe, chór z rzezbami w drzewie, starą, wspaniałą amboną, witraże w oknach, freski. Nagle usłyszał jakieś głosy. Dochodziły z prawej nawy bocznej, prawdopodobnie z jednej z kaplic, bo nikogo nie było widać. Nawet z tej odległości poznał głos zakrystjana. Jak echo odezwał się w nim głos sumienia. Postanowił natychmiast odszukać zakrystjana i zapłacić mu. Poszedł w kierunku bocznej nawy. Istotnie, głos rozlegał się z jednej z dobudowanych kaplic. Do wnętrza wiodło kilka stopni; okratowane, stalowe drzwi stały otworem. Żeby móc zapłacić, wystarczyło wejść na jeszcze jeden stopień i minąć kratę. Gdy to spostrzegł, zdecydowanie jego pierzchno w niepojęty sposób. Zatrzymał się w połowie schodków, obok szerokiej kolumny, i w zmieszaniu słuchał głosu zakrystjana:

— Kaplice królów Fryderyka Piątego i Chrystjana Szóstego, zbudowane pomiędzy rokiem 1774 i 1779 według projektów Harsdorfa, ale wykończone dopiero w roku 1825 przez radnego Hansena. Początkowo miało tu stać tylko pięć sarkofagów z marmuru, ale kaplice musiały pomieścić i późniejsze sarkofagi królewskie. W głębi pośrodku wznosi się marmurowy sarkofag króla Fryderyka Piątego, wykonany w marmurze włoskim przez rzeźbiarza Wiedefelta. Na prawo...

Następowało imię za imieniem, królowa Ludwika, król Chrystjan Siódmy, król Fryderyk Szósty, królowa Amelja, król Chrystjan Ósmy...

Möbius nadsluchiwał i spróbował przemknąć się do wnętrza kaplicy. Myśli jego błądziły innemi drogami. To mój kolega, myślał sobie, prawdziwy pedagog. Podobnie jak ja krąży dokola martwych rzeczy, wylicza nazwiska i daty ludziom, którzy je natychmiast zapomną.

— *Last not least*, proszę państwa zwrócić uwagę na wyjątkowo artystyczne i cenne wieńce ze złota, które na znak żałoby otaczają wspólny sarkofag pozostałych przy życiu. Wieńce te są niezwykle wartościowe, i w części są w nich osadzone drogie kamienie. Zwłaszcza te, które pokrywają sarkofagi króla Chrystjana Dziewiątego i króla Fryderyka Ósmego, są wyjątkowo cenne...

Określone sytuacje zdarzają się najczęściej nieoczekiwanie, i działa się w nich instynktownie. Zamiarcm Möbiusa było odszukać zakrystjana i zapłacić mu 50 oerów. Teraz zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Towarzystwo turystów zaczęło nagle wychodzić z kaplicy Fryderyka Piątego. Möbius zadrzał jak przyłapany złodziej i nie namyślając się zniknął za kolumną, przy której stał. Uratowawszy się szczęśliwie, zapragnął znowu iść dalej. To było niewłaściwe. Miał przecież 50 oerów na zapłacenie. Głos wewnętrzny mówił mu: a śmieszność? Jak to będzie wyglądało, jeżeli teraz się zjawisz? Pozostał na miejscu. Obserwował zakrystjana zamykającego okratowane drzwi kaplicy i wskazującego towarzystwu chór. Zakrystjan przez chwilę patrzył na kolumnę, za którą stał Möbius. Sumienie Möbiusa podniosło alarm: chciał poruszyć nogami i podejść, ale nogi były jak przykute do ziemi. Spojrzenie prześlizgnęło się dalej, nie zauważywszy go, i towarzystwo odeszło; Möbius stał ze swemi 50 oerami w ręku i potępiał samego siebie, żeby

w tem znaleźć wewnętrzne zadośćuczynienie. Gdy towarzystwo odchodziło, cofnął się, żeby go kolumna zasłoniła. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

Przecież to pierwszy raz w życiu zdarzyła mu się możliwość wyboru! Po raz pierwszy udało mu się uniknąć szablonu w postępowaniu. Cała sprawa była wprawdzie blaha, skoro chodziło w niej tylko o 50 oerów, ale 50 oerów to było wszystko co w danej chwili posiadał, i było wątpliwe czy po powrocie do Kopenhagi spotka Quillandera i Schorna. Musiał wybierać pomiędzy wymogami etycznymi (moralnem prawem zakrystjana do 50 oerów) i praktyczną korzyścią zatrzymania 50 oerów na własny użytek. Co powinien był wybrać? Trzeba było zdecydować się na jedno z dwojga. I mimo to stał, nie mogąc zdecydować się na wybór.

Głos wewnętrzny podszeptował mu co następuje: Cóż się stanie, jeżeli zapłacisz? Spełnisz wymogi etyki; ale w tym samym momencie, w którym to uczynisz, zniknie jedyna pokusa, jaką miałeś w życiu. Kto wie, kiedy się trafi następna? Może nigdy. Z jednej strony masz możliwość zaspokojenia kategoriycznego imperatywu przez zapłacenie 50 oerów; z drugiej — prawdopodobieństwo stanięcia wobec szeregu nowych konfliktów. Co jest więcej warte? Zapłacisz temu człowiekowi, i znów wszystko potoczy się utartą koleją. Nie zapłacisz, — staniesz wobec czegoś nowego, co cię kto wie dokąd może zaprowadzić.

Zakrystjan ze swem towarzystwem był na chórze i pokazywał rzeźby w drzewie, przechodząc już ku północnej nawie. Słychać było monotony głos starego:

— Zobaczmy teraz jedną z największych osobliwości kościoła. Kaplica grobowa króla Chrystjana Czwartego, zbudowana przez Stewinkla w latach 1615 i 1620, częściowo według własnego projektu króla...

Möbius zdobył się na odwagę. Twarz jego przybrała

charakterystyczny wyraz, któryby Quillandera pobudził do śmiechu. Postanowienie zostało powzięte: zwiedzi kościół, nie placąc 50 oerów. Zrobi wszystko, żeby starego wyprowadzić w pole. Chętnie ulegnie tej blahej pokusie i zobaczy co z tego wyniknie. Poczul się trochę niepewnie. Jak zacząć?

Stał wciąż jeszcze przed kaplicami Fryderyka Piątego i Chrystjana Szóstego. Czemu nie zacząć od obejrzenia ich? Odszedł od kolumny, za którą był wciśnięty, i rozglądając się badawczo wślizgnął się do kaplicy. Schodki przeszedł na palcach. Okratowane drzwi były zamknięte, ale mógł zajrzeć do wewnątrz. Na środku stał marmurowy sarkofag z posągami na wierzchu. Dalej stały sarkofagi kamienne i drewniane, ustawione w cztery rzędy. Na sarkofagach tych błyszczwały wieńce, o których mówił zakrystjan. Złoty wieńiec obok złotego wieńca. Möbius nigdy nie widział tyle złota. Szeroko otworzył oczy i zacisnął w rękę swe dwie monety dwudziestopięciooerowe. Myślał: gdyby zamiast mnie stał tu złodziej? Byłaby to ładna gratka dla bandy złodziejskiej!

Wreszcie odszedł od kaplicy, rzucając wkoło siebie ostrożne spojrzenie. Stary zakrystjan z towarzystwem był jeszcze w kaplicy Chrystjana Czwartego. Cóż miał teraz obejrzyć? Wahal się chwilę, i nagle opanowała go odwaga, którą musimy nazwać zuchwalstwem. Postanowił opuścić bezpieczną nawę boczną i wyjść na środek kościoła. Chciał obejrzyć chór i rzeźby w drzewie.

Miał uczucie, że dokonał najodważniejszego czynu w swem życiu, gdy wyszedł z *clair-obscur* nawy bocznej i zaczął się zbliżać do chóru. Był to śmiały czyn! Podłoga była pokryta grubą matą, i stapał najlżej jak tylko mógł, ale zdawało mu się, że wydaje odgłosy jak gdyby szedł w butach z ostrogami po marmurowej posadzce. Kościół rozrósł się do rozmiarów

katedry św. Piotra; sklepienie podniosło się do zawrotnej wysokości; podłoga stała się nieskończenie wielką płaszczyzną; chór był odległy o setki kroków. Miał ochotę biec. Jego odwaga gdzieś przepadła, i myślał w zamieszaniu co pocnie, jeżeli zakrystjan właśnie teraz wyjdzie z kaplicy wraz z całym towarzystwem. Czyż nigdy nie dojdzie do chóru? Powiększał kroki jak tylko nogi mu pozwalały. Oto jest już przy schodkach, wiodących na chór; oto jest już na górze, definitywnie zabezpieczony. Były tam wysokie ławki dla chórzystów, za którymi można się było ukryć, jeżeliby to było konieczne. Lecz teraz pragnął zakosztować owoców swego zwycięstwa. Uczynił to. Obejrzał szereg nabożnych rzeźb na ławkach chóru i obraz w ołtarzu; całą godzinę słyszał w halucynacji skrzeczący głos oszukanego zakrystjana:

— Te prace snycerskie, proszę państwa, należą do najpiękniejszych na Północy. Obejrzenie tylko pięćdziesiąt oerów, proszę państwa. Zostały wykonane w latach od 1430 do 1438, poczęści według szkiców króla Chrystjana Czwartego i radnego Hansena. Tylko pięćdziesiąt oerów, proszę państwa! Obraz, który państwo widzicie, przedstawia stworzenie Adama, następny stworzenie Ewy, następny grzech pierworodny...

Oczy Möbiusa zatrzymały się na trzecim obrazie, i myśl jego zaczęła pracować, każąc mu zapomnieć o wszystkim, co go otaczało. Grzech pierworodny. Kuszenie... Kuszeniu uległ Möbius dziś po południu. Przemówiło coś do niego tak samo jak do Adama i Ewy: czy naprawdę nie chcesz poznać nic nowego? Jeśli nie skosztujesz jabłka, zapłacisz 50 oerów, — cóż wtedy? Wówczas pozostaniesz w starym etycznym kieracie, w którym obracasz się jak maszyna. A jeżeli skosztujesz jabłka, nie zapłacisz 50 oerów — wówczas spotka cię coś nowego, co cię kto wie dokąd może zaprowadzić. Były to sło-

wa węża, podsłuchane przez Möbiusa; nleął pokusie; mimowoli spojrział na siebie, żeby się przekonać, czy jest nagi, jak pierwsza skuszona para. Czy to światło wieczorne wpadało poprzez sklepienie? Było tak cicho, że zdawało się, jak gdyby sama cisza mówiła: „Gdzie jesteście, Möbiusie? I coś uczynił?”

Zadrżał. Tak, gdzie jest? I co uczynił? Prawie zapomniał o całym świecie. I gdy ten zwolna w jego świadomości zaczął przybierać kształty, uderzyła go niezwykła cisza. W kościele nie było słyhać żadnego szmeru, ani skrzeczącego głosu zakrystjana, ani szurania butów turystów. Niewypowiedziany spokój zaległ pod wysokimi sklepieniami; słońce wieczorne przenikało szerokimi pasami światła, podobnemi do widzialnych niemych akordów organowych. Panował spokój, jak w ogrodzie rajskim. I zupełnie tak samo jak tam, był Möbius upadłym człowiekiem, który ten spokój zakłócił.

Straszliwa myśl wstrząsnęła Möbiusem. Czy wszyscy już odeszli, a on tego nie zauważył?

Opuścił chór i rzeźby w drzewie; zapomniał o ukrywaniu się i o 50 oerach. Biegł przez wyslaną matę nawę środkową, nie starając się zagłuszać odgłosu swych kroków. Wbiegł do kruchty, ze drzeniem nacisnął klamkę drzwi, przez które niedawno wślizgnął się do środka. Szarpnął nią raz po razie, poczem zrezygnowany wypuścił ją z ręki.

Przecucie go nie zawiodło. Drzwi były zamknięte. Podobnie jak pierwsi ludzie, adjunkt Möbius został po swym upadku zamknięty.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### *ucyelniony okropnościami.*

Kościół przy świetle dziennem daje duszy spokój, ale kościół w nocy?

Było około wpół do siódmej, gdy adjunkt Möbius został zamknięty w roskildejskiej katedrze.

Z początku zajął się myślami, obracającemi się dokoła etycznej strony sytuacji. Cóż on właściwie uczynił? Zaczął się kierować własnym rozsądkiem; bardzo prędko jednak nadeszła reakcja po podnieceniu, które go opnowało na chórze. Śmiał się ze swej egzaltacji. Spotkał się po raz pierwszy z prawdziwą pokusą i uległ jej. Ale cała sprawa była blaha. Gdyby upadł naprawdę, w takim razie jego wybór na rzecz nieprawości pociągnąłby za sobą jako konsekwencję brak swobody w czynach natury obyczajowej. Czy to było prawdopodobne? Odpowiedział przecząco na swoje własne pytanie. Był zamknięty w kościele i pozbawiony swobody działania na zewnątrz, ale wewnątrz! Nie. Konsekwencje, jakie ten „upadek“ mógł za sobą pociągnąć, były wyłącznie natury praktycznej. Chwilowo niemila sytuacja i być może później nieprzyjemne wyjaśnienia. Przerywając rozmyślenia, roztropnie postanowił upewnić się, czy rzeczywiście był zamknięty.

Szarpnął jeszcze kilka razy drzwi kruchty, poczem poszedł ku wielkiej bramie wejściowej. Jak przewidywał, znalazł ją zamkniętą i zaryglowaną. Wówczas poszedł zobaczyć, czy w kościele są jeszcze jakie drzwi.

Przeszedł prawą nawę, oglądając każde załamanie muru, minął ciasne wejście na chór, odnalazł dwie zakrystje i lewą nawę wrócił do punktu wyjścia. Skonstatował, że w kościele jest jeszcze dwoje drzwi, w obu zakrystjach. Ta podróż odkrywcza podwoiła jego szanse na wydostanie się. Ale oba wyjścia były zamknięte, więc sytuacja jego się nie zmieniła.

Był sam w katedrze roskildzkiej, sam i zamknięty. Majaczyło mu się, że praktyczne przykrości, będące następstwem jego „upadku“, mogą być bardzo poważne. Do niedzieli brakowało jeszcze trzech dni, sądził więc, że jeśli tej niedzieli dzwony pogrzebowe nie zadzwonią za niego, może mieć nadzieję na dwie rzeczy: albo zakrystjan zajrzy przez gorliwość, albo turyści przyjdą zwiedzać kościół. Turyści wypłacalni, ludzie uczciwi, którzy zapłacą swe 50 oerów zakrystjanowi. Jeżeli ci przyjdą albo jeżeli zakrystjan okaże się gorliwszy od swych kolegów po fachu, w takim razie ma widoki na ocalenie, inaczej...

Była jeszcze trzecia możliwość: mógł spróbować własnymi siłami wydostać się z kościoła. Ale jeżeliby się na to zdecydował, to prócz okna nie miał innej drogi do wyjścia. Drzwiami napewno nie można było wyjść. Ale już sama myśl o oknie wystarczyła, żeby mu krew uderzyła do głowy. Po pierwsze, jak się dostać tak wysoko, po drugie, okna wydają się takie wąskie, że jest rzeczą wątpliwą, czy można się będzie przez nie przedostać, po trzecie, przypuścmy, że się przedostał a tam stoją ludzie i przypatrują mu się jak złazi... on, urzędnik, pedagog.

Sklepienia wznosiły się nad nim w swej surowej pro-



stolinijnności; patrzył na nie, na tablice pamiątkowe, na stare organy, na obraz w ołtarzu, na kazalnicę. Stał pośród tego wszystkiego, co pragnął zobaczyć, i mógł wszystkiemu się przyjrzeć, mógł skosztować owoców z drzewa wiadomości dobrego i złego... I dziwna rzecz, nie miał już wcale ochoty na te owoce. Nasycił się nimi w jednej chwili. Czy Adam i Ewa mieli to samo uczucie?

To już były głupie fantazje! Odpędził je od siebie z uczuciem przykrości. Pomyślał praktycznie: która godzina? Jak się zdawało, było koło ósmej. Jedno było pewne, że tego wieczoru nikt nie przyjdzie do kościoła. Jeżeli chciał wyjść jeszcze dziś, musiał w ten sam sobie poradzić. W przeciwnym razie musiał spędzić noc w kościele. Czy miał sposobność wydostać się oknem?

Nie powziąwszy co do tego decyzji, zaczął chodzić wzdłuż murów kościelnych, badając spojrzeniem okno po oknie. Wszystkie wydawały mu się niedostępne. Były umieszczone bardzo wysoko; były wąskie; były aż po dach zamknięte mnóstwem haków; gdyby chciał wydostać się przez jedno z nich, musiałby wybić witraż. Ta myśl wystarczyła mu do powzięcia decyzji. Nie chciał robić nic podobnego. Musiał pozostać w kościele do jutra.

Nagle zauważył, że pod sklepieniem zaczyna się ścieśniać. Gdy spojrział na zegarek, było już koło dziewiątej. Równocześnie zwrócił uwagę i na to, że był strasznie głodny. W tym samym momencie jego decyzja została zachwiana, i zatrzymał się przed witrażowym oknem przy wejściu na chór. Wydawało się, że było niżej położone niż inne. Może więc spróbować?

W jego duszy zawrzała zacięta walka. To ulegając jednej myśli zakładał ręce w tył i robił pół kroku do odejścia. To znów powracał na to samo miejsce i przyglądał się oknu. Jego żołądek był równie niezdecydowany jak

jego dusza; po długim patrzeniu na okno, gdy już jasne było dla niego, że nie chce, głód zdawał się znikać; ale zaledwie zrobił krok do odejścia, żołądek krzyczał tak gniewnie, że wydawało się Möbiusowi, iż w kościele słyhać echo. Nagle wpadł na nowy pomysł: czy nie wartoby za przykładem żołądka pokrzyzczyć?

Czemu wcześniej o tem nie pomyślał? Było przecież całkiem możliwe, że zostalby usłyszany. Krzyknął. Głos rozległ się niepewnie, i echo z wnętrza kościoła nie miało z nim najmniejszego podobieństwa. Odczekał chwilę i jeszcze raz krzyknął. I tym razem nie było odpowiedzi. Głos wołającego na puszczy, pomyślał sobie i zaczął od nowa. Wydał trzeci, czwarty i piąty krzyk rozpaczny, wkładając w każdy całą siłę swych płuc; wydawało mu się, że musiał chyba pobudzić umarłych w kaplicy grobowej, i mimo to nie zbudził nikogo z żywych. Było rzeczą bardzo pocieszającą, że nie potrzebował się martwić o etyczne następstwa swego pierwszego wolnego wyboru; ale następstwa praktyczne z godziny na godzinę przedstawiały się poważniej.

Krzyki jego jednakże wywarły przynajmniej ten skutek, że go zmęczyły. Ukołysał swój żołądek, który zasnął jak rozplakane dziecko, z cichym protestem, ale zasnął. Postanowił pójść za jego przykładem. Kościół nie jest ideałem hotelu, ale może dać skromny nocleg. Möbius szukał sobie ławki pod amboną, niedaleko od kolumny, za którą schował się przed zakrystjanem. Ławka była wąska, ale i Möbius nie był gruby. Wyciągnął się, położył głowę na ręce i po dwudziestu minutach zasnął.

Nawet teolog nie śpi dobrze w kościele, jeżeli leży na wąskiej ławce, z głową na ręce. Najpierw śniło mu się o lisach, które mają swe jamy, podczas gdy on ma tylko kamień, na którym może złożyć głowę. Ale wkrótce przyszły gorsze sny. Obawa upadnięcia z ławki zamie-

niła się w obawę przed wyrzutami sumienia z powodu upadku, który, być może, już miał miejsce. Ciężki oddech stał się skrzeczącym wykładem zakrystjana, pokazującego kościół. Ból w ramieniu, na którym leżał, wywołał złudzenie senne, iż skazano go na łamanie kołem za karę, że połamał pewne rzeczy. Wkońcu leciał w powietrzu i rozglądał się dokoła ślepymi, zaspanymi oczyma. Motywy, które przy świetle dziennem argumentował swój upadek i swą winę, w ciemnościach nie miały wcale siły przekonywującej. Serce biło mu mocno w poczuciu winy i ze strachu. Widzi kolumny, niknące nad nim w mroku jak olbrzymie pnie drzew; widzi dziwaczne rzeczy, które w ciemności z poza tych pni przyglądają mu się, tu i tam coś błyska blado, niewiedomo dlaczego; słyszy przytłumiony szmer, który niewiedomo skąd pochodzi; wreszcie ogarnia go niewypowiedziany strach. *Co to było?* Czy nie słyszał odgłosu kroków? Ale któżby o północy chodził po kościele? Kościół jest pusty; nikt tu nie mieszka prócz umarłych, którzy spoczywają w kaplicach pod kamienną posadzką. Czyżby to były... czyżby kroki, które słyszał... Głupstwa, umarli nie wstają, to animizm, zabobon ludów pierwotnych, w który nie wierzy żaden człowiek nowoczesny... Ale, wielki Boże, co to było? To były kroki, ciche kroki, tak ciche, jakich nigdy nie... Dobry Boże... i przytłumione głosy... *Na pomoc!*

Gdyby adjunkt Möbius zaczął wzywać pomocy, jego krzyku z zewnątrz niktby nie usłyszał tak samo jak wieczorem. Ale tym razem zdusił krzyk w gardle zanim zdążył go wydać.

Krzyk ten był zrodzony przez strach przed czemś nadnaturalnem; stłumił go zaś strach przed czemś, co wydawało się naturalne. W odległości około dziesięciu kroków od niego świeciła się latarka, którą ktoś trzymał w ręku. Wąskie pasmo światła rozpraszało nieco

mroku, skacząc po szeregu matowych prętów; w tyle widać było niewyraźną sylwetkę; nagle światło latarki padło na inną postać, którą widać było w ciągu sekundy. Potem światło zgasło. Rozległo się skrzywienie, przypominające zgrzyt piły lub pilnika. Adjunkt Möbius, który zmienił już pozycję na siedzącą, opadł z powrotem na poręcz ławki i odruchowo wyciągnął chustkę od nosa. Gdy ją podniósł do skroni, spostrzegł, że całe czoło ma mokre. Nie było już żadnych wątpliwości eo do tego, co się działo; nie były to upiory z kaplicy, byli to żywi ludzie. A czy jakikolwiek żywy człowiek mógł o tej porze znajdować się w kościele w znacznych zamiarach? Co oznaczało to światło, które zapalało się i gasło? Co to był za zgrzyt, który słyszał? Na te pytania była tylko jedna odpowiedź: byli to złodzieje kościelni, nie umarli, którzy opuścili kaplicę, lecz żywi, którzy się tam włamali.

Z chustką przy skroni próbował Möbius obserwować co będzie dalej. Gdy oczy jego przyzwyczaiły się do ciemności, mógł dostrzec dwie poruszające się sylwetki, jedną większą, drugą mniejszą. Stały, jak się zdawało, schylone, jedna obok drugiej. Zaobserwował kontury dwóch czapek sportowych. Zgrzytliwy odgłos zaczął się głośniejsz rozlegać. Od czasu do czasu milknął, ciemne postacie podnosiły się i nadsluchiwały. Potem zgrzytanie zaczynało się na nowo. Nagle latarka zapłonęła; białe pasmo światła prześlizgnęło się po tych samych cienkich, matowych prętach. Möbius pojął nagle jasno całą prawdę.

Cienkie pręty należały do okratowania kaplicy Fryderyka Piątego. Kaplica ta mieściła się tam właśnie! Nawprost tej kaplicy miał miejsce jego upadek. Złodzieje przepiłowywali kratę, za którą znajdowały się złote wieniec na sarkofagach królewskich.

Równocześnie przyszło Möbiusowi na myśl, że jak się

zdaje, jego pierwszy wolny wybór istotnie pociągnie za sobą konsekwencje natury etycznej. Czyż wobec samego siebie mógł pozwolić złodziejom bezkarnie plądrować? Nie. Jego świętym obowiązkiem było przeszkodzić temu. A ponieważ sam tego nie może zrobić, musi zawołać ludzi do pomocy.

Zaszedłszy tak daleko, w zwątpieniu pocierał skronie. Bardzo pięknie, że musi zawołać pomocy, ale jak? Skąd pomoc ma nadejść? Nikt się nie zjawił, gdy wzywał pomocy dla siebie. Czy było prawdopodobne, że ktoś przyjdzie, jeżeli w środku nocy zacznie krzyczeć o pomoc dla kościoła? Złodzieje pierwsi go usłyszą, a ci...

W tym momencie zamilkł zgrzytliwy odgłos, i Möbiusowi wydało się, że zapanowała zupełna cisza. Ale rozległo się ciche, bardzo ciche skrzypienie. To skrzypiała otwierana furtka w okratowaniu. Zamek został odpilowany. Dwie ciemne sylwetki powstały, stały się niewyraźne i znikły. Mrok kaplicy wszystko pochłonął. Tylko czarny odbłask wskazywał, gdzie znajdowało się jedno z okien. Noc musiała być chmurna i bez księżyca; szyba była prawie popielata. Co powinien był zrobić?

Objął krawędź ławki, tak że aż mu końce palców zdrętwiały. Wkońcu powstał mechanicznie i poszedł w kierunku nawy bocznej. Z kaplicy słychać było przytłumione odgłosy kroków i wdrapywania się na coś. Przypomniawszy sobie, że sarkofagi były wysokie. Złodzieje musieli wejść na nie, żeby zabrać wieńce. Nastąpiła pauza a po niej ciche trzeszczenie, które się powtarzało raz po razie. Brzmiało to jak trzaskanie cienkiego lodu.

Jeżeli chciał działać, musiał działać szybko. Trzeszczenie mogło oznaczać tylko to, że złodzieje bliscy byli pakowania łupu. Czy miał wołać o pomoc? Nakaz etyczny wołał: tak, jego „ja“ odpowiadało: nie. Taki sam wybór jak wczoraj po południu, taki sam wybór jak

zawsze. Ale teraz chciał być człowiekiem o silnej woli; chciał udowodnić, że jego swoboda działania nie akceptuje pierwszego niesprawiedliwego wyboru. Czuł, że może to udowodnić, gdyż całe jego dotychczasowe życie, cała jego istota przypominała mu, że należy zawsze wybierać dobro i walczyć ze złodziejami. Jeżeli to ułatwiło mu decyzję, stało się to bez jego wiedzy.

Nie wiedział, jaki podszept kazał mu udać się na chór. Może podświadomie przypominał sobie, że stamtąd widział domy za oknem. Lecz nagle pobiegł przez ciemną nawę boczną, wydając okrzyki, z jakimi mogliby ścigać się Teutoni. Krzyczał całą siłą płuc, krzyczał w noc na oślep, krzyczał tak, że wszystko zagłuszał, nawet bicie swego serca. Spozrzegl matowe polyskujące okno i biegł ku niemu, jak ćma do światła. Potem mechanicznie skręcił do bocznej kaplicy, być może, z podświadomym zamiarem ukrycia się tam; w każdym razie było to pozbawione widoków powodzenia dopóki tak hałasował. Teraz już nie był zdolny do niczego więcej. Ze ściśniętą krtanią upadł na podłogę przed oknem małej kaplicy. Czy go wzrok nie mylił?

Tak — okno przed nim było otwarte i zwiśla przez nie drabinka sznurowa.

Zaledwie to sobie uświadomił, gdy zdarzyło się coś nowego. Wysoka postać wpadła do kaplicy i przewróciła go. Usłyszał okropne przekleństwo. Potem spadło na niego coś ciężkiego, co go prawie zmiażdżyło. Słyszał głosy i dostrzegł błysk latarki.

Upłynęło parę sekund; potem rozległ się szyderczy śmiech.

— Co u diabła, klecha o tej porze w kościele!

Promień latarki ześlizgnął się z jego twarzy na korpus. Przytem zauważył, że siedział na nim gruby mężczyzna w sportowej czapce. Był gładko wygolony i miał szeroką twarz z wystającą dolną szczęką. Wyżej zoba-

czył inną twarz — ciała nie było widać w ciemności — bladą, wąską i wydłużoną, o zaciśniętych ustach i chytrych oczach. Nic więcej nie mógł dostrzec, bo światło latarki skierowano mu w oczy.

— Kim pan jesteś? — Ciężki był tym, który zadał pytanie. Głos miał silny, o twardym akcencie, który aż zastanowił Möbiusa. A równocześnie brzmiał w nim strach. Möbius znowu musiał dokonać wyboru. Co miał odpowiedzieć? Myślał prędko i postanowił mówić prawdę. Zresztą czuł, że w danej chwili nie był zdolny do kłamstwa.

— Ja... pochodzę ze Szwecji.

— Pochodzi pan ze Szwecji? Co pan tu robił?

Nie było wątpliwości, człowiek ten musiał być cudzoziemcem, gdyż mówił z akcentem cudzoziemskim. Möbius odpowiedział wymijająco:

— Chciałem zwiedzić kościół...

— Gadanie! Czy w Szwecji w nocy zwiedzają kościoły?

Tym razem Möbius nie mógł zapanować nad sobą. Zanim sobie zdał sprawę z tego, co mówi, usłyszał własny głos:

— Zdaje się, że jednak w Danji tak postępują.

Jego replika nie zyskała sobie poklasku. Wstrząśnięto nim ostro.

— Do diabła! Nie gadaj pan głupstw! Prędko: coś pan tu robił?

— Dziś po południu zapragnąłem zwiedzić kościół i zostałem zamknięty...

— Kłamstwo! Łżesz pan! Służący nikogo nie zamyka. Sam tu byłem. Prędko, gadaj pan, coś pan tu robił?

Möbius znowu stanął wobec alternatywy, czy skłamać, czy powiedzieć prawdę, wyjawiając to czego mu było wstyd.

— Nie miałem pieniędzy na zapłacenie służącemu i...

Latarka zbliżyła się do niego i zaświeciła mu w oczy badawczo i hipnotyzująco.

— Aha! Oszukałeś go pan! Aha! Wierzę temu, wygląda pan na to! Czem pan się zajmuje w Szwecji?

Möbius mrużył oczy w świetle latarki.

— Jestem adjunktem.

— Co to takiego adjunkt?

— Jestem adjunktem teologii — nauczycielem.

— Aha-a, klecha! Przychodzi do kościoła i oszukuje, zakrystjana, aha-a-!

Człowiek siedzący na Möbiusie za boki się trzymał ze śmiechu, a żebra Möbiusa trzeszczały jak suche wióry. W tej samej chwili Möbius usłyszał cichy szmer i spojrział w górę. Ktoś wlaził przez okno. A więc jego okrzyki zostały dosłyszane! Żeby tylko dostatecznie silny był ten, który tu idzie, aby mógł walczyć z człowiekiem siedzącym na Möbiusie. Sądząc z ciężaru, musiał to być olbrzym i silacz nielada.

Niestety! Teraz człowiek siedzący na nim spojrział w górę i zauważył tego, który wchodził przez okno. Ale nie gotował się do walki. Powiedział obojętnym tonem:

— No?

— Ani żywej duszy — odpowiedział przybyły. — To indywiduum w całej Roskildzie jest jedynem, które nie śpi.

Möbius zadrzał, jeśli to jeszcze było możliwe. A więc był to jeden ze złodziejów, pozostały nazewnątrz, by badać teren. Daremnie krzychał. Ciężki podniósł się, poczem zaraz obmacał Möbiusa rękami. Möbius odczuł ulgę fizyczną, co go w pewnej mierze podniosło na duchu.

Ciężki ze swym pomocnikiem zaczęli rozmawiać szepsem; pomocnik śmiał się piskliwie i oświecał Möbiusa latarką. Potem ciężki zniknął z latarką, pozostawiając Möbiusa ze swym przyjacielem. Möbius podniósł się



zostrożna i myślał, czy mu to daje jakie szanse. Zanim sobie z tego jasno dał sprawę, poczuł, że ktoś obejmując go położył mu przyjaźnie rękę na prawem ramieniu. Był złapany w sposób jak najuprzejmiejszy. Piskliwy głos, który już słyszał, powiedział z żartobliwym wyrzutem:

— Ładna historia, co? Słyszał to kto! Klecha okpiwa zakrystjana! Ha-ha-ha... Pięćdziesiąt oerów. Każdy klecha jest zrobiony na jedno kopyto, i co z nich mamy? Nic! Guzik.

Möbius rad był z ciemności, nie pozwalającej widzieć jego twarzy. Ponieważ kamienie kościelne milczały, mówili ci, aby obwieścić o jego upadku.

Nagle z głębi kościoła wynurzyło się wąskie pasmo światła. Ciężki powracał. Słyszał było, jakby włókł coś za sobą. Teraz zabierze złote wieńce i ulotni się, myślał Möbius, a jutro, gdy mnie tu znajdą, zostaną oskarżony o włamanie i skazany. Jeśli dotąd byłem skłonny pohopnie sądzić swoich bliźnich, przysięgam, że nigdy więcej tego nie zrobię.

Ręka, która go tak grzecznie trzymała, uwolniła go teraz a jej właściciel zniknął za oknem. Ciężki ujął żelaznym uściskiem rękę Möbiusa w przegubie i nachylił się do niego.

— Żadnych głupstw. Kapujesz pan? Nie krzyczeć, nie wrzeszczeć. We własnym interesie — nie wyprawiać żadnych głupstw!

Jego oddech i ostrzeżenia trafiały Möbiusa prosto w twarz. Möbius doszedł do wniosku, że człowiek ten nie jest wrogiem napojów wysokowych. Osobista znajomość Möbiusa z duńskimi wódkami była jeszcze niezbyt bliska, ale sądził, że z całą pewnością może twierdzić, iż zarówno „Aalborg“ jak i „Bröndum“ nieobce były ciężkiemu. Co się zaś tyczy ostrzeżeń, wydawało mu się rzeczą łatwą zastosować się do nich. W danej chwili sądził, że nigdy już nie będzie miał ochoty do

robienia głupstw. Ta dziedzina jego fantazji była sparializowana. Ciężki podniósł plecak i potężnym rzutem cisnął go swemu przyjacielowi, który go złapał i zachwiał się tak, że omal nie wypadł za okno. Odzyskał jednak równowagę, i plecak zniknął. Teraz pójdzie ciężki, myślał Möbius, i zabierze ze sobą drabinkę sznurową. Jutro przyjdzie kościelny, znajdzie mnie, zostanie oskarżony i...

Ta sama co i przedtem mocna dłoń uściśnęła przegub jego ręki, i znowu poczuł zapachy dwóch słynnych wódek.

— Wstawaj pan! Prędko! I uważaj pan: żadnych głupstw, nie krzyczeć, nie wrzeszczeć! Patrz pan: tu jest rewolwer. Krzyknie pan — strzelam! Wstawać, prędko!

Möbius bełkotał coś, wytrzeszczając oczy na ciemną twarz włamywacza. Nic nie mógł zrozumieć. Ciężki przyszedł mu z pomocą.

— Myślisz pan może, że pan tu zostaniesz, żeby wszystko opowiedzieć policji? Myślisz pan, żeśmy tacy idjoci jak pan? Prędko! Wstawać!

Dusza Möbiusa pogrążona była w chaosie; próbował przezwyciężyć poczucie urażonej godności osobistej, ale powstrzymała go ta szczególna i miła dla niego nowina, że nie pozostanie tu i nie będzie zmuszony rozmawiać z zakrystjanem. Uchwycił się chwiejnej drabinki i niezgrabnie zaczął wlaźć, od czasu do czasu podpierany kolanem ciężkiego. Mogłoby ono być trochę miększe.

Teraz oddychał świeżym powietrzem: z łatwością dostał się na parapet wąskiego okna i zauważył, że jeżeli drabinka była im wewnątrz niezbędna, to nazewnątrz była zbędna. Okno znajdowało się w ciemnym kącie nad przybudówką wznoszącą się zaledwie jakieś trzy stopy nad ziemią. Usłyszał za sobą sapanie. To ciężki był na górze. Ten odwiązał drabinkę i owinał ją zwy-

czajnie i praktycznie dokoła piersi i ramion Möbiusa. Potem ujął Möbiusa lewą ręką, w prawej trzymając plecak, i zaczął schodzić. Jego przyjaciel podtrzymywał plecak z drugiej strony. Rozjaśniło się tak, że Möbius mógł zobaczyć ich twarze. Jeden rzut oka upewnił Möbiusa, że byłoby niedorzecznością stawiać opór. Ciężki nachylił się ku niemu, po raz ostatni rzucając mu prosto w nos ostrzeżenie:

— Uważaj pan! Nie robić żadnych głupstw! — Krzykniesz pan — strzelam!

Möbius doszedł do przekonania, że proporcja pomiędzy dwoma słynnymi gatunkami wódki była 2 : 1 na korzyść „Bröndum“. Był tak odurzony, że prawie nie zauważył, jakimi ulicami szedł.

Nagle znaleźli się w alei topolowej. Obok jednej z topól stało auto. Pomocnik włamywacza zasiadł przy kierownicy; ciężki rzucił się na tylne siedzenie, umieszczając Möbiusa obok siebie a plecak przed sobą. Po upływie sekundy jechali bezszelestnie aleją topolową a trochę później spał Möbius błogo w kołyszącym się aucie, nie myśląc o zagadnieniach moralnych.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

*W grę wchodzi „wiecznie kobiece“.*

Mała bródka wznosiła się spiczastym klinem nad podbródkiem śpiącego. Stosując się do kolejności matematycznej, przejdziemy do okienka w dachu, wyróżniającego się swą małością; wyglądało, jak gdyby nerwowy architekt pragnął przy jego pomocy przeszkodzić złodziejom na tej drodze. Okienko w dachu znajdowało się pośrodku pochyłej ściany. Zarówno ta ściana jak i trzy pozostałe były wymalowane na choleryczny, trująco-zielony kolor. Przy jednej ze ścian, nawprost drzwi, stało łóżko; nad tem łóżkiem, na trująco-zielonej ścianie, wisiała tablica genealogiczna duńskiego domu królewskiego, po cztery generacje w jednym rzędzie, i na łóżku leżał człowiek ze spiczastą bródką. Człowiek ten spał. Był to adjunkt Möbius.

Właśnie teraz dręczyły adjunkta Möbiusa straszne sny.

Śniło mu się, że leży w kabinie okrętu, płynącego do Ameryki. Zmusił go do tego rozpaczliwego kroku szeregu nadużyć jakie popełnił. Wymknął się potajemnie: gimnazjum w Brostacie było przed nim zamknięte raz na zawsze; poszukiwał go szereg banków szwedzkich.

w których nadużył swego dyskonta, a także policja duńska i zakrystjan z Roskildy. Serce ciotki Lundén pękło. Przed drzwiami kabiny siedziało rzędem dwunastu policjantów, jak wróble na drucie telegraficznym, i czekało na niego. Nie mieli zamiaru wejść i ująć go. Wiedzieli, że wkrótce musi wyjść, aby uśmierzyć głód. I czekali na niego, podobnie jak myśliwi czekają, aż mors wyjdzie ze swej lodowej jaskini. Za nimi stał złośliwie wykrzywiony zakrystjan z Roskildy i mówił, wskazując na drzwi kabiny: „Drzwi te zostały zbudowane w latach od 1648 do 1650, według szkiców Chrystjana IV-go. Właściwie nie są to drzwi tylko klatka zbudowana poto, by pojmać Gustawa Adolfa II. Zamiast niego złapaliśmy adjunkta Möbiusa, który malpuje zakrój brody Gustawa Adolfa, mnie zaś oszukał na sumę 50 oerów. Oprócz tego ukradł on z katedry wszystkie złote wieńce“.

Na te słowa wszyscy policjanci zerwali się z miejsc, weszli do kabiny i pochylili się nad Möbiusem. To ciekawe, myślał Möbius, sądziłem, że będzie ich czuć wódką, a tymczasem nie czuć ich niczem. Niechże już ci policjanci ujawnią jego prawdziwy charakter, zamiast skubać go za brodę, by się przekonać, czy jest prawdziwa. Wobec takiego zuchwalstwa stracił swą wrodzoną łagodność i postanowił ich wytargać za włosy. Doprawdy, co to miało znaczyć? Mieli długie włosy. Czy duńska policja nosi peruki jak starożytni Egipcjanie?

Zwolna otworzył oczy. W ciągu paru sekund, które upłynęły zanim całkiem oprzytomniał, przesunęło mu się przez głowę mnóstwo wspomnień, odpędzając sny. Przypomniał sobie dwie twarze, widziane w szarem świetle poranka; jedna to twarz aktora z zadatkami na podwójny podbródek, o normalnych oczach, zlekka nabrzmiała i pokryta siecią telegraficzną zmarszczek, promieniujących z kącików oczu; druga — szczupła twarz

herubina z jasną czupryną, przenikliwemi, jasno-niebieskimi oczyma i zuchwałym lobuzerskim uśmiechem na czerwonych ustach. Pierwsza należała do ciężkiego, który mu w katedrzeomal nie zmiażdżył klatki piersiowej, do człowieka mówiącego z akcentem cudzoziemskim i mającego upodobanie do wódki; druga — do jego przyjaciela. Był to ten, który siedział przy kierownicy. Ręce miał wąskie i dbał o nie jak kobieta; prowadził maszynę, jedną rękę trzymając na kierownicy, z papierosem w kąciku swych dziewczęcych, wyzywających ust, i od czasu do czasu rzucał przez ramię spojrzenie na Möbiusa. Möbius, który zasnął natychmiast po odjeździe z Roskildy, obudził się dzięki temu, że auto skręciło — b-r-r — o-i-u — b-r-r — w tym samym kierunku, z którego przyjechało. Gdy się ocknął, siedział przy nim ciężki i obserwował go przeszywającym, dużo dającym do myślenia spojrzeniem: zdawało się, że chce sobie dobrze zapamiętać rysy Möbiusa zanim się z nim rozstanie, aby go wrzucić na zawsze do studni albo do kanału. Möbius siedział, wciąż jeszcze obwiązany drabinką sznurową. Patrzył oczyma człowieka uspiętego narkotykiem i zahipnotyzowanego, mięśnie mu drgały jak paralitykowi; czuł, że jego spiczasta bródka porusza się w górę i w dół, jak dolna warga żującego królika. Nagle ciężki zabrał się do niego; młodzieniec przy kierownicy, którego twarz w świetle poranka była biała jak wapno, skrzywił się wymownie, jak gdyby myślał: „Teraz się to stanie!”. To samo myślał Möbius. W chwilę później leżał z kneblem w ustach i z zawiązanemi oczyma na dnie auta i słyszał obrót kół. Nic więcej się nie stało. Jednostajny szmer gum toczących się w kurzu drogi polnej przeszedł w szereg odgłosów urywanych, co wskazywało, że auto wjechało na wyboisty bruk. Nagle gumy zaszumiały, jak gdyby wjechały na gładką płaszczyznę; auto posuwało się bez wstrząśnień. Möbius do-

szedł do przekonania, że jadą po asfalcie. Potem znowu nastąpiło wstrząśnienie i wark motoru zamilkł. Nagle rozległ się znowu, i Möbius, ślepy i niemy, został wypchnięty z auta, — nie pasażer, ale pakunek. Słyszał otwieranie i zamykanie drzwi; potem niesiono go po niezliczonej ilości stopni, zaniesiono do pokoju, oswohodzono od knebla i drabinki sznurowej, nie zdejmując opaski z oczu, i pozostawiono go samego. Była to pierwsza dłuższa podróż autem, jaką Möbius odbył w swem życiu. Po pewnym czasie zdobył się na odwagę i podniósł ręce do opaski na oczach; nicpo tem nie nastąpiło, więc zdjął ją. Ujrzał wymalowany na zielono pokój z oknem u góry i drzwiami w duńskim narodowym kolorze — brudno-hrzonowym; ustalił, że drzwi i okno są zamknięte od zewnątrz, że widoki ograniczają się do wierzchołka kasztana i czterech generacyj domu Glückshurgów, a na umeblowanie jego mieszkania składa się komoda, stół, krzesło i łóżko. Sądząc po tem wszystkim, był to pokój służącego. Nogą od krzesła rozbił jedną z czterech małych szybek, nie rozszerzając przez to pola widzenia, i zatonął w rozmyślaniach. Bezsprzecznie, jego pierwszy fałszywy krok pociągnął za sobą cięższe konsekwencje, niż można się było spodziewać... Krok ten postawił go wobec konieczności nowych decyzji, które, jak przypuszczał, będą lepsze; znalazł się w sytuacjach, nie dających się przeniknąć; mógł z całą pewnością przewidzieć, że stanie wobec konieczności mnóstwa nowych decyzji, w których warto będzie zaznaczyć swą postawę moralną. Jeśli pragnął pokus, by wypróbować swą cnotę, miał ich pod dostatkiem... Po jakimś czasie zbudził się jego żołądek, który chciał jeść natychmiast, bezzwłocznie i bez żadnego gadania. Möbius znużony wszelkiego rodzaju rozmyślaniem, zasnął wkońcu na łóżku służącego; śniło mu się, że go policjant ciągnie za brodę, i obudził się ponieważ targał policjan-

ta za jego długie włosy. Teraz otworzył oczy. I cóż zobaczył nad sobą?

Najpierw zdawało mu się, że to błękitne niebo, potem, że jasna toń morską. Po chwili zauważył, że wpatruje się w dwoje oczu dziewczęcych.

Upłynęło parę sekund zanim spostrzegł, gdzie się znajduje jego ręka. Włożył ją we włosy, które zwisały falą ponad niebiesko-zielonemi oczyma. Włosy te ręka Möbiusa objęła mocnym chwytem. Twarz poza temi włosami była brązowa, opalona, z dwiema równymi brwiami i wymownymi ustami. W danej chwili wyrażały one gniew.

— Niech mnie pan nie targa za włosy! Proszę puścić! To boli!

Usta mówiły po duńsku. Möbius zmrugał oczy jak przed zbyt silnym światłem. Daleki od tego, żeby puścić włosy, rozmyślał, czy to nowy sen, czy też dalszy ciąg dawnego.

— Niechże pan puści moje włosy, mówię panu!

Möbius popatrzył na trująco-zieloną ścianę, na cztery generacje, na okno w dachu z wybitą szybą. Był to ten sam pokój, w którym zasnął, to było pewne. Również komoda, krzesło i brudno-brązowe drzwi były starymi znajomymi. Nagle osa ugryzła go koło lewego ucha. Wypuścił włosy i odruchowo schwycił się za policzek. Wydało mu się, że dostał w twarz. Tak, nie można było dłużej wątpić. Policzek go palił. Dziewczyna wyprostowała się i przypatrywała mu się z zadowoloną miną. Möbius milczał; dziewczyna językiem zwilżyła wargi.

— Dlaczego pan nie puścił, kiedy panu mówiła?

Gniewnie zmarszczyła brwi i zaczęła sobie poprawiać włosy.

Jak Madonna rozpuściła je wkoło twarzy, ale sama twarz nie miała nic z Madonny prócz czoła, które było niskie i szerokie. Nosek był zlekka zadarty a dość sze-



roko rozstawione oczy były niebieskie i wcale nie niebieskie. Miała smagłą cerę i była ubrana w cienką, ciemno niebieską suknię z dekoltem. Szyja i ręce były mocno opalone. Gdyby adjunkt Möbius, zamiast tarzać za włosy, objął ją ramieniem w talji, przekonałby się, że nie nosiła gorsetu.

Möbius leżał na łóżku i nadaremnie starał się wmówić sobie, że się obudził.

— Czy pani... — wybąknął — czy pani pociągnęła mnie za brodę?

— A co pan myślał? POCO pan nosi brodę? To wstrętne!

— Śniło mi się, że to policja — mruczał Möbius — i dlatego schwyciłem panią za włosy.

— Policja! — odpowiedziała! — O jej! Dlaczegoż panu się zdaje, że policja chodzi za panem?

Möbius potarł ręką czoło i usiadł na łóżku. Sytuacja komplikowała się coraz bardziej. Ale nadszedł czas na wyjaśnienia. Gdzie się znajduje? Co to za dziewczyna?

— Gdzie jestem? — zapytał. — Co to za dom? Kim pani jest?

— Niech mi pan pierw powie kim pan jest, wtedy panu odpowiem.

— Nazywam się Möbius...

— Jak pan się nazywa?

— Möbius, M — ö...

— Mö! Ha-ha! Tak ryczą krowy na pastwisku.

Na cały głos zaczęła udawać ryk krowy, która woła: „Czas doić, chodźcie prędko!” Möbius umilkł i obserwował ją rozszluszczony. Wreszcie umilkła.

— Zawsze to mówię, jakie wy codzoiemcy macie komiczne nazwiska! Skąd pan pochodzi?

Odpowiedział krótko:

— Ze Szwecji. Czy mogę panią prosić...

— Doprawdy? Nie z Niemiec?

— Przecież pani słyzy, że mówię po szwedzku.

— Boże! Niemiecki i szwedzki to przecież prawie jedno i to samo.

Möbius wzruszył ramionami na ten pogląd filologiczny. Dziewczyna przysunęła się o krok.

— Dawno pan jest w Danji?

— Nie, od paru dni. Może pani będzie teraz tak uprzejma i powie mi, co...

— Jeszcze pan nie powiedział czym pan jest z zawodu. A więc?

— Jestem adjunktem gimnazjalnym. Może teraz będzie pani tak uprzejma i powie mi, gdzie jestem?

Przyglądała mu się z miną wyrażającą zupełne niezrozumienie. Powtórzył swe życzenie. Odpowiedziała tylko pytaniem:

— Jak pan mówi? Adj...

— Adjunkt gimnazjalny.

— Coto takiego?

— Adjunkt w gimnazjum.

— Co to takiego?

Möbius spojrział na Chrystjana IX, wzywając go na pomoc, lecz spokojny monarcha pomocy mu nie udzielił. Wreszcie zdobył się na określenie:

— Adjunkt gimnazjalny... Adjunkt... — Światło zstąpiło na niego. — Nauczyciel, nauczyciel w gimnazjum! Czy zechce pani teraz...

Był dumny z siebie. Przerwała mu:

— Nauczyciel w szkole! To nieprawda! Pan nie jest nauczycielem! Nigdy nie widziałam nauczyciela, któryby wyglądał tak jak pan...

Nie będąc obeznanym z organizacją szkolnictwa duńskiego, Möbius nie wiedział jak ma się do tego ustosunkować. W zakłopotaniu wyglądał swój nowy garnitur, który nie wyglądał już tak świeżo jak poprzedniego

dnia na tarasie Nimbu. Były to skutki spania w kościele. Powstawszy z łóżka, zobaczył, że był tego samego wzrostu co ona. Niebieskie oczy obserwowały go z ciekawością. Zapiął kołnierzyk i poprawił krawat.

— Nauczyciel! Nauczyciel! Pan wcale nie jest nauczycielem!

— Słyszysz pani co mówię.

— Co pan wyklada?

— Czy to konieczne, żebym... Wykładam historję świętą. No, teraz pani już wie, a więc...

— Wyklada pan historję świętą! Czy pan jest duchownym?

— Nie, słyysz pani przecież co mówię. Jestem nauczycielem. Czy będzie pani teraz skłonna wyjaśnić mi...

— Czy pan bije swoich uczniów?

— Nie! Istnieją przepisy zezwalające na to, ale to niepotrzebne.

— Tak? A ja dostałam po twarzy od nauczyciela Lunda jeszcze w ostatnim roku szkoły.

— Aha! Niech więc pani pozwoli...

— Tak, wobec całej klasy. Ale żaden z naszych nauczycieli nie wyglądał tak jak pan.

Möbius znowu zaczął szukać w swej toalecie czegoś, co należało doprowadzić do porządku, ale nic takiego nie znalazł.

— Nie, pan wygląda na takiego łagodnego! Nie wierzę, żeby pan mógł kogoś uderzyć. Czy dziewczęta z pana klasy kochają się w panu?

Möbius poczuł, że mu płoną policzki, i przyglądził włosy.

— Nie, mam tylko chłopców. A teraz pozwoli pani, że zapytam, ale to jak najpoważniej: co to za...

— Nic powiedział pan jeszcze, skąd pan tu przybył.

— Pochodzę ze Szwecji.

— Ze Sztokholmu?

— Nie, z małego miasteczka, między Sztokholmem i Malmö. Niechże pani teraz będzie tak dobra i powie mi: czy domyśla się pani w jaki sposób się tutaj znalazłem? I niech pani łaskawie powie co to za dom i wogóle gdzie się znajduję?

Möbius zamilkł i zapanowała cisza. Ona zamknęła usta i przyglądała mu się badawczo. On zamknął usta i wpatrywał się w nią, jakby ją chciał przeniknąć nawskroś. Cztery generacje obserwowały ją ośmioma chytremi oczami Glücksburgów. Przez wybitą szybę słyhać było szum kasztana. Upłynęło parę sekund, minuta, półtorej minuty. Möbius myślał z takim napięciem, że aż mu w głowie huczało. Kimże ona była? Wspólniczką ludzi, którzy go tu zaciągnęli? Nie wyglądała na to. Kim więc mogła być? Nie, na to stanowczo nie wyglądała. Jej oczy były zuchwale, ale nie mówiły o znajomości z włamywaczami i lotrami. Zauważył, że na jej serdecznym palcu nie było pierścionka. Jeżeli będzie dłużej zwlekać z odpowiedzią, w takim razie sprawa jest jasna: wtajemniczono ją we wszystko. Nagle otworzyła usta, ale poto, by zadać pytanie.

— Poco pan przyjechał do Danji?

— Chciałem ją zwiedzić.

— Czy tylko poto?

— Tak... to jest...

Möbius umilkł. Przypomnił sobie, że żyłka turystyczna nie decydowała o jego duńskiej podróży. Pociągnęły go do niej inne pobudki. Pobudki natury etycznej. Miał poznać życie z jego pokusami, miał wypróbować swą cnotę i chciał wreszcie zostać człowiekiem. Ale czy miałoby cel mówić jej to? Z pewnością nie. Tyle samoby z tego zrozumiała, co z dziesięciu przykazań odczytanych jej po hebrajsku. Ale coś musiało w tem być, bo jej zwlekanie z odpowiedzią nie stało w sprzeczności z jej dwojgiem ciekawych, niebieskich oczu. Te kazały

się domyślać, że coś się kryło poza tem zwlekaniem. Tajemnice, które można zbadać, sekrety, które można przeniknąć; czy ulegały swej przyrodzonej skłonności i pragnęły te tajemnice i sekrety odgadnąć.

— A więc? — powtórzyła. — Przyjechał pan do Dajni nie tylko poto, żeby ją zwiedzić? A poco?

Milczał. Nagle usłyszał dźwięczny śmiech.

— Ha-ba! Wiedziałaś o tem! Inni też tak przypuszczali. Pan jest tak samo nauczycielem jak mój narzeczony Piotr. Pan również mógłby nim zostać, tylko że za późno pan przyszedł.

Niebieska sukienka zakręciła się koło drzwi, które przedtem były zamknięte od zewnątrz. Zanim się obejrzał, pozostał sam z czterema generacjami. Lecz te miały teraz ciekawe niebieskie oczy zamiast czarnych i cztery łożędy białych zębów, odsłonięte w dźwięcznym śmiechu. I nagle przypomniał sobie słowa biblji o pewnych osobach, które nazewnątrz prezentują się wcale nieźle, ale w istocie przepelnione są nieczystością.

Nie można było wątpić, czy należy do bandy włamywaczy czy nie, sama mu to przecież powiedziała.

Wszystko jedno dla czego, ale dopiero teraz uświadomił sobie Möbius w całej rozciągłości konsekwencje swego pierwszego błędnego kroku.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

*w którym adjunkt Möbius zaczyna się czuć jak  
Oliwer Twist.*

Siedzenie w zamkniętym na dwa spusty, zielono wymalowanym pokoju, z czterema generacjami jako jedynym towarzystwem, czyni umysł ludzki skłonny do rozmyślań. Möbius siedział tam, tępo wpatrując się przed siebie. W domu było cicho, i ta cisza dawała mu możliwość wsłuchiwania się w głos swego żołądka. Ten zaczął od próbnego burczenia, podobnie jak mówca od chrząknięcia; ponieważ nie zwróciło ono uwagi, powtórzył je; a gdy i to nie poskutkowało, zabrał się jak najpoważniej do rzeczy. Złościł się, odpoczywał chwilę i przycichał. Potem zaczynał od nowa łagodnym, udanym głosem sumienia. Adjunkt Möbius postępował wbrew wyraźnie wypowiedzianemu pogładowi swego sumienia. Adjunkt Möbius zdawał sobie sprawę z konsekwencji. Bo cóż się stało? Siedział oto tutaj jako więzień bandy włamywaczy, których zamiary były oczywiste; chcieli oni zagłodzić adjunkta Möbiusa, podobnie jak poganie głodzili pierwszych chrześcijan w podziemiach Rzymu. Upłynęły już dwadzieścia trzy godziny od czasu jak jego biedny żołądek otrzymał po raz ostatni coś do jedzenia. Zresztą czy warto było gadać

o tem? Rzekome sumienie śmiało się szyderczo — i właśnie wówczas, ku swej radości, usłyszał Möbius głos, nie wydany przez jego organa wewnętrzne. Pochodził z zewnątrz; był gruby i zapasany.

— Uff! Przekłęte schody! Jeszcze trzy, jeszcze jeden! No przecie!

Teraz zazgrzytało coś w zamku. Adjunkt Möbius zerwał się, zaczerwieniony z napięcia i złości. A więc przyszedł ktoś, komu można będzie wypowiedzieć swe zdanie. Dobrze! Ten kto przyjdzie usłyszy je bez obsłonek, usłyszy szczerą prawdę. Któż to przyszedł?

Drzwi otworzyły się wolno, tak wolno, jakby przybyłemu chodziło o efekt teatralny. Möbius spojrział roziskrzonymi oczyma, ale pozostał na miejscu jak wryty. Przez drzwi wtoczyła się wielka kula. Była okrągła, wzdęta i obciążnięta szarym materjałem. Teraz okazało się, że kula posiada zakończenia górne i dolne. U góry przechodziła w serję podbródków, przypominających słoje drzewa, u dołu wydłużała się w dwie krótkie nogi, zakończone małemi kobiecemi stopami. Uznawszy to wszystko za część świata materjalnego, dostrzegł Möbius ponad podbródkami męską twarz. Była ona proporcjonalna do brzucha; skóra zwisała jak u słonia; usta pod cienkimi wąsikami były duże i chytne. Na nosie spoczywały okulary z powiększającemi szklami. Z poza nich tępe czarne oczy przyglądały się Möbiusowi.

— Hm! Wygląd nieco zdeprymowany. Bródka w klin, niebieskie oczy. Klecha? Niewykluczone, wyższa szkoła powszechna, luteranin. Duszno, nieznośne gorąco. Nudzi się panu tutaj, prawda? Czy jest pan istotnie duchownym, jak utrzymują? W takim razie co pan sądzi o stanie religji w Danji?

Möbius cofnął się o krok, jakby chciał wymierzyć policzek kolosowi. Grubas wtoczył się do pokoju i zamknął drzwi za sobą.

— Denerwuje się pan? Poco? Chciałem z panem tylko porozmawiać o pewnych rzeczach, które mogą go interesować. Ale wszyscy duchowni są skłonni do irytacji, to skutek złego trawienia. Za dużo pokarmu i za mało ruchu pociąga za sobą złe trawienie. Przepraszam pana, że mówię jak epileptyk — schody mnie zmęczyły, mam astmę. Co do mnie, sądzę, że stan religji w Dauji jest bardzo niepomysłny.

Dusza Möbiusa ezula się jakby ją rozdierano czterema końmi; pragnął zapytać co to wszystko miało znaczyć; i chciał odpowiedzieć kolosowi, który usiadł. W rezultacie wykrztusił:

— Czy mogę zapytać, — hm — kim pan jest?

Kolos poruszył głową wprzód, jak gdyby to był oderwany złom skały na szczycie jegogłowy, co prawdopodobnie miało wyobrażać nachylenie się, i powiedział:

— Ma pau słuszność, trzeba się przedstawić, w Szwecji nie mówi się z nieznanymi; jestem Hoff-Jensen, dyrektor; z kim mam przyjemność?

— Nazywam się Möbius; chciałbym...

— Czy pan jest duchownym?

— Nie jestem duchownym, jestem adjunktem gimnazjalnym, o czem miałem już przyjemność powiedzieć szanownym przyjaciółom pana, panie... — jak pan powiedział?

— Hoff-Jensen, dyrektor. Jestem zachwycony. Jakże zdrowie i sprawy miłosne? Spodziewam się, że jak najlepiej.

Dyrektor! Möbius w milczeniu wytrzeszczał oczy na grubasa. Istotnie, chciałby wiedzieć, gdzie był dyrektorem! Ale był to oczywiście tylko kawał. Mimochodem zwrócił uwagę na szwedczyznę pana Hoff-Jensena; była dziwaczna, jednakże zrozumiała; w każdym razie wskazywała, że pan Hoff-Jensen pobierał nauki w środowisku zbliżonym do czcigodnego fachu komiwojażerów.



Pan Hoff-Jensen potwierdził wielokrotnie to mniemanie, w czasie gdy Möbius robił na nim spostrzeżenia.

— Aha! Möbius! Co słyhać dobrego? Czy nie znajduje pan, panie Möbius, że tu jest bardzo gorąco? To krzyż pański, być grubym w taki upał!

— Niechno pan posłucha, panie Hoff-Jensen!

Möbius zwrócił się do spasionego Duńczyka, wlepiając w niego oczy, które z głodu formalnie płonęły.

— Pragnę z panem pomówić.

— Cały się zamieniam w uwagę — a więc?

Möbius namyślał się chwilę.

— Niestety, nie. Ładny dom, nie miałbym nic prze-

— Czy to pański dom?

ciwko temu.

— Ale zna pan jego mieszkańców?

— Czy pan przypuszcza, że się tu włamałem?

— Nie widzę powodu, dla którego miałby pan tego nie zrobić. Osoby, które mnie tu gwałtem sprowadziły, włamały się dziś w nocy do katedry w Roskildzie i splondrowały ją. Czy pan nie wie o tem?

Grubas podniósł brwi z wyrazem zdumionej obojętności i wzruszył ramionami.

— Co pan mówi? To niemożliwe!

— Więc pan nic o tem nie wie? Nie sądzę — w każdym razie... — Möbius spróbował być dyplomatą — w każdym razie teraz wie pan o tem. Osoby, które mieszkają w tym domu albo które conajmniej sprowadziły mnie tutaj, włamały się dzisiejszej nocy do katedry w Roskildzie i skradły kosztowności. Rozumie pan?

— Tak pan twierdzi?

— Twierdzą tak, i to jest prawda! Jak pan zamierza postąpić?

— Nie sądzę, żeby to była prawda, i zasadniczo *nigdy* się nie wtrącam do cudzych interesów.

— Tak? Proszę więc, niech pan pomyśli, że nie może

być mowy o *cudzych interesach*, skoro pan je poznał. Począwszy od chwili, w której się pan dowiaduje jak sprawy stoją i nie reaguje na nie, staje się pan współodpowiedzialny za wszystko.

— Ach, ach! Drogi panie Möbius, przestraszyłby mnie pan naprawdę, gdybym uwierzył, że konsekwencje jakiegokolwiek czynności dadzą się przewidzieć. Cóż jest niewinniejszego, niż ruch rąk tasujących karty? A jakie konsekwencje mogą z tego wyniknąć? Dla jednego ruina, dla drugiego bogactwo. Ale czy można o to obwinić tego, kto tasował karty? Stanowczo nie. On ma prawo umyć od tego ręce — i znówu ruch ręki, mogący mieć nieobliczalne następstwa.

Möbius słuchał sofizmatów grubasa, zlekka zdziwiony, że pochodzą właśnie z jego ust. Ale nie chciał dać się zbyć byle czem. Tupnął nogą i krzyknął:

— Pan igra słowami, żeby samemu sobie wmówić, że nie jest pan współodpowiedzialny za machinacje istoty pozbawionej sumienia. Nie chcę dłużej mówić o etycznej stronie sprawy, ale pan tytułuje siebie dyrektorem. Nie wiem, czy pan jest nim naprawdę...

— Ależ zapewniam pana! Wszystko co panu powiedziałem cechuje prawie niewiarygodna ścisłość. Nazywam się Hoff-Jensen i jestem dyrektorem.

— Trzymam pana za słowo. Jest pan dyrektorem takiego czy innego przedsiębiorstwa i patrzy pan przez palce na pewne machinacje, które, przewidziane przez pańską naturę moralną, są wprost antyspołeczne, szkodliwe, destrukcyjne. Ja...

— Drogi panie Möbius, poznałem dotąd tylko jedną czynność destrukcyjną, a tę wykonuje moja praczka. Za każdym razem, gdy odbieram koszule z prania, stwierdzam to na nowo. Słuchałem, żeby pana lepiej poznać. Z ręki Boga i mojej praczki otrzymuję obecnie wszystko co mi jest niezbędne.

— Z tego wnoszę, iż byłoby rzeczą beznadziejną...

— A ja z tego wnoszę, że pan mnie nie chce zrozumieć. Niechże pan pozwoli mówić tak, żebyśmy się mogli wzajemnie zrozumieć. Mówmy jak ludzie, jak powiedziała papuga. Jest pan pastorem... to jest, teologiem. Czy wierzy pan w wolność woli?

Möbius wytrzeszczał oczy na grnbasa. Pytanie to wprawilo go w zdumienie.

— Tak, ale...

— To znaczy, że pan nie wierzy?

— Ależ... Jeśli pan chce wiedzieć, wierzę, iż posiadamy swobodę wyboru. I im częściej wybieramy źle — mam na myśli możliwości wyboru w tej samej dziedzinie działania — tem nasza wola staje się mniej swobodna, i w rezultacie...

— A teraz, czy wierzy pan w wolność woli, w pokusy, ich przezwycięzenia i tym podobne historje?

Möbius znowu cofnął się o krok. Tego pytania bynajmniej nie oczekiwał. Skupił się. Postanowił się wypowiedzieć. Ten człowiek drwił sobie z niego; trzeba mu dać odprawę. Pomimo to, na co się wczoraj zdecydował w Roskildzie, wiara jego była niezachwiana — tak, to co się stało w Roskildzie tylko umocniło jego wiarę. Mocnym głosem powiedział:

— Tak, nie tylko wierzę w wolną wolę, która musi być wypróbowana przez pokusy, ale żeby tego dowieść, wybrałem się w tę podróż. Z tego też powodu znajduję się obecnie tutaj, gdzie bynajmniej nie mogę się poszczycić swobodą zewnętrzną.

Kolos otworzył usta ale zamknął je z powrotem i obserwowal Möbiusa ze zdziwieniem i pewnem niedowierzaniem, jak człowieka, który dobrowolnie okazuje, że jest niespełna zmysłów. Wreszcie chrząknął i powiedział krótko:

— Jestem innego zdania. Nie wierzę, żeby ktokol-

wiek mógł robić to co chce albo być tem czem chce, ale — również z innych powodów — nie chcę się wtrącać do cudzych interesów jak również poglądów. Zresztą może mi się uda przekonać pana w czasie pańskiego pobytu tutaj.

Möbius ocknął się.

— Nie mamy potrzeby debatować nad filozofją, co innego mamy do omówienia. Powiedziałem panu, w jaki sposób się tutaj dostałem. Czy ma pan zamiar mnie wypuścić?

— Drogi panie Möbius, mówiliśmy właśnie o tem, jak nieobliczalne konsekwencje może mieć najprostsza czynność. Konsekwencje wypuszczenia pana mogłyby być tak nieprzewidziane, że aż się wzdręgam na tę myśl. Aż do dalszego...

Möbius przerwał mu. Czuł coś dziwnego pod powiekami.

— Zamierza pan mnie tu zatrzymać — bąknął — wiedząc o tem, że... że to bezprawie...

— Drogi panie Möbius, cały dom nie jest taki ponury jak pańska sypialnia. Żałuję, że nie dano panu czegoś lepszego. Z prawdziwą przyjemnością pokażę panu resztę mieszkania. Jestem chwilowo zarządzającym, i nie drożę się. Nie biorę nawet pięćdziesięciu oerów.

Möbius zaczerwieniał się po uszy. Nie można było nie zrozumieć tej aluzji. Jeżeli dotychczas powątpiewał, czy gadatliwy dyrektor jest w zмовie z włamywaczami, to w danej chwili wątpliwości były wykluczone. Włamywacze nie odmówili sobie satysfakcji opowiedzenia o błędzie, jaki wczoraj popełnił. Poczul się zwyciężonym przez wstyd i bezradność. Stał i milczał. I wtedy właśnie coś się zdarzyło.

Pośród ciszy rozległ się głos, który długo milczał, zagłuszony przez dźwięki artykułowane, ale który absolutnie nie miał zamiaru pozwolić się stłumić wewnątrz

po wieczne czasy — głos jego żołądka. Nie udawał już głosu sumienia; przemawiał w swym własnym języku; zaburczał tak chrapliwie i przeciągle, że aż gruby dyrektor w zdumieniu cofnął się o krok. Widocznie trudno mu było określić miejsce, gdzie się znajdował nowy mówca. Potem pogładził się po czole, popatrzył na Möbiusa z żywą sympatją i zawołał ze współczuciem:

— To to tak! Więc tak źle o pana dbano? To wstyd, to wielki wstyd dla pensjonatu pani Zingel. Pozwoli pan że wydam odpowiednie zarządzenia! Na dole czeka na mnie śniadanie, czy będzie pan łaskaw dotrzymać mi towarzystwa?

Möbius stał na brzegu Rubikonu, i wiedział o tem. Jeżeli powie: nie — a sądził, że powinien tak postąpić — w takim razie zrobi naprzekór tym, którzy go uwięzili; a jeżeli powie: tak — czego ani myślał uczynić — w takim razie przyjmie coś od nich, będzie miał wobec nich zobowiązania. Jeżeli powie: nie, będą musieli nabrać dla niego respektu — ale co będzie, jeżeli jednak nie nabiorą respektu? Jeżeli pozostawią go w zamknięciu, nie troszcząc się o niego więcej? Godzina za godziną samotnie w tem zielono wymalowanym więzieniu... Co potem nastąpi? W rezultacie musi jeść, jeżeli nie chce popełnić samobójstwa. A tego przecież nie chciał. Teraz Hoff-Jensen uchylił drzwi. Powolna fala zapachu przedostała się ze schodów i odnalazła drogę do nosa Möbiusa.

Befsztyk. Befsztyk z przysmażanemi kartoflami.

Hoff-Jensen odwrócił się.

— Na co pan czeka?

Möbius skrzyżował ręce na piersiach i spoglądał na niego, blady naskutek głodu i walki wewnętrznej.

— Niech pan idzie — powiedział.

— Ależ, na Boga, co się stało?

— Niech pan idzie i je swe śniadanie. Ja nie pójdę z panem.

— Cóż to za głupstwa? Przecież nie może pan żyć, nie jedząc.

— Nie życzę sobie jeść razem z panem.

Hoff-Jensen wzruszył ramionami.

— W takim razie każę przynieść panu jedzenie.

— Dziękuję, to zbyt wiele. Nie przyjmę pokarmu ani od pana, ani od kogokolwiek z tego domu.

— Nawet od Wery?

„Wera!“ drgnął Möbius, „więc ona ma na imię Wera?“. Nie dając odpowiedzi, obserwował grubasa z miną, mówiącą wyraźnie, że Wera jest dla niego równie odpychająca jak reszta osób w tym domu.

Grubas zbliżył się do niego. Sceptyczna mina, jaką miał podczas dyskusji o wolności woli, znikła; teraz, gdy chodziło o jedzenie, był śmiertelnie poważny.

— Niechno pan posłucha — powiedział. — Nie może pan żyć bez jedzenia, nieprawdaż? Jakkolwiek jest pan człowiekiem pełnym doskonałości, jednak bez jedzenia żyć pan nie może.

— Jestem bardzo daleki od doskonałości — gorzko odparł Möbius. — Ale nie chcę w tym domu przyjmować pokarmu.

— Ależ, dzieciak z pana...

— Niech pan się napróżno nie trudzi, słyszał pan co powiedziałem...

Gruby dyrektor ze zdumienia zostawił otwartą połowę drzwi; drzwi wychodziły na...

Möbius ujrzał klatkę schodową z malowanymi szymbami w oknach, ale nikogo tam nie było. Dzika myśl zaświtała mu w głowie, i aż czarno mu się zrobiło przed oczami. Odepchnąć kolosa, zbiec po schodach, szarpnąć drzwi i znaleźć się na wolności... Przeliczył się

jednak. Pan Hoff-Jensen zagroził przejście swym brzuchem, jak złodem skały.

— Żeby pan nie nabawił się bicia serca wskutek biegania po schodach — powiedział — uprzedzam pana, że drzwi wyjściowe są zamknięte i że pilnuje ich Nero. Widział pan już Nerona? Gdy ja na niego patrzę, rozgryza najtwardsze kości, nie nabawiając się bólu zębów. A więc, czy zechce mi pan towarzyszyć?

Möbius zagryzł usta. Na połowie schodów podniósł się z legowiska ogromny czarno-biały buldog, o klatce piersiowej jak przód okrętu Wikingów, i zawarczał ostrzegawczo. W następnej chwili tłusty dyrektor znalazł się na najwyższej kondygnacji schodów. Drzwi od wymalowanego na zielono pokoju zostały zamknięte, ale nie przez dyrektora Hoff-Jensena. Z wewnątrz rozległo się warczenie, jako odpowiedź na warczenie buldoga. Zmęczone, smutne warczenie, brzmiące jak jęk. Wydał je organ, który poprzedniego dnia malpował głos sumienia, ale dopiero teraz zniechęcił Möbius ten głos bardziej niż cośkolwiek innego na świe-

cie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

*Adjunkt Quillander zadaje pytania i broni praw ży-  
rantów.*

- Rozumiesz, co to ma znaczyć?
- Nie, powiedziałem ci już.
- Albo z czym to się łączy?
- Oczywiście, również nie.
- Albo co on sobie właściwie myśli?
- Moja odpowiedź jest niezmienna.
- Albo jak to wogóle jest możliwe? Nie dlatego, żebym miał do niego zbyt wiele zaufania, jeśli chodzi o dysponowanie pieniędzmi...
- Udowodniłeś to już czynem.
- Ale wszystko ma swoje granice! Skoro nie oświadczył mi całkowicie swej sytuacji ekonomicznej...
- Hm!... Przepraszam cię! To tak mi się tylko wydawało.
- Ponieważ niecałkowicie wtajemniczył mnie w stan swoich interesów, dlatego nie mógł mieć przy sobie więcej niż dwie korony. Przypominam sobie, że mu dałem dwie korony jakżeśmy tu przyjechali.
- Zawsze masz szeroki gest w sprawach finansowych. Czy naprawdę dałeś mu dwie korony z jego własnych pieniędzy, gdyśmy tu przyjechali?



— Z jego własnych pieniędzy? Co za głupstwa? To były pieniądze uzyskane dzięki temu, że na własne ryzyko podpisałem dwa weksle, które..

— Które daleś mu do podżyrowania!

— Które dałem mu do podżyrowania, żeby otrzymać pieniądze z banku. Czy to jego pieniądze? To były drobne, które wydaję w ciągu jednego dnia. Zresztą co to ma do rzeczy? Grunt, że dałem mu dwie korony — a może trzy? — przypuśćmy, że trzy — gdyśmy tu przyjechali. Do przedwczoraj musiał coś z tego wydać. Możebyś mi wyjaśnił czy jest rzeczą możliwą, nawet dla takiego człowieka jak on, egzystować dwa i pół dnia za niecałe trzy korony?

— Masz słusność, że mnie o to pytasz. Wątpię czy sam mógłbyś dać odpowiedź na to pytanie. Mnie daleś mniej więcej tyle samo do rozporządzenia.

— Nie mam zamiaru odpowiadać na twoje głupstwa. Najważniejsze jest to, że on przedwczoraj miał najwyżej trzy korony. Dalej, najważniejszą rzeczą jest to, że go od dwóch dni niema. Gdyby miał przy sobie więcej pieniędzy, sądziłbym, że poszedł gdzieś pohulać. Na to, oczywiście, miał ochotę, a nas się wstydzil. Ale z trzema koronami!

— A może miał więcej?

— Skądby wziął?

— Ode mnie nie, zapewniam cię. Zgóry to przewidziałeś.

— Bądź łaskaw dać spokój tym utyskiwaniom. Musimy się zastanowić co robić. O ile mogę sądzić, istnieją dwie możliwości.

— A mianowicie?

— Pierwsza, że pożalował swego wyjazdu i wrócił do Brostatu. To najprawdopodobniejsze.

— Hm.

— Tak, on się bał. Widziałeś przecież, jak się nam

wymknął pierwszego wieczora. Nie było to nic innego tylko strach. Przestraszyła go Kopenhaga i nowe życie tutaj. Pojechał do domu i ukrył się u swojej ciotki. Mnie się to też przytrafiało, gdy byłem uczniem, możesz mi wierzyć albo nie wierzyć. Istnieje jeszcze jedna możliwość.

— Jakaż to?

— Że został zamordowany.

— Co ty mówisz? Zamordowany?

— W mieście, w którym jest się okradzionym, można być również zamordowanym. Miałem przyjemność zostać tutaj okradzionym, co w ciągu ostatnich dni często mi przypominałeś. Ale portjer już telefonował do policji, a tam nic nie wiedzą o Szwedzie, który byłby obrabowany lub zamordowany. Zresztą nie interesuje ich nic prócz włamania w Roskildzie.

— Powinieneś wziąć pod uwagę, że on może być w to wmieszany. Popchnęła go do tego nędza. Nie chciałeś mu dać na wydatki więcej niż dwie korony z jego własnych pieniędzy. Pojechał tam, zobaczył złote wieńce, i pokusa była zbyt...

— Dajże spokój swoim glupstwom! Wierzę w pierwszą możliwość. Mówiłem ci już tego ranka, kiedy go nie było, że on właściwie jest skąpy.

— Na dowód czego podpisał ci przy śniadaniu weksel in blanco.

— Czegóż to dowodzi? Niczego. Mógł to zrobić przez roztargnienie. Ludzie podpisują weksle z najdziwaczniejszych powodów. Mogę cię zapewnić.

— Skoro ty mnie zapewniasz, wierzę w to jak w ewangelję. Zresztą wiem, że to prawda. Sam podpisałem ci trzy weksle oprócz tego przy śniadaniu.

— Podpisując ten weksel, miał już gotowy plan: chciał zwać. Cała ta historia wydała mu się za droga, ciągnęło go do domu, jedynie poczucie przyzwoitości

nie pozwalało mu zostawić nas zupełnie bez środków. Ciekawość popchnęła go do wyjazdu, a zatrważająca cnota i zatrważające skąpstwo wypędziły go z powrotem. Tak się ta sprawa przedstawia. Nie mamy nic do roboty.

— Masz rację. Wybacz mi jedno pytanie: na jaką sumę wystawiłeś ten weksel?

— Na tysiąc dwieście.

— Tysiąc dwieście!

— Tysiąc dwieście.

— Tysiąc dwieście! Nie krępujesz się.

— Cóż ty sobie myślisz?

— Myślę, że żyrowałem ten weksel.

— Cóż z tego! Ja go wystawiłem. Kto więcej ryzykuje, wystawiający czy żyrant?

— Żyrant.

— To coś nowego.

— Tak, jeżeli ty wystawiasz weksel.

— Wypraszam sobie taką bezczelność! Co mają znaczyć takie uwagi, i wogóle co ty sobie myślisz?

— To myślę, że chcę otrzymać pięćset koron, gdy pieniądze nadejdą.

— Pięćset koron?

— Tak, pięćset koron, jako zabezpieczenie mego żyra dopóki weksel nie zostanie wykupiony.

— Nie, dajże już spokój! Zdaje mi się, że świat zwarzował. Pięćset koron! Dopóki weksel nie zostanie wykupiony! Jak gdybym na Bóg wie ile lat wystawił weksel...

— Tak, to tylko sam Pan Bóg wie.

— Ależ ja nigdy w życiu nie słyszałem nic podobnego. Ani mi się o tem śniło. Pięćset koron jako zabezpieczenie dla żyranta. Pozwól, że zapytam: ile w takim razie powinien dostać wierzyciel? Chyba resztę? Nie, mój drogi, to bezczelność żądać pięćset ko-

ron. Jako kolega, zaznaczam, jako kolega, mogę ci dać sto koron, ale ani oera więcej.

— Dwieście pięćdziesiąt.

— Sto, i ani oera więcej — czekaj, posunę się dalej niż powinienem. Dostaniesz sto pięćdziesiąt, ale pod jednym warunkiem.

— A mianowicie?

— Musisz pójść w jedno miejsce.

— Muszę pójść?

— Tak. Pójdiesz ulicą, która się z tą tutaj krzyżuje, i skręcisz naprzeciwko wejścia do hotelu. Pójdiesz około stu kroków w prawo.

— Cóż dalej?

— Zobaczysz szarą fasadę i szyld nad bramą.

— Z napisem?...

— Z napisem: lombard.

— Pozwól, że zapytam: poco mam iść do lombardu?

— Wejdiesz tam z bramy na lewo do biura. Urzęduje tam dama o obfitych kształtach, brunetka. Przynajmniej urzędowała za moich czasów.

— Czy mam ją od ciebie pozdrowić?

— Tak, pozdrów ją ode mnie i powiedz, że potrzebuję pięćdziesięciu koron. Nie mam pieniędzy i dlatego muszę się do niej zwrócić.

— Czy to wystarczy, żeby pożyczyła pieniędzy?

— Uczyni to, gdy otrzyma twój zegarek i papierośnicę, którą dostałeś od socjalów.

— Nie, to niesłychane!... Mój zegarek i moja papierośnica! Stary, pamiątkowy zegarek i papierośnica, którą otrzymałem za moje wykłady w związku robotniczym! I ty chcesz, żebym to stracił! Ja, który podżyrowałem weksel, mam biegać po mieście i zastawiać dla wierzyciela mój zegarek i moją papierośnicę! Przyśięgam, że nigdy jeszcze nic podobnego nie słyszałem.

— To ja jeszcze nie słyszałem nic podobnego. Zy-

rant! Człowiek bez najmniejszego znaczenia, niczem nie ryzykujący, nie posiadający żadnej zasługi przy wystawianiu obligu... nie, nie chcę więcej mówić. Jeżeli natychmiast tam nie pójdziesz, nigdy już między nami nie będzie mowy o interesach. Bądź laskaw natychmiast mi odpowiedzieć.

Cisza zapanowała w numerze Grand-Hotelu Pederse-  
na. Mucha brzęczała wkoło adjunkta Schorna, który zupełnie bezcelowo przecyzyszczał małym palcem prawej ręki szyjkę pustej butelki od pilznera. Adjunkt Quillander stal przed nim, z rękoma założonemi w tył, wielki, majestatyczny, ze zmarszczonem czołem i oczyma, które zdawały się przesywać adjunkta Schorna jak rożny. Melancholijne żabie oczy adjunkta Schorna spoglądały niezdecydowanie na łańcuszek od zegarka, przewieszony przez brzuch adjunkta Quillandera. Nagle spojrział Quillanderowi w twarz.

— Przecież sam masz zegarek.

— Do diabła, przecież będzie mi potrzebny, gdy ty swój zastawisz! Jeżeli będziesz chciał się dowiedzieć która godzina, możesz mnie zapytać.

— Czemu nie zastawiasz swego?

— Ja... nie, trudno mi dłużej gadać z głuchym. Idziesz czy nie?

— Pójdę, ale...

— Co za „ale“? Może jeszcze jeden warunek?

— Gdy nadejdą pieniądze za weksel, wykupisz zegarek i papierosnicę?

— Teraz już doprawdy kończy się moja cierpliwość. Otrzymujesz sto pięćdziesiąt koron — *sto pięćdziesiąt koron* — i żądasz jeszcze, żebym twoje rzeczy wykupował z lombardu. Co też to za idee biorą dziś górę? Wiecznie tylko wyciskać pieniądze z innych a samemu nic nie robić? Po raz ostatni pytam się ciebie: chcesz pójść czy nie?

— Ja... no tak, w imię Boże.

Adjunkt Schorn w zamyśleniu wyrugował bakcyle z flaszki od pilznera i z nosa i zniknął za drzwiami. Adjunkt Quillander ze zmarszczonemi brwiami obserwował go z okna. Z mieszczącego się na dole biura Grand Hotelu Pedersena dochodziły głosy gospodarza i portjera, którzy dyskutowali nad rachunkiem dla trzech adjunktów, a z zewnątrz słyhać było głuchy szum południowy Kopenhagi.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### *Adjunkt Möbius i dziewiąte przykazanie.*

Ziemia była pusta i bezludna, i dusza adjunkta Möbiusa unosiła się w przestrzeni. Była samotna i walczyła z wielkim ciemnym cieniem, inną duszą kolosalnych rozmiarów. Dusza ta była wielka i gruba jak chmura gradowa; zamiast deszczu i błyskawic zawierała słowa. Tak, słowami walczyła z duszą adjunkta Möbiusa, przybyła ożaglowana jak okręt wojenny, pod wzdętymi żaglami, które zakrywały niebo, i oddawała śmiertelną salwę za salwą, aby zatopić duszę adjunkta Möbiusa. „Wola nie jest wolna!” mówiła ona. „Nigdy w życiu! Czemże jest człowiek, jeśli nie produktem określonego składu organicznego? Jaka jest różnica pomiędzy czynnościami człowieka a procesem zachodzącym w składzie chemicznym? Niema żadnej. Czyż pragnienia ludzkie nie są identyczne z właściwościami żelaza, które chce się połączyć z magnezem, lub tlenem, który chce się połączyć z wodorem? Czyż człowiek nie podlega prawom, których nie zna, podobnie jak żelazo i tlen?”

Möbius osłaniał się wątlą tarczą przed morderczymi salwami i wołał: „Nie, nie, nie! To nieprawda! Byłem wolny, gdy dokonałem złego wyboru, ale teraz mam

przestrozę i spodziewam się, że nigdy więcej tak nie postąpię<sup>44</sup>.

Ciemna chmura zgęstniała i upodobniła się do rysów dyrektora Hoff-Jensena; w powietrzu trzaskaly jak gdyby salwy śmiechu i palący deszcz prysnął na twarz adjunkta Möbiusa i spłynął mu do gardła. Odwrócił się z przestraczem i otworzył oczy.

Co to było? Gdzie się znajdował?

Leżał nawznak na szeslongu w dużym pokoju, gdzie było mnóstwo mebli, stolów, krzeseł i szaf. Przed nim stała tęga blondyna o szarych oczach. Czy wy dostał się z rąk bandy włamywaczy? Nie, bo oto zobaczył niedaleko od twarzy czyjąś rękę trzymającą szklanę, i gdy rzucił okiem dalej, zobaczył grubego dyrektora. Ten nachylał się nad nim z zatroskaną miną. Möbius czuł ostry zapach wódki. Czy to był grubas? Majaczyło mu się, że był to on we własnej osobie. Z każdym oddechem czuł coraz nieprzyjemniejszy zapach wódki.

Cofnął się myślą wstecz. Jakże się tu znalazł? Przypominał sobie mętnie, że biegał wkoło po swoim pokoju jak warjat, że stukał w ściany i próbował wyłamać framugę okienną; potem wydało mu się, że jest na turnieju: cztery generacje wiodły wkoło niego nieprzerwany taniec; zrobiło mu się czarno przed oczami i zapytał, czy umiera. Minęły już trzy dni od czasu jak się znalazł w wymalowanym na zielono więzieniu, i dojąd odmawiał przyjęcia czegokolwiek do jedzenia.

A więc znaleziono go nieprzytomnego, a odór wódki w jego ustach wyjaśniał, w jaki sposób go ocucono.

Był bardzo wyczerpany i czuł ciężar w głowie. Jakie zimne, nieprzeniknione oczy miała ta blondyna!

— Niech pan stąd odejdzie — wyszeptał Möbius i podniósł rękę, aby go odpędzić. Gruby dyrektor popatrzył ze smutkiem na Möbiusa; z pustą szklanką od



wódki w rękę, przypominał korpulentnego anioła śmierci z opuszczoną pochodnią.

— Panie — zaczął, chrząknawszy — pan musi jeść! Znalazłem pana nieprzytomnego w pańskim pokoju. Tak dalej być nie może, słyszy pan?

— Postanowiłem nic nie jeść w tym domu — szeptał Möbius, przyglądając się blondynie. Kim ona była? Hoff-Jensen dostrzegł to spojrzenie.

— To pani Zingel — powiedział — pod której dachem się pan znajduje. Pozwoli pani, że przedstawię adjunkta Möbiusa ze Szwecji. Ale teraz jedno panu powiem: jeżeli pan nie będzie jadł, popełni pan samobójstwo. A tego przecież zabrania panu, jeśli już nic innego, to pańska religja?

Möbius wciąż jeszcze przyglądał się blondynie. Wzrok miał zaostrzony przez głód. Widział, że była już nie pierwszej młodości, ale jeszcze ładna, i miała w sobie coś równocześnie pociągającego i odpychającego. Była tęga, ale nie nad miarę, miała dwoje szarych oczu, które, jak to już wcześniej spostrzegł, były niezwykle zimne i, jak teraz widział, mądre, o jakimś nieulekłym a równocześnie taksującym wyrazie, który go zastanowił u Dunek. Włosy miała jasne, uczesane w sposób, jakiego nie widział w Brostacie. Czy była to współniczka bandy włamywaczy?

— Niechże pan posłucha — powtórzył Hoff-Jensen — rozumie pan, że trzeba wkońcu przestać naśladować sufrażystki.

Möbius spojrział na niego.

— Czy ma pan zamiar wypuścić mnie?

Hoff-Jensen poruszył się niecierpliwie.

— Niezależnie od tego, czy będzie pan wolny, czy nie — zawołał — jeść pan musi. Przecież pan nawet nie ma sił, żeby się podnieść.

Möbius postanowił zbić to twierdzenie. Podniósł się

z szeslonga i natychmiast w tem miejscu, gdzie stał Hoff-Jensen i jasnowłosa pani Zinger, ujrzał wielobarwny system gwiazdzisty. Położył się więc z powrotem.

— Widzi pan, że mam rację — zawołał gruby dyrektor. — Wielki Boże! Cztery dni nic nie jeść! I to kiedy w domu jest pełno *jedzenia!* — Wymawiał słowo „jedzenie“ z lubieżnie przymrużonemi powiekami. — Co panu podać? Niechże pan powie!

W Möbiusie nagle jak gdyby zamilkł głos, który go przez cztery dni powstrzymywał. Zamiast niego odezwał się delikatny głosik, podobny do głosu nowonarodzonego dziecka, głos, który równie długo nosił kaganiec. Möbiusowi wydało się, że Hoff-Jensen recytuje duńską pieśń chóralną.

— Ryba? Befszyk? Kotlet? Szynka z jajkiem?

Zadrzał. Befszyk! Szynka z jajkiem! Hoff-Jensen sprawiał wrażenie natchnionego.

— Świetna szynka amerykańska — mówił — szynka z własnej świni Pana Boga. Pan, jako teolog...

Möbius przerwał mu, nie chcąc dać się wplątać w dysputę teologiczną.

— Jeślibym mógł otrzymać filiżankę buljonu — powiedział — albo omlet, byłbym wdzięczny... to jest toby mi wystarczyło.

— Zakrzętnij się, Elly, i daj panu adjunktowi Möbiusowi filiżankę buljonu i omlet.

Jasnowłosa pani Zingel znikła tak samo jak dotąd milcząco i wyniośle, a Möbius myślał: gdzie jest niebieskooka dziewczyna? Gdzie jest Wera?

Hoff-Jensen zaczął się toczyć po pokoju z tak wyraźnem rozradowaniem, że Möbius wszystko byłby oddał za to, żeby móc wstać i odejść nie tknąwszy jedzenia. Ściemniało się. Przed oknami pani Zingel szemrały dwa duże kasztany; zdawało się, że cisną się do szyb, aby zajrzeć do środka, i w pokoju panował półmrok.

Pokój był obszerny. Möbius zobaczył dębowy stół otoczony krzesłami, kredens z tego samego drzewa, nieskończoną ilość porcelanowych talerzy na ścianach i kilka obrazów. W kącie, obok jego szeslonga, stał mały stolik i kilka obitych gobelinem fotelików.

Möbius myślał o trzech minionych dniach. Były to ponure wspomnienia. Długie, wlokące się godziny; wściekłość naprzemiennie ze znużeniem; ostre darcie w kiszkach a potem znów okresy, w których sama myśl o jedzeniu przyprawiała go o mdłości; od czasu do czasu odwiedziny Hoff-Jensena — albo Wery. Skonstatował wkrótce jedną rzecz: wbrew woli mieszkańców domu nie będzie mógł się stąd wydostać. Nigdy nie widział tak krwiożerczej jak Nero bestji w charakterze stróża. Nawet Hoff-Jensen obawiał się go i przechodząc obok niego zawsze wciągał swój wielki brzuch i mruzczał pieszczoty. Möbius często myślał o tem, żeby grubego przewrócić na podłogę i uciec — nie schodami, to byłoby beznadziejne — ale małowanym oknem. Oczywiście wznosiło się ono o parę pięter nad ziemią, ale z takiej wysokości przecież nie można się zabić. Ale gdy tylko oczyma wyobraźni ujrzał swą ucieczkę przez okno, pomyślał o Neronie ścigającym go i wpijającym swe zęby w jego tylną część ciała... Zresztą: gdzie się znajdował. Nie miał o tem pojęcia. Jeżeli dom stał w Kopenhadze albo w jakim innym mieście, w takim razie mogliby go ludzie zobaczyć i ucieczka miałaby szanse powodzenia; a jeżeli dom stał na wsi — a sądząc z tego co wiedział, było to równie możliwe — w takim razie byłoby to równoznaczne z zamachem samobójczym...

Wera odwiedziła go dwa razy. Przyniosła jedzenie na tacy; Möbius słyszał, że Hoff-Jensen jej towarzyszył i pozostał na schodach w nadziei, iż Möbius z jej rąk przyjmie to, czem uprzednio wzgardził. Wera tylko

patrzyła na niego wielkimi oczami, w których czytał zdumienie i wyraźne zmartwienie. Nie mogła pojąć dlaczego Möbius nie chciał jeść dobrych rzeczy, które przyniosła. Möbius unikał jej wzroku i spojrzal na nią po raz pierwszy, gdy odwróciła się, by odejść; miała obnażony kark, co go przestraszyło i zażenowało, i jej szyja pod kasztanowatemi włosami Madonny długo nie wychodziła mu z pamięci. Przyszedszy po raz drugi — taca pozostała nietknięta — przerwała milczenie.

— Dlaczego pan nie je?

Möbius nie spojrzal na nią i nie odpowiedział.

— Czy pan słyszy, że mówię do pana?

— Tak.

— To dlaczego pan nie odpowiada? To niegrzecznie. Dlaczego pan nie je?

— Dlaczego trzymacie mnie w zamknięciu?

— Przecież nie ja!

— Przyjaciele pani. Postanowiłem nic nie jeść, dopóki nie będę wolny.

Roześmiała się.

— To będzie pan porządnie głodny.

— Nie przestrasza mnie to.

Umilkła i popatrzyła na niego.

— Niech mi pan powie... — zaczęła z wahaniem.

Spojrzal na nią — po raz pierwszy pochwycił jej spojrzenie. Poczul, że przebiegła przez niego dziwna fala ciepła. Jej oczy były pogodne i bez złości, ciekawe, ale właściwie przyjazne — i ładne.

— Co pani chciała powiedzieć? — wyjąkał.

— Niech mi pan powie, czy gdybym... gdyby pan...

Przerwała, namyślała się przez chwilę, poczem zmieniła wyraz twarzy.

— Niech pan teraz je — powiedziała — proszę nic być niemądrym jak małeńkie dziecko, słyszy pan?

Zamiast odpowiedzi odwrócił się gwałtownie do ścia-

ny. Po chwili usłyszał, że zamykano drzwi, nie odwrócił się, żeby spojrzeć na opaloną szyję...

Hoff-Jensen zaczął nakrywać do stołu. Poukladał noże i widelce, poczem przechylił głowę na bok, żeby ocenić efekt.

Möbius obserwował go z uwagą.

— Niech mi pan powie, panie Hoff-Jensen...

Grubas zadreptał koło Möbiusa, ujęty jego przyjaznym tonem.

— Słucham? — powiedział z zapalem.

— Jaki jest właściwie pański cel życia?

— Mój — jak pan powiedział? — mój cel życia? — hm, przecież pan wie — zakosztować niedorzeczności i smutku życia... Jeżeli jednak mam to sformułować, celem moim jest, że się tak wyrażę, botanizowanie. Wybieram spośród wszystkiego to, co jest najlepsze: kobiety, wino, tytoń, produkty spożywcze.

— Przynajmniej na to ostatnie posiada pan obszerną puszkę botaniczną, panie Hoff-Jensen.

— Ha-ha, owszem! Jest pan złośliwy panie Möbius, tak, tak, czemu nie? Pozatem próbuję się kształcić i składam dziesięciny ze wszystkiego eo zarabiam...

— Gdzie pan jest dyrektorem?

— To nic nie ma do rzeczy.

— Rozumiem. Zapewne w tego rodzaju towarzystwie, które lupi ludzi ze skóry, pocieszając ich, że za siedem lat nowa odrośnie?

— Jest pan coraz złośliwszy, panie adjunkcie! Ale jest pan w błędzie. Jestem dyrektorem towarzystwa „Wigilja“.

— Co to za towarzystwo?

— Bardzo porządne towarzystwo! Cudowne! Beautiful! Primiissima! Ale pan pewnie w to nie wierzy?

W tej chwili weszła jasnowłosa pani Zingel z dymiącą tacą. Hoff-Jensen podniósł Möbiusa wbrew jego wo-

li z szeslonga i zaprowadził do stołu. Buljon miał smak mdły, ale równocześnie prawie upajający. Zanim Möbius się obejrzał, już buljon znikł, i siedział teraz z ustami pełnymi omletu. Hoff-Jensen przyniósł mu kieliszek czerwonego wina, i Möbius i to zaakceptował. Pod tym względem pozbył się już skrupułów. Nie miało przecież sensu popełniać samobójstwo, uwalniając w ten sposób włamywaczy od odpowiedzialności za jego życie.

— Nie widzę pańskich przyjaciół — rzekł nagle do grubego dyrektora, który każdy niesiony przez niego do ust kąsek formalnie jadł wraz z nim.

Hoff-Jensen zmrużył oczy.

— Czy ma pan nadzieję, że ich zaaresztowano?

— Owszem, mam nadzieję, i sądzę, że zaaresztowanie mogłoby im nasunąć lepsze myśli.

— Oczywiście, pan, jako wierzący w wolną wolę, czuje się uprawnionym do potępienia ich!

— Niewiele mi na tem zależy; życzę im, żeby sami nauczyli się potępiać to co zrobili.

Möbius nie posunął się dalej. W tej samej chwili spostrzegł, że nie był już sam w pokoju z Hoff-Jensem i jasnowłosą panią Zingel. Przy drzwiach, w gęstniejącym zmroku, milczący jak cienie, stali dwaj włamywacze, którzy go sprowadzili do tego domu. Większy, o twarzy aktora, zezował na niego ze złością. Mniejszy, z miłą miną ulicznika, palił papierosa, obserwując ukradkiem całe towarzystwo. Pani Zingel zerwała się z miejsca. Hoff-Jensen powstał na powitanie.

— Ten tam! — powiedział człowiek o twarzy aktora, wskazując na Möbiusa. — Co on potępia? Żem mu odrazu łba nie ukręcił? Że tam sobie siedzi i żre jak bogacz?

Möbius poczuł zimno w plecach. Od tamtej nocy

wszedł mu w krew strach przed nimi. Chciał podnieść się i odejść, ale Hoff-Jensen uspokoił go gestem.

— Ależ Perrini! POCO tak gwałtownie?

Człowiek o twarzy aktora ryknął, robiąc krok naprzód:

— Co ty sobie myślisz? Zdaje ci się może, że się nazywam Per...

— On wszystkich tak sypie! I mnie! Nawet samego siebie...

Jeśli pani Zingel dotąd milczała, to teraz tem donioślej podniosła głos. Z głębokiego altu przeszła przez całe niebo skali chromatycznej, by jak skowronek zawisnąć w najwyższym i i najcieńszym dyszkancie. Stała, wskazując palcem na Hoff-Jensena. — Ten tam — Möbius otrzymał spojrzenie jak pchnięcie laski — ten tam wie jak wszyscy się nazywamy!

Z czarnych oczu Perriniego wypelzło spojrzenie jak wąż z jaskini i skierowało się na Möbiusa. Rozległ się piskliwy głos:

— Wszyscy? I ja też?

Młodzieniec o jasnej czuprynie zadawał pytanie ze wzniesionemi do góry brwiami.

— Nie, Piotrze, o tobie zapomniałem. Pozwolą panowie, że ich przedstawię: pan Piotr Schiött, pan adjunkt Möbius ze Szwecji.

Pan Schiött skłonił się i wykonał pelen gracji ruch papierosem. „Piotr“, myślał Möbius, „a więc to Piotr, narzeczony Wery“.

— Możebyśmy usiedli — zaczął Hoff-Jensen — teraz, kiedy się wszyscy wzajemnie znamy. Pan adjunkt i ja siedzieliśmy tam właśnie, rozmawiając o wolności woli, która pana adjunkta niezmiernie interesuje. Jest to zagadnienie, które was dwóch interesuje tylko teoretycznie. Sądy są takie przestarzałe. Nie będziecie więc uważani za niezdolnych do dyskusji.

Perrini nabral wreszcie powietrza do płuc. Teraz z jego ust wypłynął potok słów:

— Ty przeklęty, gruby morsie! Co ty sobie myślisz? Za dużo sobie pozwalasz! Wymieniasz moje nazwisko, Piotra, wszystkich, temu bubkowi, który nas widział — powinienem wyciągnąć spluwę i zastrzelić go na śmierć!

— Uspokój się, człowieku, poco syczysz ciągle jak sikawka? Cóż to, u licha, szkodzi, że powiedziałem wasze nazwiska? Pan adjunkt jest bardzo miłym człowiekiem.

— Co to szkodzi? Wyciągam spluwę! Strzelam...

— Nie strzelaj, bo narobisz huk. Pytam ci się jeszcze raz: co to szkodzi, że pan adjunkt zna nasze nazwiska?

— Co to szkodzi? Nie, to nie do wiary! On zwarjował. Piotrze, ten człowiek widział nas, a teraz zna jeszcze nasze nazwiska!

— I cóż z tego? Pan adjunkt wie, że nie wyjdzie stąd, dopóki nam nie da słowa honoru, że nigdy naszych nazwisk nie wymieni; a gdy da słowo honoru, możecie mu zaufać, ręczę wam.

— A jak nie da?

— Da.

— Nie da! — Möbius podniósł się i powiedział to najbardziej jak mógł. Nogi jeszcze były słabe, ale mógł stać. Hoff-Jensen uśmiechnął się do niego przyjaźnie i skinął uspokajająco na Perriniego i Schiötta.

— Da, da! Nie martwcie się o to, co powiedział. Zdajcie się na mnie. Zanim pan adjunkt odjedzie, da nam słowo honoru, i co więcej...

— Cóż więcej, panie Hoff-Jensen?

— Wcale nie będziemy tego słowa żądać od niego. da nam je dobrowolnie.

— Pan — ha-ha-ha! Pan zwarjował. to wszystko co mogę powiedzieć!



— Zobaczymy, zobaczymy!

Teraz rozległ się donośny głos młodego Schiötta:

— Jestem głodny!

Perrini zapomniał o Möbiusie.

— Ja też, ja też jestem głodny. Wyjeżdżam. I powiadam, że będę głodny. Elly — masz co do jedzenia?

— A co chcecie?

Schiött powiedział się za lososiem smażonym, Perrini za befsztykiem. Pani Zingel zniknęła, a Hoff-Jensen mrugnął na obu swych przyjaciół, żeby się zbliżyli do krzesła, na którym siedział. Möbius nie wiedział, co miał robić. Czy miał pójść do swego wymalowanego na zielono więzienia? Czy miał wykonywać rozpaczliwą próbę ucieczki? Wyrzwał przez okno. Zmierzch już zapadł. Chmury pędziły ponad szumiącym kasztanem. Próba ucieczki była jeszcze bardziej beznadziejna, niż przedtem. Jej szanse poległy na tem, żeby przy wyjściu nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Ale Nero nie śpi... Postanowił zostać, jako nieme przypomnienie dla włamywaczy, że istnieje świat, którego prawa mogą przestępować, ale z którym ich rachunki nie są skończone.

Tamci trzej zsunęli swe krzesła i rozmawiali półgłosem. Oczywiście było, że mówili o poważnych rzeczach — przypuszczalnie o starych i nowych „interesach“. Czy chodziło o ukrycie skradzionego złota? Nie wykluczone. Do uszu Möbiusa dochodziły fragmenty rozmowy: „*Nie, jeszcze nie, lepiej poczekać...*“ „*Niema niebezpieczeństwa, szukają w...*“ Tu wymieniono nazwę, której nie zrozumiał. Czy dużo mieli takich sprawek na sumieniu? To pewna, że ta nie była pierwszą. Schiött wydał mu się typowym produktem jakiegoś kopenhaskiego zaułka. Perrini — nazwisko to brzmiało z włoska; posiadacz jego wyglądał jednakże na mieszaioca rasy żydowskiej z niezliczoną ilością innych. Co Hoff-Jensen miał na myśli, mówiąc, że Möbius dobrowolnie

da słowo honoru, że ich nie zdradzi? Czy sam wierzył w tę brednię? Jednakże zaniepokoiło to Möbiusa bardziej, niż dal po sobie poznać. Drżał cały.

Doszły go nowe szept, zdawało mu się, że usłyszał: „Szwed może się przydać“. Teraz spostrzegł, że wszyscy trzej mu się przyglądali. Perrini czarny i groźny jak przedtem, młody Schiött oparty ramieniem o poręcz krzesła, jak anioł u stóp Madonny Sykstyńskiej, Hoff-Jensen ze swem tępem spojrzeniem ale i z ironicznym uśmiechem w kącikach ust. Möbius odpowiedział na ich spojrzenia surową, nieustraszoną miną. Teraz młody Schiött śmiał się piskliwym śmiechem ulicznika. Möbius czuł, że się zaczerwienił. Nigdy jeszcze nie słyszał śmiechu tak bezczelnego, jak tego łobuza. Mówiono o nim, to pewna. Czy myśleli nad tem, w jaki sposób się go pozbyć?

W tej chwili ukazała się jasnowłosa pani Zingel z dywiącą tacą. Schiött i Perrini zerwali się jak na komendę. Hoff-Jensen znowu objął funkcje ober-kelnera, porządkował nakrycie i ustawiał kieliszki. Pani Zingel odkryła to co przyniosła, i młody Schiött wpadł w zapal.

— Ach, co za losoś! A jak pięknie podany! Wygląda, niech mnie djabli wezmą, tak samo jak ten, który dostaliśmy kiedyś w Nyburgu.

— Ach! — zaprzeczala pani Zingel skromnie — ten jest dobry, ale tamten w Nyburgu był wyjątkowo *wspaniały*! Był lepszy nawet od tego, któryśmy dostali w Frederycji.

Młody Schiött przed zabraniem się do lososia wpadł w refleksje:

— Że też są ludzie, którzy mówią, że fazjan jest lepszy od lososia! Nie, dla mnie niema nic lepszego jak dobrze wysmażony losoś, byleby tylko nie żalować masła. Rozumiesz, Elly!

— Tak, tak, ty to rozumiesz — potwierdził Perrini.

pochłonięty befsztykiem. — To najlepsza z potraw, jakie znam.

— Jak Boga kocham, ożenię się z tobą — powiedział Schiött, niosąc do ust pierwszy kawałek łososia — jak Boga kocham!

— A ja? — dobiegło od befsztyku Perriniego.

— A ja?

Hoff-Jensen nie był tym, kto się odezwał ostatni. W drzwiach stała Wera w białej letniej sukni i dużym słomianym kapeluszu z zieloną wstążką, w czym jej było do twarzy. Prąd elektryczny przebiegł Möbiusa. Wera patrzyła na Schiötta, który kiwnął w jej stronę widelcem i jadt dalej. Perrini nieodrazu ją spostrzegł, pograżając się z każdą sekundą coraz głębiej w befsztyku, jak tonący w bagnie. Jasnowłosa pani Zingel odwróciła twarz w jej stronę i obserwowała ją roziskrzonymi oczami.

— A ja? — powtórzyła Wera, zdejmując kapelusz. — Dobry wieczór, panie Schiött, dobry wieczór, panie Perrini! Więc masz zamiar ożenić się z Elly, Piotrze? Czy już nie jesteśmy ze sobą zaręczeni?

Möbius mimowoli zadrżał. Więc ona naprawdę miała poślubić tego Schiötta? Gotowa była serjo związać się z włamywaczem? Strach pomyśleć! Jakie to smutne, że powierzchowność młodej dziewczyny może być tak złudna! Kto ją zobaczy, ten sądzi, że jest czysta i niewinna, a tymczasem...

— Zaręczeni? — powtórzył Schiött. — Co przez to rozumiesz?

— To, że jesteśmy zaręczeni. Czyż tak nie jest?

— Ty jesteś ze mną zaręczona. Ja zaś rozglądam się; sądzę, że mam do tego prawo.

— Tak?

— Nie mogę wejść do żadnego domu, żeby czegoś nie zmachlować. Jest to dokładnie to samo, jakbym

wchodził do jakiegoś interesu i wstydził się wyjść nie nie załatwiwszy. Mam pecha do interesów! Teraz niedawno, kiedy Perrini i ja bawiliśmy się z „polipami“ w chowanego, była dziewczyna w tym domu — wspinała! Rozkoszny bęben! Ja ją... tego... ale już tam więcej nie przyjdę. Ha-ha-ha!

— Dobry z ciebie numer! — powiedziała pani Zingel z macierzyńskim i czułym podziwem.

— Jesteś galgan — powiedziała Wera. — Cóż to była za dziewczyna? Chcę wiedzieć!

Schiött śmiał się zadowolony i zwrócił się do Perriniego:

— Zazdrosna, co? Czy możesz sobie przypomnieć, Perrini, jak to ona się wabiła? Jak Bożię Kocham, zapomniałem. Kamma? Petryna? Nie, poczekaj, niech pomyślę...

— Możesz się nie wysilać. Jeżeli sądzisz, że ja nie mam nic innego do roboty tylko ciągle myśleć o tobie, to się mylisz; dosyć się ludzi spotyka.

— To tak się postępuje?

— Tak się postępuje, jak się komu podoba.

— Więc tak się ci podoba?

— Nie będę marnowała czasu, kiedy ty się będziesz rozglądał.

— Czy ty zawierasz znajomości również podczas wycieczek rowerowych, albo kiedy idziesz się kąpać? Już ja się o to postaram, żeby się tyle nie włóczyła. Elly musi dawać baczenie, kiedy mnie niema.

— Ha-ha-ha! Wczoraj spotkałam jednego koła kąpieli, wiesz, to był *elegancki* pan! Żółty garnitur, żółta koszula, żółty kapelusz, żółte kamasze, wszystko żółte. Mówił, że codzień przychodzi.

— Aha! Może się przytrafić, że twój rower będzie niezdatny do użytku; myślisz, że się pozwolę ośmieszać?

- Idę.
- Nie pójdziesz!
- No to zostanę.
- Dobrze, że jesteś posłuszna.
- Ha-ha-ha! Nie trzeba wlaźć do rzeki, żeby przynieść wody.

— Co przez to rozumiesz?

Wera zaśmiała się tak, że pokazała wszystkie zęby. Möbius zadrzał. Musiał przyznać, że jeszcze nie widział nic równie pięknego, jak Wera, stojąca w półcieniu lampy z odrzuconą w tył głową, z oczyma błyszczącymi z pod nawpół przymkniętych powiek. Nie!... Że też ona jest taka! Ale jakakolwiekby była, jest odważna. Jak ona dobrze potraktowała Schiötta za to, że chęłpil się swojemi sukcesami wobec słabych kobiet, i dała mu dobrą odpowiedź. Był wściekły i nie mógł tego ukryć. Odsunął krzesło od stołu i próbował obojętnie dłużyć w zębach, ale mu się to nie udawało. Perrini, który teraz befsztykowi i butelce Aalborgu zadał ciosy laski, patrzył z niemym podziwem. Że też komuś chciało się spierać z kobietą! Oczy Hoff-Jensena błyszczały jak duże czarne perły. Schiött złamał wykalaczkę i powtórzył gniewnie:

- Co przez to rozumiesz?
- Przez co?
- Powiedziałaś, że nie potrzebujesz wchodzić do rzeki, żeby przynieść wody?
- Czy ja to powiedziałam?
- Powiedziałaś. Co to ma znaczyć?
- Jesteś taki domyślny!...
- Sądzisz, że nie potrzebujesz wychodzić z domu, żeby... żehy...
- Skoro tak mówisz, to widocznie tak jest.
- Ha-ha-ha! Czy to Perrini?
- Dlaczego myślisz tylko o Perrinim?

— Któż więc? O kim zapomniałem?

Usłyszano głośnie stuknięcie. Schiött uderzył ręką w stół, że aż stół zadrział. Przytem roześmiał się; brzmiało to jak okrzyk trwogi i obrócił się na krześle tak, żeby mógł przyjrzeć się Möbiusowi.

— Nie — nie — ha-ha-ha! Ty chyba nie miałaś na myśli, że...

Śmiech jego to rozlegał się, to przycichał. Odbijał się od ścian i sufitu. Schiött wił się na krześle tak, jakby losoś smażony był na kwasie pruskim a nie na maśle. Grdyka podnosiła się i opadała na jego gładkiej szyi jak kula na manometrze. Wreszcie przycichł i ze łzami w oczach patrzył na Möbiusa.

— Nie — wykrztusił — nie, chyba nie chcesz wemnie wmówić, że — ach, Boże — ha ha-ha...

Möbius miał uczucie, że spada nań nawałnica gradu. Był czerwony, to znów blady, żałował, że pozostał na dole. Chciał iść, ale nie mógł podnieść się, i chciał zostać, aby się bronić. Czyż ten łobuz nigdy nie przerwie tego wstrętnego, bezwstydnego śmiechu? To już nie był śmiech, ale atak epilepsji. Słuchanie tego i myślenie stawało się niemożliwe i dlatego nie mógł przemyśleć do końca myśli, którą wywołały w nim ostatnie słowa Wery. Powiedziała do Schiötta, tak, naprawdę powiedziała: „Dlaczego bierzesz w rachubę tylko Perriniego?” Myślała o nim jako o współzawodniku Schiötta. Myślała o nim jako o mężczyźnie... Może nie była tak zepsuta, jak sądził? Może sąd jego o niej był zbyt surowy. Może sama miała uczucie, że znajduje się w złym towarzystwie, i próbowała podnieść się. Może szukała ręki, któraby ją wyciągnęła. W każdym razie zasługiwała na lepszy los niż być żoną Schiötta. Rzuciła nań spojrzenie krótkie i zagadkowe. Jej usta były zamknięte. Włosy na czole układały się gładko jak u Madonny. Ach, jakże była piękną!

Wyrwano go z tych refleksyj. Schiött, który przedtem stanął przed Werą i przyglądał jej się, teraz przeszedł przez pokój drobnym krokiem i stanął tuż przed Möbiusem. Sinemi źrenicami patrzył wyzywająco w oczy Möbiusa. Kąciki ust miał ściągnięte. Pokazywał zęby.

Möbius nigdy w życiu nie był wmieszany w bójkę, nie było wątpliwości, że teraz zanosilo się na nią. Czy bał się? Nie sądził. Zdrętwiały, z rękoma przyciśniętymi do szwów spodni, patrzył w ulicznikowską fizjonomję Schiötta. Czul oddech Schiötta. Nagle sine źrenice zachmurzyły się. „Teraz“, pomyślał Möbius, i podniósł rękę. Ale Schiött obrócił się na pięcie i przeszedł na drugą stronę pokoju. Za chwilę Möbius zobaczył coś, co uważał za niemożliwe. Schiött chwycił Werę lewą ręką za kark, a prawą ścisnął jej obie ręce. Przegiął ją brutalnie wtył, tak że plecy jej zwisały prawie równolegle nad ziemią, i wlepił w nią spojrzenie. Nic nie mógł. Möbius słyszał dyszenie Wery, ale tak był odurzony, że nawet palcem nie mógł ruszyć. Schiött rzucił Werę prawie na ziemię, a potem porwał ją w górę, tak, że się zakolysała. Jej oczy już nie były niebieskie, ale czarne. Schiött powiedział szeptem:

— Jesteś moja... czy nie?...

Minęła chwila bez oddechu, a potem dal się słyszeć zdławiony szept:

— Tak...

Potem dało się słyszeć jeszcze jedno *tak*, ledwie do słyszalne, a po chwili zawisła z rękoma dokola szyi Schiötta. Perrini gapił się. Pani Zingel zachichotała słabem echem śmiechu. Hoff Jensen promieniał zadowolaniem jak jakiś *père noble*...

Möbius nie wiedział jak przeszedł kolo nich wszystkich. Optrzytomniał dopiero, kiedy znalazł się w swoim pokoju i jak Karol XI zamknął drzwi za sobą.

Możliwe, że powinien był paść na kolana, ale nie po-  
to, by dziękować za zwycięstwo. Poniósł klęskę.

Bo co mówi przykazanie?

*Nie pożądam domu bliźniego twego, nie pożądam żony  
bliźniego twego, ani...*

Kiedy Möbius rozstrząsał swe sumienie, nie mogło  
być żadnej wątpliwości, że on tego wieczora doznawał  
pożądań tego rodzaju, o jakich jest mowa w tem przy-  
kazaniu.

Tak, nie było żadnej wątpliwości, że stał jakby nago  
wobec sześciu pokoleń i widział swoją duszę równie  
nagą — taką, jaką ją miał zawsze.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### *Adjunkt Möbius i dziewiąte przykazanie.*

Czy adjunkt Möbius przekroczył dziewiąte przykazanie? Nad tem zastanawiał się pół nocy i cały poranek.

Było faktem, że Wera była zaręczona ze Schiöttem, że wybaczyła mu jego niewierność, że wyraźnie przyznała, że należy do niego. Nawet dwa razy. Zduszonym szeptem. Adjunkt Möbius odnalazł w sobie osobliwe uczucie. Bał się, że to było to, co przykazanie boże nazywa pożądaniem niewiasty. Doznał takiego uczucia po raz pierwszy; apelował do Krafft-Ebinga, Forela i etyki Sideniusa, aby pojąć jego naturę. Teraz, kiedy na to przyszło, nie mógł sobie dobrze przypomnieć ich wielorakich opisów i określeń; aby nie rozszczepiać włosa na czworo, postanowił przyjąć za fakt najgorsze, że uczucie, jakiego doznawał, jest pożądaniem Wery. Czyż więc przekroczył dziewiąte przykazanie?

Przyznał, że mogło to wyglądać na rozszczepienie włosa zadawać takie pytanie, kiedy stwierdził przed sobą, że pożądał Wery. Ale pewien głos w nim zwrócił mu uwagę na jedną rzecz. — Z kim Wera była zaręczona? Ze Schiöttem, włamywaczem, zbrodniarzem. Czy to nic nie ma do rzeczy? — pytał ów głos. — No tak — mówiły w nim zaraz inne głosy — pewnie, to zmienia

postać rzeczy. — Nie — odpowiadał w nim inny uparty głos — to żadną miarą postaci rzeczy nie zmienia. — Ależ Piotr Schiött jest przestępcą! — Możliwe, ale czy to, że Schiött przekroczył prawo świeckie, uprawnia adjunkta Möbiusa do przekraczania praw bożych? — Nie, napewno nie... — Nie, być może nie... — A może jednak...

— Nie, absolutnie nie — mówi zacięty głos — i nie może być wogóle mowy o tem, że adjunkt Möbius ma prawo pożądać Wery. — Nagle nowy głos wmieszał się do sporu. — Pożądać Werę? Zapewne, pożądać w zwykłym sensie nie wolno mu, ale co innego, jeżeli jego uczucia mają posłużyć do wyższych celów. Wtedy nie można mówić o pożądanym w sensie dziewiątego przykazania. Wtedy przeciwnie, z wyższego punktu widzenia postępuje się w myśl tego przykazania, a nie przeciw niemu. Trzeba wziąć to pod uwagę, że Wera jest prawdopodobnie czysta i dobra, a Schiött jest nie tylko przestępcą w stosunku do praw świeckich, ale najwidoczniej całkiem złym, zepsutym człowiekiem. Tego nie można pomijać, i kiedy adjunkt Möbius będzie to miał na uwadze i swoje uczucie wyzyska dla wyższych celów, wtedy absolutnie przeciw dziewiątemu przykazaniu nie zgrzeszy.

Ten ostatni głos był tak wytrwały jak mówca w węgierskim parlamencie. Adjunkt Möbius przysłuchiwał mu się uważnie i wreszcie przyznał mu słusność. Przykazanie boże jest kategoryczne i wyjątków nie dopuszcza; to prawda, ale inna sprawa, że trzeba kierować się jego duchem a nie literą. Litera zabija, duch ożywia. Nie, on nie złamał dziewiątego przykazania, i serdecznie cieszył się z tego. Byłoby pożałowania godnem, gdyby jego drugi upadek tak prędko nastąpił po pierwszym i to jeszcze wtedy, kiedy już był na wszystko przygotowany. W tem nowem życiu — nie chciał tego,

co zamierzał widzieć, nazywać prawdziwem życiem, ale nowem ono jednak było — pokusy rosły jak pieczarki w ciepłej piwnicy. Pani Zingel, w milczeniu przyglądając się Möbiusowi ze szczególnym wyrazem twarzy, przyniosła do pokoju śniadanie. Pod koniec śniadania wszedł Hoff-Jensen, aby go zabrać. Möbius siedł za nim zmieszany. Po drodze na dół spotkali Nera bardziej złego niż zwykle.

— On nie znosi Perriniego — oznajmił kolos. — Perrini kopie go, jak tylko w drzwi wchodzi. No, ale do diabła! Precz! Czego? Ty zdrajco zwierząt, ty paszycie, czego chcesz?

Nero toczył się ku nim z czerwonymi błyskami w oczach, jak najwyraźniej nieskłonny do ustnych pertraktacyj. Obwąchał oślinionym pyskiem nogi Hoff-Jensena; gruby sofista patrzył nań, jak ofiary starożytnego Nerona mogły patrzeć na swego pana, drżąc tak, że aż brzuch mu się trząsł. Nagle Nero westchnął tak głęboko, jakby wszystkie cierpienia świata na nim się opierały, i odwrócił się wzgardliwie od Hoff-Jensena i Möbiusa. Hoff-Jensen, ze zřęcnością, której po nim nie można było się spodziewać, wpadł do jadalni, a Möbius poszedł za nim. W jadalni siedzieli Schiött i Perrini.

Na ich widok Möbius poczuł dreszcz, biegnący po plecach. Przez cały ranek Schiött był przeciw przedmiotem jego refleksyj. Czy domyślał się kolo czego się obracaly? Nikt tego nie mógł powiedzieć. Twarz jego była zamknięta i zimna, nie pozdrowił nikogo. Perrini siedział ze skrzyżowanemi po napoleońsku rękoma i czarnemi, pozbawionemi wyrazu oczyma patrzył przed siebie. Przy wejściu Möbiusa podniósł się.

— Ach! Jest nareszcie! — powiedział. — Długo ci zeszło zanimeś go przytaszczył.

— Ten Nero — rzekł gniewnie kolos. — Myślę, że

ta hestja pewnego pięknego poranku rozedrze mi spodnie.

— Bądź kontent, gdy tem się zadowoli. Nie myślałem, żeś ty taki tchórz. Psa się boi!

— Nie jestem tchórzem, ale jak sobie z takim psem dać radę?

— Kopnąć, to ucieknie.

— Ani mu się przyśni. Złapie mnie za nogę zanim ją podniosę.

— Bo wie, żeś tchórz, dlatego. Psy są mądre.

— Ładna pociecha.

— Dość o psie, zaczynajmy!

Schiött podniósł się nagle, jakby teraz dopiero zoha-  
czył Möbiusa, i kilka razy bardzo nisko się uklonił.  
Möbius przyglądał mu się i skrobał się po brodzie z tym  
samym gestem, z jakim zabierał się zadać pytanie ucz-  
niowi czwartej klasy. Schiött podstawił mu krzesło.

— Może pan zechce usiąść, panie adjunkcie?

Möbius stal nadal i zwrócił się do Hoff-Jensena:

— Czy mogę spytać, co mam tu do roboty?

— Chcielibyśmy z panem porozmawiać o pewnej  
sprawie — odrzekł gruby z odcieniem pochlebstwa  
w głosie.

— Czy macie zamiar mnie puścić?

— Hm! Narazie nie, chodzi o co innego.

— Ja z wami trzema o niczem innym nie będę mów-  
ił. Nawet gdy się pominie teoretyczną moralność, to  
wasza działalność jest tak zdecydowanie wroga społe-  
czeństwu, że...

— Czy pan jest żonaty, panie Möbius?

Möbius zdębiał.

— Aha, nie jest pan. Jeżeli pan w pańskim wicku  
nie jest żonaty, to pan sam jest anarchistą i wrogiem  
społeczeństwa, bo społeczeństwo opiera się na rodzinie,  
i...

— Niech pan porzuci swoje sofizmaty! Jeśli pan może udowodnić, że pan nie lęka się Nera, to uwierzę i w inne rzeczy, które pan mówi.

Z fotela Perriniego dało się słyszeć grube mruczenie:

— On nie jest taki idjota! Tak, dowiedz tego, ty hipopotamie!

— Udowodniłbym to, gdybym był stoikiem, ale jestem epikurejczykiem. Panie Möbius, mamy coś z panem do omówienia.

— Możecie się nic trudzić. Jeżeli nie chodzi o wypuszczenie mnie, to ja odchodzę.

Hoff-Jensen zwlekał. Młody Schiött wyraził ręką wyrzut.

— Pozwólcie iść panu Möbiusowi. Nie możemy go przecież zatrzymywać wbrew jego woli.

Möbius nie dał odpowiedzi, która się sama narzucała, bo odpowiedź ta zwracałaby się do Schiötta. Skierował się do drzwi i już położył rękę na klamce, gdy posłyszał przeraźliwy chichot Schiötta.

— Nero!

Krew uderzyła mu do głowy. Nero był za drzwiami i przy obecnym jego humorze broniłby korytarza po bohatersku. Miał wizje rozerwanych spodni, krwawiących członków i kola widzów, które napawało się widokiem cierpień męczennika i wystąpieniu nowego Neron na arenie. Ale chichotowi Schiötta tylko w jeden sposób można się było przeciwstawić. Nacisnął klamkę. Słyszał jak Nero przyczłapał po kamiennej posadzce, prędko zwilżył wargi i wyszedł. W tej samej chwili posłyszał głos Perriniego:

— Dość! On jest odważniejszy niż myślałem. Dosyć żartów, sprowadź go, jeśli się psa nie boisz!

Z zadowoleniem poczuł Möbius na swem ramieniu tłustą rękę Hoff-Jensena. Odwrócił się, ale nie mógł przeszkodzić, że pierwsze jego spojrzenie padło na

Schiötta. Schiött skłonił się poważnie, jakby był zdecydowany przedstawić Möbiusa do nagrody Carnegia. Möbius zdrętwiał i wyczekująco patrzył na Hoff-Jensena.

— Mamy z panem do pomówienia, panie Möbius.

— Ile razy mam wam powtarzać, że ja mam z wami tylko o *jednym* do pomówienia. Czy myślicie mnie wypuścić, czy nie?

— Tak, najpóźniej w ciągu paru dni.

— Nie rozumiem, naco czekacie.

— Sprawa, o której chcemy z panem pomówić, pozostaje w związku z pańskim uwolnieniem.

— Tak? Słucham więc.

— Wiedziałem, że pan będzie chciał posłuchać. Rzecz jest tego rodzaju... ale może pan zechce usiąść?

— Dziękuję, nie.

— Pan wybaczy, że ja usiądę? Tak gorąco. Otóż chodzi o to, że ten dom, dom pani Zingel, gdzie pan jest w pensjonacie...

— W więzicniu.

— Gdzie pan w tej chwili ma bezpłatne życie i mieszkanie, jest ubezpieczony za nisko.

— Czy przeciw włamaniu? — Ton Möbiusa był możliwie jak najbardziej ironiczny. Znów mimowoli spojrzal na Schiötta. Ten podskoczył i w służalczym uśmiechu pokazał wszystkie zęby jak uczeń, który spostrzegł, że właśnie nauczyciel powiedział dowcip. Möbius stał się jeszcze bardziej chłodny, stojąc z rękoma w kieszeniach. Oblicze Hoff-Jensena promieniało.

— Przeciw włamaniom — odpowiedział — tak, przeciw włamaniom. Pan wie, jak bezprawie grasuje. Dom pani Zingel jest za nisko oszacowany i postanowiliśmy ubezpieczyć go na nowo. Znaleźliśmy towarzystwo, które wydaje nam się solidne i zasługujące na zaufanie.

— Czy mogę zapytać się, co ja z tem wszystkim mam wspólnego?

— Do tego dochodzimy właśnie. Towarzystwo, które mamy na myśli, jest szwedzkie. Jak to ono się nazywa? „Vanadis“, tak, „Vanadis“. Wszystkie szwedzkie towarzystwa noszą pogańskie nazwy.

— Jeszcze nie widzę powodu, dlaczego ja...

— My właśnie chcieliśmy prosić pana, aby pan załatwił formalności, związane z ubezpieczeniem.

Czego nie osiągnęły żądania Hoff-Jensena, to osiągnęły jego ostatnie słowa. Möbius był tak zdumiony, że aż usiadł. Co u licha myśli ten kolos? Co u Boga Ojca ma to znaczyć? On ma ubezpieczać dom pani Zingel przeciw włamaniu? Ten pomysł był tak groteskowy, że...

— Sądzę, że pan żartuje?

— Ależ nie, dlaczegożby?

— Jeśli pan nie żartuje, to nie jest pan przy zdrowych zmysłach.

— Teraz pan nie jest grzeczny. Ja nie żartuję.

— Pan musi być warjatem! Dlaczegoż, u Boga Ojca, ja mam za pana ubezpieczać? Za pana! Przeciw włamaniu! Skoro pan wogóle chce ubezpieczać się przeciw włamaniu, to dlaczego sam pan tego nie czyni! Dlaczegoż ja mam to zrobić?

— Bo to towarzystwo jest szwedzkie. My mówimy źle po szwedzku. Pan, panie Möbius, jest Szwedem. Pan jest najodpowiedniejszym człowiekiem do załatwienia tej sprawy.

— Pan widzi urojone trudności. Nawet jeżeli towarzystwo jest szwedzkie, to przecież jego urzędnicy rozumieją po duńsku, skoro w Danji przyjmują ubezpieczenia. Towarzystwo przecież tu ma oddziały, nietylko w Szwecji.

— Tak, ma je tutaj. Pan dziwi się, ale ja nie mogę

nic więcej panu powiedzieć. Myśmy się spodziewali, że pan będzie pertraktował z towarzystwem. Spodziewaliśmy się tego w równym stopniu w pańskim interesie, jak w swoim własnym, jeśli pan mnie rozumie.

— To znaczy, że jeśli ja panom wyświadczę tę przysługę, to mnie wypuścicie?

— Tak.

— A jeśli nie?

— Jeśli nie, to, niestety, zmuszeni będziemy pana zatrzymać.

Möbius bezustanku głaskał brodę. Cóż u licha ma to znaczyć? Będzie wolny, jeśli ubezpieczy! Naturalnie, że coś w tem tkwi, ale co? Myślał o tem z takim natężeniem, że aż mózg jego zaprotestował, ale do żadnego rezultatu nie doszedł. Nakoniec wyprostował się.

— Dobrze! Wprawdzie nie mam pojęcia co to wszystko ma znaczyć, ale jeżeli mam być wolny, gdy podpiszę ubezpieczenie przeciw włamaniu, to zrobię to. Czy to ma się odbyć zaraz?

— Jak tylko pan będzie miał czas, panie Möbius.

— Hm, mój czas...

— Jestem ciągle grzeczny. Ale zanim udamy się w drogę, musimy pana poinformować o szczegółach. Proszę posłuchać!

Hoff-Jensen posunął się wtył z krzesłem. Perrini ziewał zadowolony i wyciągnął się w swym fotelu prawie jak w łóżku. Młody Schiött miał minę uważnego i wzorowego ucznia.

— Więc? — spytał Möbius.

— W kantorze, o którym mówimy, siedzi dwóch młodych ludzi i dyrektor. No i naturalnie parę maszynistek. Z dyrektorem nie ma pan nic do czynienia, tylko z dwoma młodymi ludźmi, panie Möbius. Obaj są Szwedami. Jak pan widzi, potrzebujemy pańskiej po-



mocy. Jeden nazywa się Lindell, drugi... jak to on się nazywa... tak, Stewén.

— Pan, zdaje się, dokładnie zna tę firmę.

— Trzeba być przezornym, panie Möbius, kiedy się chce ubezpieczyć. Zawsze trzeba uważać. Tak, drugi nazywa się Stewén. Piękne nazwisko. Z nim pan ma porozmawiać. Pan ma takie piękne nazwisko szwedzkie.

— Czy mam gratulować panu Stewén jego nazwiska?

— Owszem, a potem powie mu pan swoje własne. Pan nazywa się Möbius i mieszka pan w willi „Bellevue“.

— Czy to jest willa „Bellevue“?

— Tak.

— W Kopenhadze?

— Nie, skąd, w Taarebek. Mieszka pan w willi „Bellevue“ w Taarebek, w pięknym, dużym domu, który pan chce ubezpieczyć od włamania, od ognia i tak dalej.

— Ależ, Boże, dom nie do mnie należy, ale do pani Zingel.

— Wszystko pod naszym dachem należy do pana, panie Möbius! Nazwiska pani Zingel nie powinien pan wymieniać, ho...

— Bo strzelę z rewolweru.

Perrini ziewnął swoje trzy słowa, które widocznie miały być dowcipem, i znowu zapadł w swój pelen zadowolenia letarg. Jego oczy patrzyły na Möbiusa bez wyrazu jak dwa obiektywy. Möbius podniósł się spokojnie.

— Dziękuję. Nie potrzebujecie mi panowie udzielać dalszych szczegółów. Dostyc już słyszałem. Zabezpieczenie od włamania, które miałem za panów załatwić, niechaj najlepiej towarzystwo zapisze na własny rachunek. W każdym razie nie ja będę tym, który je za was podpisze.

— Chyba pan tego nie myśli, panie Möbius?

— Owszem, myślę.

— Ależ pan rozumie, że w tym wypadku jesteśmy zmuszeni zatrzymać pana pod naszym dachem. Niech pan pomyśli o łonie natury, panie Möbius, teraz, w lecie.

— Wiem, co myślę. Muszę znajdować się pod tym dachem, nawet gdy nie jest ubezpieczony od włamania. Muszę ryzykować, że przyjdzie tu włamywaczy więcej, niż to jest przewidziane.

Möbius nie wiedział, skąd mu się wzięły ostatnie słowa. Z początku o nich nie myślał; powstały same przez się, wyskoczyły mu z głowy. Patrzył na przestępców mocnym, miazdzącym spojrzeniem. Kto wie, że jest narażony na pokusy, i wie, że im się oprze, ten czuje się silnym. Potrzebował tej siły, którą czuł, bo za chwilę scena się zmieniła.

Perrini, który gnuśny leżał poziomo na fotelu, nagle zmienił położenie geometryczne. Zanim się Möbius opatrzył, stał przed nim z wyciągniętą ręką, i Möbius, który dotychczas widział dwa czarne obiektywy bez czucia, ujrzał jeszcze jeden. Rewolwer, wspomniany tak często, opuścił kieszeń Perriniego i patrzył na Möbiusa niby trzecie cyklopowe oko. A własne oczy Perriniego stracił zupełnie podobieństwo do obiektywów. Błyszczały jak u rysia: zmarszczki jego oblicza promieniowały z kącików oczu jak sieć telegraficzna głównej stacji. Palec wskazujący kurczowo spoczywał na cynglu. Möbius zauważył, że myślał szybciej i intensywniej niż kiedykolwiek. Widział jak cygaro Hoff-Jensena w kącie ust opuściło się, zadawał sobie pytanie, czy słyszy się strzał rewolwerowy, którym się jest zastrzelonym; zobaczył jak młody Piotr Schiött, blady jak płótno, wpatrywał się w cyngiel rewolweru.

A więc on nie był taki całkiem zatwardziały. Prawdopodobnie minęła tylko jedna a najdłużej dwie sekundy zanim Hoff-Jensen ze spóźnionym okrzykiem odtrącił ramię Perriniego i rewolwer poleciał w powietrze. Mö-

bius zauważył nagle, że jego włosy są wilgotne i miał uczucie jakby jakiś elastyczny bandaż owijał mu czoło.

— Cóż to ma za sens, Perrini? Czy nie można ze sobą mówić jak ludzie inteligentni? Sądzisz, że tem przestraszysz pana adjunkta? Przecież on nawet Nera się nie boi!

— Nie, on jest odważniejszy niż myślałem — zauważył filozoficznie Perrini i usiadł — rzeczywiście chciałem go zastrzelić. Co on to powiedział? Włamywacze! A do stu djabłów!

— Pomyśl, że pan adjunkt jest szczerzy, można się z tego cieszyć. Ale pan adjunkt nie chce wyświadczyć nam tej malej przysługi. Co robić? Nic. Musimy sami sprawę załatwić.

Möbius myślał o wszystkim i o niczem. Myślał o tem, że Schiött zbladł, kiedy zobaczył, że Perrini gotów jest strzelić. Myślał, czyby Wera zbladła, gdyby usłyszała o morderstwie. Myślał też i o tem, czy on sam bał się bardzo. Wśród tych myśli posłyszał co mówił Hoff-Jensen i przyszła mu nowa myśl, która postawiła go na nogi. Oni chcą sami załatwić! Zamach na towarzystwo ubezpieczeń, o ile rozumiał, nie został poniechany, dlatego, że on odmawiał pomocy; chcieli go przeprowadzić bez jego udziału. Coby było, gdyby pozornie zgodził się i wyzyskał sposobność, aby ostrzec towarzystwo? A może to było niepodobieństwem? Ledwie sobie postawił to pytanie, kiedy uświadomiła mu się nowa strona sprawy: jeśli chcą, by on im pomógł, to muszą go wypuścić! Miał więc sposobność zwrócić na siebie uwagę innych ludzi, być może, uciec! Ta możliwość zdecydowała, i ledwie słyszał w sobie jeszcze motyw patriotyczny: pomoc szwedzkiemu towarzystwu, a już postanowienie było powzięte. Zwrócił się do Hoff-Jensena i sam zauważył, że głos jego był spokojny, gdy mówił:

— Gdy zrobię to, co pan mówił, czy jest pewne, że będę wolny?

Hoff-Jensen patrzył nań badawczo.

— Wszakże powiedziałem panu.

— Pańskie... — Möbius zawahał się — pańskie słowo honoru?

— W tej samej chwili, gdy pan przeprowadzi to co chcemy, jest pan wolny... daję słowo honoru.

Möbius podniósł się.

— Dobrze, więc zrobię to.

Perrini zmarszczył się złośliwie.

— Ale niech pan pamięta. Ojciec też idzie. I jego rewolwer. Żadnych żarcików z biednymi włamywaczami!

Widocznie ojcem nazywał siebie, podczas gdy Schiött dawał sobie miano synka. Cichy dreszcz przebiegł po plecach Möbiusa. Ma otrzymać do towarzystwa ze wszystkich trzech najgorszego. Ale kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa. Powziął zamiar; teraz należało go przeprowadzić. Zimno skinął głową Perriniemu.

— Kiedy mnie potrzebujecie?

— Zaraz wyruszamy... w tej chwili.

Hoff-Jensen zatarł ręce i błysnął oczyma. Wyglądał jak wielka, gruba mucha, która sobie czyści przednie nóżki.

— Pan miał słuszość, panie adjunkcie, pan miał słuszość. Jest wolna wola, ale my prędzej czy później wybieramy to, co musimy... niechże mnie pan tak nie piorunuje spojrzeniem! Mówię przecież, że pan ma rację!

W dziesięć minut potem wszedł Perrini w płaszczu szofera, z paltem, które podał Möbiusowi. Stanowczość Möbiusa już się napół ulotniła. Wziął palto z ociąganiem się. Było ono o wiele za duże, wydawało mu się kaftanem bezpieczeństwa. Był prawie gotów, gdy na-

gle ogarnęły go ciemności, bo Perrini założył mu szybko i bezwstydnie parę w skórę oprawnych okularów samochodowych na oczy. Szklka były czarne, rogowe! Perrini wziął go pod ramię i rzekł:

— Żadnych głupstw! Nie rzucać się! Dziś żadnych widoków nie zobaczymy! Jak dom będzie ubezpieczony, wtedy będziemy sobie widoki oglądać!

Möbius myślał w gorączkowym zamęcie. Czyżby rzucił się w warjackie przedsięwzięcie? Czy powinien powiedzieć: nie? Był ślepy jak prosię w worku. Ale jakkolwiek był ślepy, wyjdzie przecież z domu do kantoru towarzystwa; nie mogą go tam przecież prezentować tak jakby miał udawać ślełą krowę! A powiedzieć: nie! Pan Bóg wie, jakby to nie teraz Perrini przyjął. Był mężny przed wymierzonym w niego rewolwerem, ale powtó:żenie tego numeru... i zresztą miał przecież zamiar ostrzec towarzystwo... westchnął i poszedł za Perrinim. Jedna myśl go niepokoiła: Nero. Ma przejść koło Nera jak bezsilny tłumok, odziany w sposób, który go może irytuje. Nie potrzebował jednak martwić się o to. Wprawdzie Nero szedł na niego ze złowrózbnem warczeniem, ale w następnej sekundzie słyszał jak upadł na drugim końcu pomieszczenia, wyjąc z wściekłości: Perrini tak postępował, jak nauczał, a miał widocznie silne nogi.

Potem otwarły się drzwi, które od tygodnia były dlań zamknięte, i został sprowadzony po schodach.

Próbował uchylić okularów, ale to się nie udawało. Były przymocowane ztyłu.

Nie widział nic po drodze z domu do auta, którego warkot przed wyjazdem słyszał, i kiedy wsiadł w nie, tak samo. Myślał o tem, czy go też kto widzi i co o nim myśli. Prawdopodobnie, że jest nieszczęśliwym ślepcem, którego litościwi ludzie zabrali na wycieczkę. Przez chwilę chciał krzyczeć, ale zaniechał tego. Następnie

auto ruszyło stamtąd z bukiem. Po nieokreślonym czasie stanęło. Perrini, który go cały czas trzymał pod rękę, otworzył drzwiczki i wyprowadził na ulicę. Nagle okulary spadły i Möbiusa olśniło światło dzienne. Zobaczył poważną piętrową kamienicę, drzwi z mosiężnymi tablicami, a na najbliższy napis: *Vanadis. Ubezpieczenia i dom bankowy.*

— To tutaj. Wejdziemy do środka. Zobaczy pan dwóch młodych przy jednym biurku. Ma pan życzyć sobie mówić z panem Stewénem.

Perrini mówił głosem zduszonym, było widoczne, że jest podniecony. Möbius niemniej.

— Powie pan panu Stewénowi: Jestem Möbius ze Szwecji, życzę sobie ubezpieczyć swój dom; jest za nisko oszacowany; rekomendowano mi pańskie towarzystwo. On powie: Owszem, z przyjemnością. Pan powie: Wpadłem tu tylko po drodze i, niestety, nie mam przy sobie papierów, czy mógłby pan kogo posłać? On powie: Nie. Pan powie: Możemy mógł pana później spotkać, panie Stewén? On powie: Możemy spotkać się jutro. Pan powie: Niestety, wyjeżdżam jutro wczesnym rankiem na kontynent, muszę przedtem ubezpieczyć swój dom, który jest ubezpieczony za nisko. Pan nie może, szkoda. Udam się do innego towarzystwa. On powie: Ależ z przyjemnością mogę się z panem spotkać, kiedy pan zechce, panie Möbius. Pan powie: Niech mi pan pozwoli pomyśleć, teraz jestem zajęty, potem zjeżdżę obiad, wypiję kawę, może pan zechce przyjść na kawę? Będę miał wtedy papiery, pojedziemy potem do domu, jeżeli pan sobie życzy, panie Stewén. On powie: Z przyjemnością. Czy pan zrozumiał?

Möbius kiwnął głową. Zrozumiał. Zaczął rozumieć. Co ma robić?

— A kawiarnia, w której mam spotkać pana Stewéna? — rzekł — domyślam się, że...

- Kawiarnia Cesarska.
- Kawiarnia Cesarska?
- Tak. Pan wszystko zrozumiał?
- Tak...

— Dobrze. Możemy wejść. Nie zapominać: ja jestem i rewolwer jest. Żadnych głupstw nie wyczyniać, żadnych żarcików. Jak pan zażartuje, to ja strzelę. Auto czeka, zwieję. Niema żartów!

Nie można się było pomylić co do tego, że niema żartów. Ciemna twarz obok Möbiusa jakby trzeszczała nalaadowana elektrycznością. Möbius czuł jak pot wychodził z niego wszystkimi porami. Co ma robić? Czy nie rzucił się w imprezę, która przechodzi jego siły?

Przestrzec ludzi w towarzystwie ubezpieczeń było jego obowiązkiem, tak jak było i zamiarem, ale jak tego dokonać bez zwrócenia uwagi Perriniego? Przed chwilą powiedział Perrini, że on jest odważniejszy niż można się było spodziewać. Niewiele już z tej odwagi pozostało. To nie była tylko sama obawa śmierci, chociaż sobie nagle uświadomił, że i tę wyczuwał, to jeszcze coś innego... napięcie, coś w tym rodzaju! Palce drżały mu; Perrini porywczo wyciągnął butelkę z kieszeni na piersiach i włożył mu ją w usta. Nie było wątpliwości, że była to jedna z jego ulubionych marek, zdaje się Aalborg; Möbius stał się odrazu innym człowiekiem. On to robi, on podola temu.

— Dobrze — rzekł — czy pan idzie naprzód, czy ztyłu?

Perrini zachichotał i nie odpowiadając otworzył drzwi z szyldem *Vanadis*. Möbius, podniecony do najwyższego stopnia, mimowoli upadł na duchu. Pomieszczenie, do którego weszli — on z przodu, a Perrini za nim — było czemś w rodzaju przedpokoju, stało w nim kilka krzeseł, stół, wisiało zwierciadło. Nie było nikogo. Möbius spojrział w lustro i nagle pojął rzecz, której

dotychczas nie rozumiał: dlaczego Perrini i inni chcieli jego współudziału, choć ryzykowali, że źle zagra. Pojął, czego wzamian nie ryzykowali: że towarzystwo nie weźmie ich poważnie. W lustrze zobaczył się w palcie; rzadko widywał równie solidną postać. Z bródką, poważną miną i w futrze palcie wyglądał na dyrektora banku. Nawet na czarniawe, lajdackie oblicze Perriniego padało odbicie jego postaci: wyglądał jakby rzeczywiście był tem, za co chciał uchodzić, za szofera. Nie było wątpliwości, że Möbius służył trzem kompanom jako dekoracja. Ale Perrini nie dał mu czasu na dalsze refleksje. Otworzył dalsze drzwi i wepchnął go do biura Vanadis.

Napięcie Möbiusa powróciło, ale jednocześnie czuł się bardzo podle. Naprzód pokój wydał mu się karuzelą pełną ludzi: powoli karuzela zatrzymywała się: zrazu zobaczył brunatną, polerowaną szafę, potem pewną ilość pulpitów. Zobaczył panie piszące na maszynach, usłyszał stukające maszyny. Przed szafą było puste miejsce. Jakiś młody człowiek podniósł się i skierował się ku szafie, Möbius automatycznie podszedł do niego. O krok za sobą miał Perriniego.

Młody człowiek skłonił się z ujmującym uśmiechem. Möbius odklonił się sztywno.

— Nazywam się Möbius...

To wyrwało mu się zupełnie automatycznie, ze starego przyzwyczajenia. Nie miał zamiaru tego powiedzieć. Młody człowiek skinął głową.

— Czem mogę służyć?

Möbius odwrócił się szybko i spojrzał prosto w oczy Perriniemu. Ten opuścił powieki i twarz miał nieruchomą, prawie służbistą, tak, jak wypadło na szofera, ale jego oczy mówiły językiem, który Möbius aż za dobrze rozumiał.

— Czem mogę służyć? — powtórzył młody człowiek.



- Chodzi o... hm... chodzi o ubezpieczenie domu.  
 — Aha. Od włamania? Od ognia?  
 — Jedno i drugie. Dom jest za nisko oszacowany...

Möbius przesunął ręką po czole. Wszakże tego wcale nie chciał powiedzieć. To zbrodniarze chcieli, żeby on tak mówił. Młody człowiek przeszedł na szwedzki. Prawdopodobnie był to ów pan Stewén. Wyglądał na sympatycznego, ale może niezbyt bystrego. Jak Möbius ma mu dać poznać, w czym tkwi sedno rzeczy? Przed chwilą, kiedy lyknął z flaszki Perriniego i wchodził w pierwsze drzwi, miał tuziny pomysłów. Teraz wszystkie ulotniły się. Co ma powiedzieć? Czuł za sobą Perriniego, który wpatrywał się w niego czarnemi, błyszczącymi oczyma. Było tak, jakby jego wzrok wpijał się w kark Möbiusowi. Nawpół świadomie, z przerwami ciągnął dalej:

— Dom jest za nisko oszacowany, chętniebym w tem towarzystwie ubezpieczył wyżej. Rekomendowano mi towarzystwo panów. Pan jest Stewén, nieprawdaż?

Wstrzymał się. To jednak było głupie. Mówił tylko to, czego go nauczyli. Teraz musi znaleźć jakąś sposobność, trzeba uważać...

Młody człowiek śmiał się trochę zaskoczony.

— Tak, skądże pan wie o tem?

— Ach... hm... pewien znajomy — Möbius rzucił ukosne spojrzenie za siebie; twarz Perriniego była sztywna i natężona jak przedtem — pewien znajomy mówił mi o panu — dokończył niezręcznie.

— Cieszy mnie to. Czy pan ma z sobą jakie papiery, panie Möbius? Wszak pańskie nazwisko brzmi Möbius? Nieprawdaż? Dziękuję, tak, zrozumiałem. Pan pozwoli swoje papiery, a nasz przedstawiciel przybędzie możliwie prędko w celu oszacowania.

Möbius skupił resztki woli. Teraz musi się to stać.

— Nie mam przy sobie papierów — rzekł nerwo-  
wo — przejeżdżałem spacerem i wstąpiłem, ale... ale...

— Nic nie szkodzi. Pan może wręczyć papiery na-  
szemu przedstawicielowi. Czy mogę prosić pana o ad-  
res?

— Willa „Bellevue“, Taarebek — rzekł Möbius pierw-  
szy raz zgodnie ze swoją wolą. — Ale rzecz jest tego  
rodzaju — szukał czegoś, coby mógł powiedzieć — rzecz  
jest tego rodzaju, że ja wyjeżdżam jutro rano na kon-  
tynent... i...

Znowu wyrwały mu się słowa Perriniego. Było tak  
zupełnie, jak gdyby jego umysł był całkowicie zniedo-  
łążniały. Było dlań niepodobieństwem pomysleć co in-  
nego niż to, co mu kazano. Cóż to było? Musi się otrzą-  
snąć, teraz, natychmiast!

Młody człowiek podniósł brwi.

— Jutro rano! W takim razie ubezpieczenie jest  
bądźco bądź pilne! Jutro jak najraniej! Szybkie ubezpie-  
czenia są naszą specjalnością, ale... ba, panie Möbius,  
bardzo mi przykro, ale nie mamy nikogo do wystania,  
inaczej załatwiłoby się tę sprawę. Ja i mój kolega  
jesteśmy sami w biurze, prócz dyrektora. Żadnego z na-  
szych właściwych taksatorów w tej chwili niema, i...

Na chwilę przerwał. Möbius odetchnął. Miał uczucie  
jak pacjent-nowicjusz, który zadzwonił do deutysty  
i powiedziano mu, że pana doktora niema w domu!  
Skoro młodzieniec powiedział, że to niemożliwe, trudno!  
Błyskawicznie kątem oka spotkał się z wulkanicznym  
spojrzeniem Perriniego. Teraz musi wystąpić z czemś  
innem, z propozycją spotkania w kawiarni i tak dalej.  
Ale on nie chce! Nie, nie chce! Walczył z sobą całą siłą  
woli, żeby nie powiedzieć. Chciał się uklonić i odcisnąć,  
a konsekwencje przyjąć na siebie... już miał to zrobić,  
kiedy raptem młody człowiek spojrzał na zegarek  
i rzekł:

— Panie Möbius, czy mogę panu zrobić pewną propozycję? Nasze towarzystwo zainstalowało się tutaj niedawno, bardzo chcielibyśmy sobie wyrobić klientelę, no i poza tem pan jest naszym rodakiem. — Rozczniał się. — Jeżeliby pan mógł w ciągu dnia spotkać się ze mną, to zrobiliby mi przyjemność podjąć się oszacowania i wypełnienia wszystkich blankietów. Czy to panu dogadza?

Möbius stał jak ogłuszony. Tak mocno postanowił tego nie proponować, że teraz, gdy ten młodzieniec sam to zaproponował, miał uczucie, że mu się ziemia z pod nóg usuwa. Cała jego siła woli znikła, rozstąpiła się, rozwiązała. Cóż powinien zrobić? Co ma powiedzieć?

— Gdzie mogę pana spotkać?

Möbius słyszał głos:

— W Kawiarni Cesarskiej. Tam obiadam.

Czyż to on był tym, który to powiedział? Tak.

— W Kawiarni Cesarskiej! Świetnie! Zatem przyjdę tam. Cieszy mnie, że mogę panu się przysłużyć, panie Möbius. O siódmej? o wpół do ósmej? Dogodnie panu? Doskonale. Pan pozwoli... moje uszanowanie.

Zamknął jedną klapę szafy i towarzyszył Möbiusowi do drzwi. Möbius wytoczył się z lokalu nieprzytomny. Pan Stewén zamknął i przez ramię odezwał się do kolegi:

— Nasi ziomkowie są zawsze jednacy, masz pod tym względem słuszność, Lindell. Ten wyglądał na wielkiego właściciela ziemskiego, ale wódką czuć było go o metr.

Podszedł do okna i wyglądał.

— Teraz wsiada do auta. Trzeba przyznać, elegancie. Ale, do diabła, cóż on ma za czarne okulary? Kim jest, jak myślisz, ten człowiek, który tu był z nim?

— Przypuszczam, że szofer.

— Tak? Nie sędę. On wsiadł do auta ze Szwedem pod ramię. Szofer był blondyn i podobny do ciebie. Tamten zresztą robił niemile wrażenie.

Podczas powrotnej jazdy Möbius z zasłoniętymi oczami bez przerwy myślał o jednym i tem samym: czy złożył fałszywe świadectwo przed panem Stewénem. Czy przekroczył ósme przykazanie?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### *Adjunkt Möbius i siódme przykazanie.*

Czy adjunkt Möbius przekroczył ósme przykazanie? Podczas powrotnej jazdy samochodem, zaczęły się jego myśli oddawać tej czynności, o której już św. Paweł mówił: świadczą sobie wzajem, oskarżając się i usprawiedliwiając równocześnie. Ciągnęły to dalej, kiedy znalazł się w zielonym pokoiku. Doszło do tego, że adjunkt Möbius był jak pełna hałasu sala sądowa, gdzie sam sędzia nie mógł sobie znaleźć posłuchu wobec świadków i jurystów. Myśli oskarżające wołały: — Zgrzeszyłeś przeciw ósmemu przykazaniu, ponieważ powiedziałeś Stewénowi tylko to, czego cię Perrini nauczył! Czy możesz temu zaprzeczyć? — Obrończa myśl odpowiadała: — Tak to z pozoru wygląda, ale to tak mówił, że Stewén musiał powziąć podejrzenie. — Nieprawda — odparły na to myśli oskarżające — Stewén nie powziął żadnego podejrzenia, gdyż inaczej nie przyrzekłby spotkania w Kawiarni Cesarskiej. — Szkoda, że nie powziął podejrzenia — powiedziała myśl obrończa — ale to nie moja wina. Powiedziałem to w taki sposób, że musiała mu się to wydać podejrzone i zresztą Perrini... — Ha-ha-ha! — zawołały myśli oskarżające — a więc ze strachu przed Perrinim! Czyż tchórzostwo

uniewinnia z grzechu? Czyż nie jest naodwrot? — Co na mnie wpłynęło — odpowiadała myśl obrończa — to nie strach przed Perrinim, ale przekonanie, że Perrini i takby wziął kogo innego do pomocy. — Kto inny, czy ty, jakaż różnica? — Różnica polega na tem, że wieczorem w kawiarni mogę ostrzec Stewéna. Tego kto innyby nie zrobił. — Hm. To samo mówileś dziś rano. — Tak, ale nie znalazłem sposobności, ponieważ Perrini stał tuż przy mnie. Jakiegokolwiek przestępstwo miałoby być spełnione — choć nie mam pojęcia jakie — to Perrini dokonałby go. A gdybym Perriniego nie miał z tyłu tobym zrobił to, o czem mówiłem. — Hm! Hm! — powiedziały myśli oskarżające. — Absolutnie! I tego nie można twierdzić, że przestąpił ósme przykazanie. To nie jest próba usprawiedliwienia, to jest moje szczere przekonanie.

Podczas tej rozprawy sądowej sędzia, pomimo, że pochłonięty sprawą, zauważył jedno: wieczór zapadł. Tak, wieczór zapadł. Było wpół do ósmej i w pokoju, położonym od północy i mającym małe okna, było smętne. I przy tem odkryciu spojrzenie Möbiusa również stało się trochę smętne.

O siódmej powinien spotkać pana Stewéna w Kawiarni Cesarskiej. Teraz jest wpół do ósmej. Co to ma znaczyć?

Patrzył na Chrystjana XI w kole następnych pokoleń, tak jakby to był uczeń, od którego oczekuje odpowiedzi i to natychmiast. Tak, on chce mieć wyjaśnienie! O nie! — zaszemrał w nim głos — jeden z najuporczywszych oskarżycieli — nie tego wyjaśnienia. Najpilniejsze jest wyjaśnienie, dlaczego on tu siedzi? Czy nie dlatego, że inni postanowili spotkać pana Stewéna bez jego asystencji. Nie, to zresztą jest wykluczone. Oni odłożyli tę sprawę. Czy zlekli się? Albo może siedzieli poprostu w jadalni i jedli jak zwykle? Pociągnął nosem

i poczuł wyraźnie zapach smażonej ryby. Albo befsztyka? W każdym razie był to zapach potraw, i Möbius miał uczucie, jakby miał harpun w żołądku. Zauważył nagle, że nie tylko jest głodny, ale wprost jak wydrażony w środku. Zapewne przyczyniło się do tego napięcie, którego doznał. a także lekarstwo Perriniego. Ale przede wszystkim pragnął wyjaśnienia, dlaczego nic odwieziono go na spotkanie z panem Stewénem.

W tej chwili posłyszał stąpanie po schodach. Ktoś przychodził. Czy to był Perrini, czy Hoff-Jensen, czy obaj? Teraz drzwi się otwarły. Była to pani Zingel, za nią stał Nero, wstrętny, z oślinionym pyskiem.

Möbius postawił krzesło, które był instynktownie podniósł.

Pani Zingel, tęga blondyna, stała ze swą nieruchomą twarzą. W ręku trzymała obficie zastawioną tacę. Poprzednio uchyliła tylko drzwi; teraz lekko kopnęła Nerę wysokim obcasem lakierka. Möbius zobaczył jak długa lydka zarysowała się pod suknią. Zamknął oczy, nie wiedząc sam dlaczego. Nero zniknął wraz ze spojrzeniem, którem sprawiedliwie obdzielał Möbiusa i tacę z jedzeniem. Pani Zingel weszła i zamknęła drzwi. Möbius stał sztywny z ręką opartą na krześle.

— Mógłby pan stół wysunąć — usłyszał głos pani Zingel.

Miał uczucie, że się nagle obudził. Potykając się, przeszedł przez pokój i podniósł klapę stołu. Pani Zingel postawiła tacę i patrzyła nań.

— Nie jest pan w tej chwili grzeczny — powiedziała takim tonem, jakby miała zamiar otworzyć dyskusję.

Möbius nie odpowiadał.

— Pan mnie nawet nie prosi, bym usiadła?

Möbius tak zgłupiał, że podsunął jedyne krzesło.

Usiadła i spokojnie patrzyła na niego.

— Myślałem, że pani chce odejść — wyjąkał.

— Boże, jakiż pan szczerzy! Czy pan sobie tego życzy?

Wrodzona i nabyta grzeczność ovladnęła Möbiusem.

— N... nie...

— Z jakim trudem!

— Ja... myślałem, że pani sama będzie wołała.

— Dlaczego? Czy pan nie chce jeść. Nie zatrulał jedzenia.

Möbius zmieszany drapał się po brodzie, przysunął stół do łóżka i zaczął jeść. O panu Stewenie zupełnie zapomniał. Na tacy reprezentowane były ulubione potrawy i rybożercy Schiötta i mięsożercy Perriniego. Zaatakował befszytki i umyślnie zaniechał odpowiedzi.

— Czemu pan sądził, że ja chcę odejść? — powtórzyła. Założyła nogę na nogę. Znowu Möbius kątem oka widział długą łydkę. Przyszło mu na myśl, że prawdopodobnie ona jest tem, co nazywa się szykowną.

— Dlaczego pan tak sądził? — powtórzyła po raz trzeci.

— Ja... miałem takie wrażenie.

— Tak? Jakie? Kiedy?

Möbius wciąż jeszcze pozwał befszytkowi przeszkadzać w odpowiedzi. Był on niezwykle dobrze usmażony, soczysty, w miarę posolony i opieprzony, polany gęsto brunatnym sosem. Przyglądała się z zadowoleniem, jak jadł.

— Dobrze? — spytała.

Möbius skinął niezręcznie z pełnemi ustami. Było to jak Jasiowi i Małgosi, kiedy czarownica była łaskawa. Przyglądała mu się i nagle przyszedł jej pewien pomysł do głowy.

— Chce się panu pić?

Chciał powiedzieć *nie*, ale rozmyślił się. Jemu *chciało się pić*. Ale czy to było dobrze, przyjmować od ludzi w tym domu cośkolwiek prócz rzeczy najkonieczniej-



szych? Pewnie nie, ale zło nie powiększy się przez to. Bez słowa kiwnął sztywno głową. Powstała.

— Niech pan poczeka — powiedziała i wybiegła.

Patrzył w drzwi i dalej żuł mechanicznie. Cóż to. u Boga Ojca, się działo? Co za nagła zmiana pogody? Teraz wbiegła po schodach na górę i pokazała się z zakurzoną butelką w ręku.

— Pije pan Bordeaux? A może pan woli burgunda? Mam wrażenie, że dla pana piwo to nie trunek?

Möbius wybąkał coś niezrozumiałego. Postawiła kieliszek na stole i nalala z zapyłonej butelki. Przeczytał na niej: *Baron Pichon de Longueville*, otoczone heraldycznymi godłami. Ponieważ jednak ledwie rozróżniał białe od czerwonego, więc mu to nic nie powiedziało.

— Jest niezłe — zagwarantowała i patrzyła z moralnym zadowoleniem, jak wypił cały kieliszek ciemnoczerwonego wina. Nawet jego niedoświadczone podniebienie powiedziało mu, że mówiła prawdę. Wino było więcej niż dobre, gęste, aromatyczne, ogniste i zarazem orzeźwiające. Nalala mu znowu, nie czekając na życzenie. Wino przepływało mu przez gardło i tętnice, jak woń, jak żar, jak pieśzcota. Poczul, że jego spojrzenie jest cieplejsze.

— Niech mi pan powie — zaczęła, kiedy powtórnie wypróżnił kieliszek. Wyczekująco spojrzął pierwszy raz prosto w jej oczy. Oczy te odpowiedziały na jego spojrzenie, rozpoczęte pytanie urwało się.

— Co? — pytał Möbius bezmyślnie.

Nie odpowiedziała.

— Co? — powtórzył.

Była jakby przygnębiona. Nagle spojrzała nań zukosa i powiedziała:

— Niech mi pan powie, dlaczego mnie pan nienawidzi?

Möbius był tak zdumiony, że postawił kieliszek, który po raz trzeci podnosił do ust.

— Panią nienawidzę?

— Tak, mnie pan nienawidzi!

— Nie rozumiem... nie zdawałem sobie sprawy, że...

Od befsztyku i od wina zrobiło mu się gorąco. Wierzył, że mówi prawdę. Zapewniał o uczuciach, które dla niej żywił, gdy wczoraj wieczorem przynosiła mu jedzenie do pokoiku i do jadalni.

— Nie rozumiem — odpowiedział. Czuł szum w uszach. — Nie sędzę, żebym stał wysoko etycznie, ale sędzę, że przynajmniej nikogo z bliźnich nie nienawidzę.

— To jest gadanie! — zawołała. — Pan mnie nienawidzi. Wyczytałam to nieraz z pańskich oczu, a już wczoraj wieczorem całkiem wyraźnie.

Möbius popijał z kieliszka, aby uporządkować swoje myśli. Miał dużo do powiedzenia, to czuł, ale ciężko mu przychodziło uporządkować myśli i odnaleźć tę, którą chciał wypowiedzieć. Podczas picia trafił na nią.

— Ja pani nie nienawidzę — powiedział powoli — ale nie mogę zaprzeczyć, że miałem wrażenie, iż to pani mnie nienawidzi.

Zadowolony postawił kieliszek. Pani Zingel cofnęła w tył głowę z takim gestem, jakby się miała szyderczo roześmiać, że ona może takiego człowieka nienawidzić. Ale nie roześmiała się. Patrzyła nań i miał wrażenie, że jej oczy mienią się i ciemnieją. To go zaniepokoiło, choć nie zdawał sobie sprawy, dlaczego. Wyciągnął rękę ku butelce, która była do połowy wypróżniona, ale ona go uprzedziła, wzięła ją silną, białą ręką, którą zdawał się pierwszy raz widzieć, i nalala mu wina do pełna.

— Sędził pan, że pana nienawidzę? — spytała nagle.

— To jest, że pani mną gardzi i chce, żeby mnie tu nie było...

— Dlaczego?

- Bo ja stoję na drodze...
- Zachodzę w głowę, dlaczego pan tak uważał.
- Z pani zachowania się tak przypuszczałem.

Möbius niespokojnie poruszył się na swem miejscu na łóżku. Chciał, aby ta dyskusja była już zamknięta. Nagle wino otworzyło sobie drogę poprzez tamy grzeszności.

— Pani wyśmiewała się ze mnie — rzekł i patrzył na nią z wyrzutem.

— To nieprawda!

— Jednak.

— Widocznie pan powiedział coś wesołego.

— Nie — zaprzeczył Möbius — pani ze mnie śmiała się... szyderczo...

Mile ciepło w głowie zaczęło ustępować. Ciągłe był zdumiony sytuacją, ale nie w taki przyjemny sposób jak przedtem. Nagle przypomniał sobie coś, o czem zapomniał, a nie powinien był zapominać. *Gdzie inni byli, skoro ona tu była?*

— Gdzie jest Perrini? — zawołał — gdzie Schiött i Hoff-Jensen?

Podniosła brwi, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi. Potem kiwnęła niecierpliwie głową.

— Tu na dole.

— Tu na dole? Napewno?

— Napewno. Cóż pan sobie myśli?

— Co oni tam na dole robią?

— Co robią? Tęgo doprawdy nie wiem. Czy pan sądzi, że mogą widzieć przez zamknięte drzwi?

Möbius dopił resztę z kieliszka i wino barona de Longuevilles wyjęło mu z ust odpowiedź.

— Nie sądzę, żeby pani mogła widzieć przez zamknięte drzwi, ale wiem, że Perrini i Schiött mogą się przez nie przedostać.

Pogłaskał się po brodzie i spojrzal na nią ukradkiem.

Niespodziewanie, ku jego radości, ta złośliwość znalazła jej uznanie. Zadarła w tył głowę i wybuchnęła głośnym śmiechem. Biała jej szyja wyciągnęła się, a zęby błyszczwały. Przyszło mu do głowy, że wtedy na dole nie rozumiał jej śmiechu. Może coś powiedział wtedy takiego, co ją do śmiechu pobudziło. Pochyliła się z błyszczącymi oczyma i chciała mu jeszcze nalać.

— Dziękuję, mam dosyć.

— Dlaczego? Czy niedobre?

— Wyśmienite, ale...

— Skoro jest dobre, nie rozumiem, czemu pan nie chce więcej.

Nie słuchała jego protestów i nalała. Próbowal przeszkodzić i dotknął jej ręki. Była ciepła i zobaczył, że ma cztery czy pięć bransolet na rękę i że jej paznokcie są białe i jasno-różowe. Na jednym z palców nosiła obrączkę. Z niewiadomego powodu poczuł ulgę, gdy ją zobaczył: przyjemne ciepło w głowie powróciło. Gdy podniósł kieliszek, by się napić, pochylił się ku niej. Przyszła mu pewna myśl.

— A pani?

— Teraz jest pan naprawdę ujmujący. Nie, musiałabym zejść, by przynieść kieliszek.

— Może ja pójdę?

— Nie, tegoby jeszcze brakowało. Niech pan pije, ja mogę pić od drugiej strony.

Möbius pil jak zaczarowany i czuł silne bicie w skroniach. Czy to było stosowne? Czy to było słusne? Niemożliwe. Głęboko żałował, że ją zaprosił do picia, ale teraz było za późno. Wyciągnęła rękę i odebrała mu kieliszek. I oto pije z przymkniętymi powiekami i ze śmiechem. Nagle oprzytomniał. Bóg wie skąd, oczekiwał widocznie, że będzie piła jak podłotek, skromnie i przyzwoicie. Obrączka straciła znaczenie. Wszak była przyjaciółką Perriniego i Schiötta; o tem zapomniał,

a nie powinien był zapominać. A teraz myślał, jak było cicho tam na dole. Czyż oni tam naprawdę siedzieli? Zmarszczył czoło i chciał ją o to pytać. Ona uprzedziła go:

— Niech mi pan powie, czy pan jest zakochany w Werze?

Ręka Möbiusa ześlizgnęła się z brody; wyprostował się i czuł, że jest czerwony jak wino barona de Languevilles. Jak ona śmiała?... co ona sobie myśli? Czy on...nie, to było już za wiele! Spojrzał na nią lodowatym, surowym wzrokiem zwierzchnika szkolnego i rzekł najbardziej suchym tonem:

— Nie rozumiem, o czym pani myśli?

— Ależ tak! Czy pan jest w niej zakochany?

— Rozumiem, że pani mnie chce obrazić.

— Boże! jak pan się zaraz unosi! Więc czy pan jest w niej zakochany?

Möbius ścisnął pięści jak murzyn. Spojrzenie Gustawa Adolfa przypadło bez śladu. Podniósł pięść, by nią w stół uderzyć.

— Niechże pan go nie wywraca, on jest taki chwiejny! Ach tak, więc pan nie jest w niej zakochany. A ja tak myślałam. Ona jest akurat dla pana. Niech pan się nie zapiera! Już zauważyłam, jak pan na nią patrzył, gdy Piotr Schiött...

Drżący ze wzruszenia Möbius powstał, nie wiedząc, co powiedzieć, aby nareszcie koniec położyć tym głupim, bezsensownym podejrzeniom. On ma być zakochany w Werze! Przecież on po dojrzałym samozbadaniu doszedł do przekonania, że nawet jej nie pożądał, przynajmniej w taki sposób, żeby to się nie dało pogodzić z przyzwoitością. Znowu jego spojrzenie padło na obrączkę.

— Pani jest zamężna? — zawołał.

— Tak, to jest...

— To jest, pani rozwiodła się! Porzuciła pani męża, swoje obowiązki, aby żyć z szumowinami, które nie innego nie robią, jak tylko moralność świecką...

— Mój mąż umarł — rzekła.

— Umarł... ach tak...

Potok słów Möbiusa został nagle wstrzymany jak rzeka przez spuszczenie śluzy. Mechanicznie zajął znów miejsce na łóżku i przesywał ją swemi hlyszczącemi oczyma. Ale nie mógł uchwycić żadnego nowego wątku na miejsce zerwanego. Potem stała się rzecz niepojęta. Para smukłych rąk otoczyła nagle jego szyję. To było dziwne wrażenie, jakby obrósł go pnącz dokola i zasłonił mu widok. Wilgotne usta poprzez brodę Gustawa Adolfa szukały jego warg. Czuł miękki ciężar na sobie. W oczach zrobiło mu się ciemno. Posłyszał szept:

— Ach, jaki pan słodki... niechże pan teraz się ze mną klóci — to dobrze robi.

Walczył, jakby był jeszcze w katedrze w Roskildzie w pazurach Perriniego. Machał rękoma, próbował na rękach podnieść się z łóżka. Ciężar leżał na nim coraz ciężej. Nakoniec stół poleciał z hrzękiem tłuczonego szkła, część jego ciała uwolniła się, potem całe. Podniósł się jak w gorączce, chwytając powietrze i szukając słów. I ona się podniosła z wyrazem twarzy, który go sklonił do milczenia. Jej brwi były lekko wzniesione, a usta rozchylone. To było wszystko, a jednak Möbius milczał, jak gdyby został schwytyany na gorącym uczynku gwałtu wobec kobiety lub czegoś w tym rodzaju. Spokoju nie podniosła tacę z podłogi, on schylił się niezgrabnie, aby jej pomóc, ale go odsunęła. Nagle zniknęła. Möbius stał na środku pokoju i patrzył na drzwi.

W jego myślach panował zamęt. Nakoniec uchwycił się tej pocieszającej myśli jak pasa ratunkowego: tym razem bezwarunkowo odniósł zwycięstwo nad pok... Jego położenie w stosunku do dziewiątego i ósmego

przykazania mogło być przedmiotem debaty, ale jeśli chodzi o ten wypadek, to było jasne. Rzecz szczególna, że nie odezwał z tego powodu żadnego triumfu; czy to była oznaka pokory? Prawdopodobnie. Godzina za godziną przechodziła, a on myślał bez przerwy o tem samem. Kiedy wreszcie spojrzal na zegar, gotów iść do łóżka, dochodziła pierwsza. Właśnie wtedy posłyszał ostrożne kroki na schodach i wstrząsnął się. Któż to mógł być? Perrini? Hoff-Jensen? O tej porze? Drzwi się otworzyły. Jak wieczorem, zobaczył, ku swemu zdumieniu, jasnowłosą panią Ziugl.

Uchyliła tylko drzwi i śmiała się cicho do niego:

— Chciałam tylko panu zakomunikować — szepnęła — że w „Vanadisie“ poszło wszystko dobrze.

— W „Vanadisie“? — wybąkał Möbius.

— Tak, dobrze poszło. Właśnie wrócili do domu. To znaczy, tylko jakieś jedenaście tysięcy koron... Perrini i Schiött prosili mnie, żebym panu podziękowała za pomoe w usunięcia Szweda. Dobranoc.

Zamknęła drzwi. Möbius dojrzał jeszcze różowy negliż i parę pantofelków na wysokich obcasach.

Uspokajający gmach myśli, który właśnie ustawił, rozpadł się jak domek z kart. Choć oparł się żonie Putyfara, nie było wątpliwości, że przekroczył pośrednio siódme przykazanie, a bezpośrednio ósme. A przekroczenie siódmego nie było drobnostką.

Jak przewidywał, wiązało go to na wieczne czasy z przestępcami.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### *Dwaj panowie na pokrywie garnka.*

Była dziesiąta, i stali goście kawiarni „pokryjomu“ zaczęli napływać. W suterynie pod kawiarnią znajdował się sławny kabaret „garnek“, i dwie instytucje pracowały razem jak Scylla i Charybda. Kto nie utonął w wirach jednej, ten szedł na dno w burzliwych falach drugiej. „Pokrywa“ była długim lokalem, złożonym z małych pomieszczeń, które przypominały więzienie z jego przegrodami. Teraz w „garnku“ grzmiał marsz. Tęgie panie, które od wielu lat popierały to przedsięwzięcie, oddalały się ze swych miejsc i płynęły do kawiarni wolnym strumieniem, z łagodnym kołysaniem się pletw, jak gromada dojrzałych, doświadczonych szczupaków. Tu gromada rozdrabniała się; tęgie żarłaczki sadowiły się na swych zwykłych miejscach w lokalu; ofiary nocy już wpadły z ulicy; gra mogła się zaczynać.

W jednym z pomieszczeń stały dwa stoły ukosem do siebie, oba zajęte przed przybyciem tęgich pań. Przy każdym stole siedziało dwóch panów, jeden duży i jeden mały. Przy jednym towarzystwo było duńskie, przy drugim — szwedzkie. Duży pan w towarzystwie duńskim był bardzo gruby, z czarnymi, krótkowzrocznymi oczyma za okularami i z rzadką bródką na chytrej twa-



rzy. Był w towarzystwie młodego, bez zarostu, jasnowłosego mężczyzny o twarzy cherubina. Obaj obserwowali bacznie stół szwedzki, który uginał się pod ciężarem wielu butelek. Siedział przy nim mały pan o melancholijnym wyrazie twarzy. Był w towarzystwie przyjaciela z twarzą surową, kapłańską. Regularnie, jak maszyna, ręka jego zstaczała koło od kubła z lodem i czterema brunatnymi butelkami do kieliszka i dalej do ist. Jednocześnie przemawiał do swego letargicznego przyjaciela, który od czasu do czasu otwierał smutne żabie oko i mówił: przesiadać, szósty tor.

Ale to nie przeszkadzało mężowi z księżą twarzą. Ten głośno skandował poemat, który zdawał się nie mieć końca.

Gdzie ci, co się pieścili społem,  
wtedy, gdy cały świat  
był jednym rozkoszy kościołem,  
krew na twój ołtarz kładł,  
ci, co w Lampsahu wirowym trybie...

Dwie tłuste damy, przechodzące obok, wzięły to do siebie i zachichotały zachęcająco. Przy wyrazie „Lampsahu“ mniejszy, tragiczny pan otworzył jedno oko i wymruczał:

— Myślałem, że mówisz o Möbiusie? Czy on tu jest?  
Tamten nieublaganie ciągnął dalej:

A wśród Afaka krwawych uczt i wieńczeń  
szli do Ciebie w namiętnej miłości,  
o Madonno udręceń!

Teraz dwie tłuste damy uważały, że była tak wyraźnie o nich mowa, iż wszelka wątpliwość była wykluczona. Opuściły się na krzesła, skinęły na grubego kelnera

i zamówiły na poczekaniu kanapki, piwo i wódkę. Melancholijny pan otworzył oboje oczu i zawołał przestraszony:

— Przesiadać, szósty tor!

Jego przyjaciel patrzył pośepnie na śmiejących się nowych gości i mówił:

— Biada temu, który niema innego domu, prócz kawiarni. Czemże jest sofa w kawiarni, jak nie lożem Prokrusta do obcinania duszy? Dochodzi dwadzieścia lat jak się dobrowolnie położyłem do tej operacji. Jestem okaleczony jak człowiek śmiechu Wiktora Hugo. Ale teraz musi być koniec! To mnie przestało bawić. To mnie przestało cieszyć. Musi być temu koniec!

Jego przyjaciel mruzczał:

— Nie powinienem był wystawiać tego ostatniego weksla.

— Tyś nie powinien był wystawiać tego ostatniego weksla — zaryczał mężczyzna z księżą twarzą. — Czy jesteś socjałem, czy blagierem? Czy chcesz przyspieszyć światową katastrofę, czy nie?

Dreszcz przeszedł ciało jego przyjaciela. Nagle podniósł się jak Łazarz w swych powijakach i wyjrzał za lokal. Przez środkowe przejście włókł się jakiś pan w niebieskim garniturze. Miał bystre oczy, czarne wąsy i wydatne policzki. W rękę trzymał kapelusz z okrągłym dnem. Uważnie przyglądał się gościom kawiarni nie tylko kobietom ale i mężczyznom. Stół ukośnie postawiony do dwóch szwedzkich panów na chwilę zwrócił jego uwagę. Zanim jeszcze zobaczył szwedzki stół, dwie tłuste paucie, wiedzione tym samym instynktem, podniosły się, aby odwiedzić dalsze części lokalu. Odzégłowały, i kiedy pan w sinem ubraniu skierował się ku stolowi szwedzkiemu, widział już tylko melancholijną, żabią parę oczu, które teraz błyszczały zapewnieniem wiary i słyszał krzyk: — Nie! Nie powinienem był wystawiać tego

weksła! Nie, powiadam, nie powinienem był tego zrobić, a złagodziłem to. Czy choć poto, żeby przyspieszyć ekonomiczną katastrofę świata! Nie. Tak mówi Quillander. Möbius nigdy w to nie uwierzy. Nie, w to nie uwierzy! Alkoholicy wszystkich krajów, łączcie się!

Pan w niebieskim ubraniu, który zatrzymał się, patrzył nań oczyma fotograficznego aparatu. Adjunkt Schorn, gdyż on to był, pochylił się nad stołem jak złamana lilja. Adjunkt Quillander, bo on to był właśnie, podniósł się i wyrzekł z powagą:

— Ten mąż nie umarł, ale śpi. On jest dzisiaj wiezorem smutny, podobnie jak ja. To nic jest lagodny smutek młodości, który jest jak kropla angostury w czystej wódce, to jest gorzki smutek dojrzałego wieku i przeżycia. Umrzeć? Spać? Pij, niebiesko odziany przyjacielu, na którego twarzy spryt i czujność naznaczyły sobie randkę ze skłonnością do wstawiania, siadaj, wypróżnij puhar i odwróć go dnem do góry, jak nachyloną pochodnię na cześć mego śpiącego przyjaciela, doktora Schorna ze Szwecji.

Pan ubrany w niebieski garnitur skwapliwie zajął miejsce. Oczy jego błyszczaly, prędko wypił kielich, który nalał mu adjunkt Quillander, poufale pochylił się ku niemu i rzekł z duńskim akcentem:

— Pardon, zdaje mi się, że tamten pan wspominał Möbiusa ze Szwecji. Czy ten pan zna pana Möbiusa? To jest mój przyjaciel.

— Pan Mö...

Adjunkt Quillander postawił swój kielich i poprzez siedmiokrotną mgławicę ponczową patrzył na pana ubranego na niebiesko.

— Pan Mö... panie w niebieskim garniturze, znajduje mnie pan ryczącego na pustyni, złożonej z butelek i mego przyjaciela Schorna, jak sowę na ruinach Babilonu.

O coś mnie pytał? Czy znam Möbiusa? Czy mogę zapytać, czy ty sam znasz Möbiusa?

— Oczywiście, znam Möbiusa. A pan? Pan zna go także? Dobrze?

Chmura, która otaczała adjunkta Quillandera, rozdzielała się wolno jak chmura na górze Tabor. Widział, a nawet zaczynał myśleć.

— Hm, tak — i nalał niebiesko ubranemu panu — to jest... którego Möbiusa?

— No, Möbiusa ze Szwecji.

— Tak, ale którego Möbiusa? Czem on jest? Jak wygląda?

— On jest...

Pan w niebieskiem ubraniu wpatrywał się błyszczącymi oczyma bacznie w Quillandera, aby intuicyjnie odgadnąć wygląd zewnętrzny Möbiusa. Ale Quillander patrzył na niego wciąż tem samym bezbarwnem jak szkło i nic nie mówiącem spojrzeniem, więc mówił:

— Pan Möbius! Nie jest taki duży jak pan, nosi małą bródkę, jest bardzo elegancki, jeździ w aucie i ma szofera. Zna go pan?

Quillander, który na początku opisu wyprostował się, powoli pochylił się. Nieświadomie jednak czuł się pocieszony, że Möbius tamtego i jego Möbius nie jest tą samą osobą. Było coś niemiłego w tym człowieku. Elegancki Möbius z autem i szoferem. Dlaczego nie z własnym aeroplanem?

— Niebieski przyjacielu! — rzekł — mówimy nie o tej samej osobie.

— Tak? Dlaczegoż nie?

Pan w niebieskiem ubraniu nie był widać skłonny stracić nadzieję.

— Napewno, napewno to ta sama osoba. Möbius nie jest to przecież takie częste nazwisko w Szwecji, a ja po-

znałem pana Möbiusa w szwedzkim towarzystwie ubezpieczeń. Przybył tam, aby ubezpieczyć swój dom.

— Möbius? Dom ubezpieczyć! Mój przyjacielu w niebieskim chitonie, Möbius, którego ja znam, jest nauczycielem religii w Szwecji. Nie jest biedny, ale właścicielem domu w Kopenhadze nie jest! Tydzień temu przyjechał do Kopenhagi, a trzy dni temu powrócił do domu.

Niebiesko ubrany zdawał się być przygnębiony tem, że nadzieja na posiadanie wspólnych znajomych w dym się rozwiała.

Posępnie wypił poncz, obtarł wąsy i rzekł:

— Nauczyciel religii? Nie, to nie, to nie może być ten sam, nie, to napewno nie ten.

Smutnie wpatrywał się w swoją szklankę. Quillander nalał mu do pełna z uprzejmością, okazywaną zwykle tym, którym się sprawiło zawód.

Niebiesko ubrany wypił.

— Życie jest dziwne — rzekł Quillander — jesteśmy posłuszni prawom, których nie znamy. Władają nami jeszcze liczby Pitagorasa. Dlaczego chętniej bierze się pożyczkę 25-koronową, iż 10? Dlaczego chętniej się pożycza dla siebie 100 koron niżli 50? Czemu chętniej bierze się dwie szklanki ponczu zamiast jednej? To jest wina Pitagorasa. Kelner, proszę podać jeszcze litr ponczu.

Adjunkt Schorn otworzył jedno oko:

— To nie jest wina Pitagorasa — wymamrotał — to jest poto, żeby ekonomiczną katastrofę przyspieszyć. Przesiąść, szósty tor!

Oczy pana w niebieskim ubraniu zaświeciły się przełotnie. Pochylił się ku adjunktowi Quillanderowi i położył mu rękę na ramieniu?

— Czy pan nie słyszał o włamaniu w towarzystwie „Vanadis“? W szwedzkim towarzystwie „Vanadis“? To

było dobrze zrobione. Jeden z urzędników... Nie czytał pan?

— Nie. Co się z uim stało?

— To Szwed. Nazywa się Stewén. Szwed, który.. uie, nie...

Pan w niebieskiem ubraniu zdjął rękę z ramienia Quillandera.

— Nie, wszystko jeduo. Na zdrowie!

Adjunkt Schorn nagle podniósł się i począł głośno krzyczeć :

— Och, to jest życie! Kto mówił o Möbiusie? Słyszałem, że ktoś mówił o Möbiusie. Proszę przestać. Ja tego nie znoszę! Möbius jest teologiem, ale honorowym chłopem. POCO ja podpisałem ostatni weksel? Tego nie powinienem był zrobić. Nie! Ja chcę wracać do domu!

Ruchliwe oczy niebiesko ubranego rozjaśniły się jak kawa, gdy do niej wrzucić łuski rybiej.

— Czy pan zna Möbiusa? — rzekł i porywczco zwrócił się do adjunkta Schorna.

Adjunkt Schorn zmierzył go pogardliwie zmrużonemi oczyma. — Czy ja znam Möbinsa? Dlaczego nie miałbym znać Möbinsa? Naturalnie, że znam Möbinsa. Czy Möbins tu jest?

Pomrugując, rozejrzał się po lokalu i skonstruował, że o ile jego zmysły funkcjonują, to go niema. — Nie, jego tu niema! Ha - ha - ha! Jakżeby tu mógł być, przecież on zginął!

— Co pan mówi? — zawołał niebiesko ubrany i przysunął się jeszcze bliżej — Pan Möbius zginął?

Ale adjunkt Schorn był już w powrotnej drodze do Nirwany i nie dał się na niej zatrzymać.

— Zginął — mamrotał — zginął, na trzeci dzień a Quillander mówi, że on powrócił do domu... ale hi.. ale hi!

W tej chwili język jego. postanowił zastosować się do

starożytnej maksymy, która zakazuje językowi wyprzedzać rozum. Adjunkt Schorn zamknął usta i zdrzemnął się. Jednocześnie adjunkt Quillander, pomuy na ołowiazki gospodarza, otworzył swoje usta i pił z gościem. Adjunkt Quillander mówił, a gość uważnie słuchał. Adjunkt Quillander pił, a gość pił trochę mniej. Dwie pitagorejskie półlitrowki ponczu zostały pokonane jak adjunkt Schorn. Adjunkt Quillander uznał porę za stosowną do wyjścia. Adjunkt Schorn toczył się krokiem kołyszącym, właściwym marynarzom. Niebiesko ubrany pan pomógł mu przejść przez wąskie schody *pokrywy*. Wsadził obu pedagogów do auta, które miało ich odwieźć do Grand-Hotelu Pedersena. Został na trotuarze i mruzczał:

— Tak, tak, jutro jedzie na wieś! Ma willę w Kildebek i prosi bym go odwiedził! Może to zrobię. *Może być, że jego Möbius jest nie ten sam, co mój... ale... no, zobaczymy!*

W kawiarni bardzo gruby Duńczyk i młody człowiek z obliczem cherubina wciąż jeszcze siedzieli przy stole. Zamieniali znaczące spojrzenia. Młodszy mruknął:

— Widziałeś banknoty, które gruby miał przy sobie?

— Widziałem je — odpowiedział korpulentny przyjaciel — i nawet z przyjemnością.

— Słyszaleś, że wynajęli willę w Kildebek?

— Słyszałem. i też z przyjemnością; będziemy sąsiadami.

— A i to słyszaleś, jak rozmawiali o panu Möbiusie?

— Słyszałem i to moją przyjemność zmniejsza. Nie dlatego, że Holm, który znalazł się w ich towarzystwie, jest detektywem, ale teraz ich zna i podejrzewa, że znają Möbiusa. I w ten sposób będzie mógł się nas domać... ale głupstwo, to mu się nie uda!

## ROZDZIAŁ SZESNASTY.

*Sza! sza!*

Los, — miał zwyczaj mawiać cyniczny filozof Sopenetos, gdy mu szynkarz odmawia kredytu, — w dwojaki sposób ludzi psuje: gdy im odmawia, lub użycza tego, czego pragną.

Los, czy opatrność, przez szereg lat nie dawała adjunktowi Möbiusowi pokus, na których chciał swoją etyczną wartość wypróbować, zahartować swoją wolę: dlatego też Möbius uważał swoje życie za chybione. Nagle dane mu było, czego pragnął: i nie było wątpliwości, że dopiero teraz uważał swoje życie za całkowicie chybione. Jego wartość etyczna została zanalizowana i uznana za równą zeru; jego wolę kamień szlifierski wyszczerbił jak niehartowny metal. Przepadł z kretesem. Złożył fałszywe świadectwo przed panem Stewénem, ukradł, boć złoczyńcom kraść pomagał, to było pewne, od tego nie można się było wykręcić. Z jasnością pioruna widział jak od upadku w Roskildzie ustawicznie okłamywał się, aby oczyścić się z winy. Tak, na długo przedtem, zanim stał się kłamcą wobec innych, był nim wobec siebie. Miał wobec samego siebie wykłady o starem i nowem pojmowaniu dziesięciorga przykazań; teraz już nie było



miejsca na takie wyjaśnienie. Jedno było jasne: według bożych i według ludzkich praw był kłamcą i złodziejem.

To był rezultat tego, że od pierwszego upadku, który uważał za tak nieznaczący, ciągle miał się na baczności przed pokusami! On, który patrzył na przestępców z góry, teraz był ich kolegą i współtowarzyszem; temu nie można było zaprzeczyć, to było faktem.

Prawda, że oparł się pani Zingel, dawała mu dzisiaj jeszcze mniej zadowolenia, niż wczoraj. Wydawało mu się to prawie nieistotne.

Adjunkt Möbius siedział na brzegu łóżka, z rękoma przy głowie i zastanawiał się nad słowami Pawła: „Kto mniema, iż stoi, niech baczy, by nie upadł“. Jednocześnie zastanawiał się nad słowami grubego Hoff-Jensena. Jak to dwa dni temu powiedział? — Nie potrzebujemy pana prosić o pańskie słowa honoru. Kiedy pana wypuścimy, pan je da dobrowolnie. — Teraz zaczynał rozumieć, co gruby sofista miał na myśli. On był wplątany w sprawę przestępców. Był współwinowajcą, ba, w oczach policji może głównym sprawcą. Przecież w kantorze „Vanadis“ podał swoje nazwisko! Czemu? Nie pojmował. Przeklinał godzinę, w której zgodził się na żądanie przestępców w nadziei, że ich przechytry. Jedno dlań było pewne: jeśli teraz wyda przestępców, to wyda i siebie.

Kto to idzie po schodach?

Drzwi otwarły się. Weszła Wera.

Niosła tacę, by sprzątnąć. Stała, a Möbius czuł, że mu się przygląda.

Czuł to, bo nie mógł się zdobyć na to, by na nią spojrzeć. Było to tak, jakby jego wstyd przy niej udziesiąciokrotniał się. Dlaczego? Przecież była to tylko narzeczona Piotra Schiötta, prawie członkini bandy. O tem nie myślał. Pragnął tylko, by poszła sobie.

— Zdaje się, że nie bardzo różowo jest pan usposo-

biony — powiedziała i ustawiała na tacy. — Co się stało?

Z jej głosu nic mógł nie wywnioskować. Głos ten nie brzmiał ani pogardliwie ani wyzywająco; nie był też tak pewny siebie jak zwykle. Brzmiał raczej naciągana naturalnością. Co wyczyta z jej oczu, gdy spojrzy? Poślizgnięcie czy triumf? Nie chciał patrzeć.

— Czyż panią to dziwi? — wykrztusił z rękoma przy głowie.

— Co się stało?

— Czyż pani nie wie, co było wczoraj i dziś w nocy? Zwlekła z odpowiedzią.

— No tak.

Teraz brzmienie jej głosu było wyraźne. Brzmiał gorzko, tak prawie jak jego własny. Czemu? Jej narzeczony do poprzednich wawrzynów dodał nowe.

— Zdaje się, że i pani nie jest w różowym usposobieniu — powiedział — ale dlaczego? Pani przyjacielom powiodło się tej nocy. Czy byli wszyscy trzej? Czy tylko Perrini i narzeczony?

Zwlekła z odpowiedzią.

— Z pewnością najlepiej udało się Piotrowi.

— I mimo to jest pani tak nieróżowo usposobiona?

Poprzez palce rzucił na nią ukradkiem spojrzenie. Nie widział nic prócz niebieskiej bluzki i jednej ręki. Palce były silnie zaciśnięte. Znowu zwlekła z odpowiedzią.

— Ale to dziwne — rzekła wreszcie tym samym naciągniętym tonem. — Dlaczego pan nie chce na mnie spojrzeć? Czy jestem taka brzydka?

— Pani dobrze wie, że pani jest piękna — odpowiedział twardo.

— Pan prawi mi komplementy? Tego od pana uic oczekiwałam.

Möbius milczał.

— I choć nie jestem brzydka, pan boi się na mnie spojrzeć. Czy pan ma przede mną takiego stracha, jak przed Perrinim?

— Nie boję się Perriniego — odpowiedział ostro.

— Hm! Hm!

Przeciągała to *hm* w nieopisanie irytujący sposób. Ale on nie chciał na nią spojrzeć.

— Nie boję się ani Perriniego, ani Hoff-Jensena, ani pani uszczęzonego — powtórzył — boję się tylko jednej osoby.

— Czy mnie?

— Pani! — w głosie jego nie było komplementu. — Boję się tylko siebie.

— Ha-ha-ha! Co pan mówi! Siebie! To chyba pan jest jedynym, który się pana boi.

Zacisnął zęby. Byłoby głupio brać jej cokolwiek za złe. Ona już taka była. Przez palce czuł jej oczy. Człł jak jej wzrok ślizgał się to tu, to tam, w poszukiwaniu chorego miejsca. Nie chciał spojrzeć.

— Pani myśli, że boję się Perriniego, bo on jest mocny — powiedział. — Nie boję się mocnych ludzi. Boję się siebie, bo jestem słaby.

— Aha — odpowiedziała tym samym drażniącym tonem. — Jednakże są ludzie mocni, których pan się boi? Niech pan nie zaprzecza! Dlaczego pan dał się wczoraj nastraszyć?

Teraz opuściło go panowanie nad sobą. Mimowoli podniósł głowę i spojrział na nią. Stała przed nim dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażał, z błyszczącymi niebieskimi oczyma i drażniącym uśmiechem w kąciakach ust. Jej mina mogłaby trapistę skusić do grzechu. Zapomniał o rezultacie samobadania i o pokorze, którą postanowił się przejąć, o wszystkim zapomniał z powodu jednej rzeczy. Chciał się bronić. Dlaczego? Czy jej sąd miał jakiegokolwiek znaczenie? Czyż to nie

był jego własny popęd do usprawiedliwienia się, który odżył? O tem nie myślał.

— Kto powiedział, że mnie nastraszyli? — zawołał. — Narzeczony?

Ona wzdrygnęła się nieznacznie. Nie zauważył, że to stało się przy ostatniem słowie. Gdyby był wcześniej na nią patrzył, byłby takie wzdrygnięcia się wcześniej zauważył.

— Ha-ha-ba — śmiała się — więc pan przyznaje, że pana nastraszyli.

— Nie nastraszyli mnie; jeśli to pani narzeczony powiedział, to skłamał. Nic dziwnego, kłamie się, kiedy się...

Möbius przerwał. Chciał powiedzieć: kłamie się, kiedy się jest złodziejem. I oto przyszło mu do głowy, że on sam jest kłamcą i złodziejem. I zapalił się, mówił z przejęciem. To nie było stosowne. Jediną właściwą dla niego postawą była pokora. Przyglądała mu się z nagle zastanowieniem.

— Wcale nic doszedłem do tego, co pani chciała... To jest...

— Ha-ha-ha! To jest właśnie to!

Möbius głęboko westchnął.

— No, więc doszedłem do tego, co pani powiedziała.

— Co ja powiedziałam? Rewolwer jest też niemily! Pan do tego doszedł, co złodzieje chcieli. Pan! Duchowny! Pan taki rozważny! Pan, który ma pełne kieszenie pieniędzy, choć pan kościelnego oszukał na pięćdziesiąt oerów, pan nazywa ludzi złodziejami, ale kiedy zobaczy rewolwer, to wtedy pozwala z sobą gadać. Fe! Fe! Fe!

Głos jej stawał się coraz gwałtowniejszy, policzki paliły; patrzyła na Möbiusa płonącymi oczyma aniola na sądzie ostatecznym. Möbius stał milcząc i słuchał, niewiele, niestety, czując skruchy. Sprawiało mu to przy-

jemność, której nie analizował, słyszeć, jak ona go oskarżała i piętnowała. Daremnie oczekiwał dalszego ciągu i sam wreszcie zabrał głos.

— Pani ma rację, ja uniosłem się pychą. Spodziewałem się, że w decydującym momencie oprę się. Teraz wiem, że tego nie potrafię. To było głupie, że nazwałem Perrinigo i narzeczonego pani złodziejami. W tej chwili jestem takim samym złodziejem, jak i oni. Ale w każdym razie muszę jedno powiedzieć... taki już człowiek jest samolubny, że chce się bronić. Zgodziłem się nie dlatego, że byłem zastraszony, ale dlatego, że chciałem im w ich zamiarach przeszkodzić.

Otworzyła oczy w taki sposób, że miał wrażenie, iż się przed nim odsłoniła.

— Czy pan chciał powiedzieć, że nic dziwnego, kłamstwo u złodzieja?

Möbius przyglądał się tacy.

— Czy to pan chciał powiedzieć, czy nie?

— Tak... to jest...

— Dlaczego pan przerwał?

— Przyszło mi do głowy, że pani narzeczony...

— Pan mi nie potrzebuje tak często przypominać o tem, że on jest moim narzeczonym. Dziś pan mi to czwarty raz mówi.

— Chciałem powiedzieć, że ja sam...

— Czy mogę pana zapytać o jedno: czy odważyłby się pan to powiedzieć w oczy Piotrowi lub Perriniemu, że oni są złodziejami?

Möbius patrzył jej prosto w oczy.. Na to pytanie mógł odpowiedzieć.

— Tak!

— Nie wierzę w to!

— Niech pani się spyta, czy ja już tego nie zrobiłem. Dosłownie to samo powiedziałem im w oczy wczoraj rano.

- Pan ich nazwał złodziejami?
- Tak, niech się ich pani sama zapyta.
- Pan powiedział Piotrowi, że on jest złodziejem?
- Tak.
- A on co na to?
- Nic.
- A Perrini też nie?
- Wyjął rewolwer i wycelował we mnie.
- Strzelił?
- Nie.
- Czy pan się bał?
- Myślę, że nie. Nie.
- Ale pan sam do tego doszedł, do czego pan chciał dojść! Ha-ha! Niech pan we mnie nie wmawia! Pan bał się rewolweru. Pan jest tak samo tchórzliwy, jak... Pan jest taki sam, jak... Pan ich chciał podejść?
- Tak, ale nie udało mi się.
- Ale pan próbował ich podejść?
- Tak, ale nie mnie udało się, tylko im.

Otworzyła usta, aby coś powiedzieć. Potem zdawała się namyślać. Nagle zrobiła coś, co go w najwyższy sposób zmieszało. Siadła na brzegu łóżka i podparła się pod brodę. W pokoju znajdowało się tylko jedno krzesło, zrujnowane podczas wizyty pani Zingel. Patrzyła na niego, ale Möbius nie mógł odgadnąć co myślała. Na koniec przelamala milczenie.

— Czy pan rzeczywiście chciał ich podejść? — spytała raz jeszcze. — Nie bał się pan? Miał pan taki zamiar?

— Tak, ale mówię pani, że mi się nie udało. Urzędnicy towarzystwa uwierzyli mi... i wie pani co było dalej...

— A teraz?

Möbius drgnął.

— Co pani ma na myśli?

— Pytam, co pan zamierza począć?

— Co zamierzam? Nie wiem...

— Nie wie pan?

— Nie. Jedyne o czym wiem jest to, że bez pozwolenia przestęp... bez pozwolenia Perriniego i Hoff-Jensena nie mogę odejść. Nie wiem, czy pozwolą mi odejść. W każdym razie przypuszczam, że policja mnie szuka.

— Pan jest duchownym. Czy pan nienawidzi Perriniego i Hoff-Jensena?

Möbius ciężko oddychał i milczał.

— Pan ich nienawidzi! — zawołała. — Niech pan powie!

— Nie — odrzekł wreszcie. — Sądzę, że nie.

— Niech pan nie kłamie!

— Myślę, że jedną rzecz można zrobić, gdy się chce. Myślę, że można nie kłamać. Ja nie chcę więcej kłamać, ani przed innymi, ani przed samym sobą. Nie czuję do nich nienawiści.

— A do Piotra?

— Dlaczego do niego więcej, niż do innych?

Spojrzała nań zagadkowo i odpowiedziała pytaniem:

— Ale Perrini i Hoff-Jensen zrobili z pana... sam pan to przecież powiedział... złodzieja. A pan jako duchowny...

— Nie jestem duchownym i nie wiem, czy mogę być uadał nauczycielem. Jestem tem, czem się stałem, ale to nie stało się z winy innych. Gdybym był silny, a przynajmniej gdybym wiedział, że jestem słaby, to byłbym tu wprowadzie jako więzień, ale nie zrobionoby ze mnie złodzieja, tak samo jak — spojrzał jej w oczy — nie zrobiono tego, jak sądzę, z pani.

Ona uniosła się nawpół z brzegu łóżka.

— Co pan ma na myśli?

— Myślę, że pani wygląda na uczciwą. Myślę, że takie wrażenie odniosłem od pierwszej chwili — nie od

pierwszej chwili, ale od tego wieczoru, kiedy Perrini i pani narzeczoney powrócili.

— Dlaczego nie od pierwszej chwili?

Möbius spojrział na szybę, którą słał pierwszego ranka.

— Hm, dlatego, że mnie pani rozdrażniła, pani coś o mnie powiedziała.

— Powiedziałam, że pan w tym samym celu był w kościele, co inni. Czy to?

— Tak.

— I dlatego powziął pan o mnie złe mniemanie! Dlaczego pan je wieczorem zmienił?

Möbius patrzył na Chrystjana XI.

— Gdy pani to powiedziała, nie mogłem inaczej sądzić, jak tylko, że pani solidaryzuje się z przestępcami z tymi ludźmi, którzy mnie uwięzili. Wtedy wieczorem odniosłem wrażenie, że tak nie jest.

— Ależ ja jestem narzeczoną Piotra! Pan sam to powiedział sześć razy!

— Tak, ale mimo to...

— Dlaczego mimo to?

Möbius spojrział na nią i całkiem niechcący powiedział jej tego dnia drugi komplement:

— Winne temu pani oczy. One są uczciwe i... — szukał wyrazu i znalazł właściwy — i piękne.

Uczciła w pełni jego komplement. Otworzyła oczy tak szeroko, że miał wrażenie, jakby mu tuż przed oczyma trzymano bratki.

Zdawało się, że za chwilę wybuchnie śmiech, którego się bał i który jednocześnie lubił. Ale powstrzymała się.

— Niech mi pan powie — śmiała się — czy pan tak i do pani Zingel mówił?

— Do pani Zingel?

— Wczoraj wieczorem. Niechno pan nie kłamie!



Möbius jak rak poczerwieniał. Właśnie teraz zupełnie zapomniał o pani Zingel. Co Wera chciała, powiedzieć przez to pytanie? Czy pani Zingel opowiedziała, co się wczoraj stało? Czyżby bywały tak bezczelne kobiety? Wera śmiała się tym śmiechem, na który już kilka razy napróżno oczekiwał. Teraz nie sprawiał mu przyjemności, lecz cierpienie. Nie był taki dźwięczny jak zwykle; był krótki i szyderyczy. Podczas rozmowy zakielkował w nim nastrój, który był podobny do poufalości; teraz zczezł w okamgnieniu.

— Teraz — rzekła — nic potrzebuję pytać. Tak, tak. Pan nadskakuje kobietom. Nie myślałam.

Znów się roześmiała. Möbius zebrał myśli.

— Może mi pani wierzyć, albo nie — zaczął — tak... tak, była tu pani Zingel...

— Niech pan nie próbuje kłamać. Przyniosła panu jedzenie, a pan był na tyle grzeczny, że prosił ją, by usiadła.

— Zrobiłem to dopiero, gdy mi sama o tem powiedziała.

— Więc pan z początku nie był tak grzeczny jak później!

— Czy mogę spytać, co pani Zingel powiedziała o mnie?

— Niech pan się tak nie przejmuje. Czy pan rzeczywiście coś *zrobił*?

Przechyliła głowę i chytrze na niego patrzyła.

— Niech pani tak na mnie nie patrzy — wyrwało mu się — nie mogę znieść tego wyrazu twarzy!

— Tak? Nie wolno mi wyglądać tak jak chcę?

— Nie, skoro się jest uczciwą i... i tak dobrą jak pani.

— Dobrą? czy ja jestem dobra? Mnie się zdaje, że pan teraz mówi jak we śnie.

— Nie! Wiem, co mówię! Niewiele spotkałem kobiet, ale, o ile wiem, to pani jest taka, jak mówię. Dobra i szczerą. Pani jest...

— Chciał pan powiedzieć, że wpadłam w złe towarzystwo?

— Tak, w złe towarzystwo, jak i ja zresztą. Ale pani jest silna i nie dała się. Pani jest nią, odrazu to widać. Dlatego też nie chcę, aby pani przyglądała mi się w ten sposób. Nie wiem co mówiła o mnie pani Zingel, ale w każdym razie nie mogło to być prawdą.

— Tak, tak... Nie tak prędko... Już zgóry zaprzecza pan wszystkiemu... Nie krępując się nawet...

— Bo wyobrażam sobie co może powiedzieć kobieta w rodzaju pani Zingel.

— Kobieta w rodzaju pani Zingel? Co pan przez to chce powiedzieć?

Möbius zawahał się.

— Sądzę, że kobieta, która zachowuje się tak jak wczoraj zachowała się pani Zingel wobec mnie, jest zdolna do wszystkiego.

— Hm... to może ona chciała uwieść pana?

Möbius drgnął, jakby dostał w twarz. Zaparło mu to dech. Mógł tylko spoglądać na nią szeroko rozwartymi oczyma. Cóż to za słowo w ustach młodej dziewczyny? Błyskawicznie zrozumiał, że było to właściwe słowo; że tego właśnie pragnęła pani Zingel, ale co to za słowo! Wera spokojnie wytrzymała jego spojrzenie.

— Teraz, oczywiście, nie wierzy pan już, że — jak brzmiało to piękne słówko! — jestem dobra... Ale szczerze, — czy to ona zaczęła? Nie przyznała się do tego sama, ale to chyba nie jest w zwyczaju.

Möbiusowi głos utkwil w gardle.

— Zdaje mi się, że spycha się to zawsze na drugiego, prawda? Szczególnie, gdy się nie udało. Czy tak było?

Möbius z trudem odzyskał głos.

— Panno Wero — zaczął niewyraźnie i błagalnie — niech się pani ze mnie nie śmieje, ale chciałem poprosić o dwie rzeczy.

— O co? Odważnie!

— Przedewszystkiem, by mi pani wierzyła, gdy mówię, że nie... że raczej... że nigdy...

— Aha, że nie uległby pan wdziękom pani Zingel?

— Tak, chociaż niejedną raz w życiu sam się okłamywałem, nie wierzę jednak, bym był aż tak słaby...

— Hm... Ale ona jest przecież przystojna, niejedną ją za taką uważa. Jeżeli nie udało się jej z panem, to nie znaczy to, że nie ma u innych szczęścia. Wiem o tem!

— Ale pani myśli, że się jej ud... że mówię prawdę?

Spojrzała na niego z uśmiechem, który jednak nie ranił. Był to uśmiech niemal ciepły, ale zarazem z odrobina goryczy.

— Tak — powiedziała z prostotą.

Zobaczył jej rozterkę i zdawało mu się, że wyczuwa w jej głosie jakiś fałszywy ton.

— Czy panią czemś uraziłem?

— Dlaczego?

— Tak mi się dziwnie pani przygląda...

Uśmiechnęła się.

— Jeżeli to ktoś powiedział, to właśnie ja. O to panu chodziło? to była druga pańska prośba, prawda? Niech pan nie kłamie, no, niech pan przyzna!

Zawahał się.

— Użyła pani kilku słów — dosyć niezwykłych...

— Chciał pan powiedzieć — brzydkich? Tak, ale musi pan pamiętać o tem, że byłam w złym towarzystwie. Sama zresztą nie jestem lepsza, proszę mi wierzyć.

Zaśmiała się beztrósco.

Nie wiedząc sam o tem. zbliżył się do niej i ujął jej dłoń.

— Panno Wero...

Usłyszał sam siebie, ale nie poznał własnego głosu. Był to jakiś obcy, inny głos. I skąd się wzięły te słowa?

— Panno Wero, wiem, że nie jestem skromny, ale — ale dlaczego pani tu zostaje? Wtedy powiedziała pani, że kocha swego narzeczonego, ale... ale to przecież nie wystarczy...

— Nie wystarczy?

— Nie. Czy kocha go pani aż tak bardzo, ażeby prowadzić takie życie? Nie mówię nic złego o nikim, ale nie może to potrwać długo. Wszystko może się wydać, a wtedy co? Sąd, więzienie... Czy kocha go pani dość mocno, aby przetrwać to wszystko? Nie chcę nikogo sądzić, nie mam do tego prawa, ale chodzi mi o panią.

— Dlaczego?

— Bo zdaje mi się, że jest pani właśnie taka, jak powiedziałem, — dobra i niezepsuta.

— Z pewnością nie jestem taka, jak pan myśli. A te brzydkie słowa? Znam ich więcej.

Zrobił niecierpliwy ruch ręką, trzymającą jej dłoń.

— To było głupio z mej strony. Niech mi pani odpowie. Czy kocha go pani tak bardzo? Czy nie mogłaby pani opuścić tego domu zanim będzie zapóźno?

Nie unikając jego spojrzenia, zwróciła się z kolei do niego z zapytaniem, które pozwoliło mu chwilowo zapomnieć o tem, że nie otrzymał odpowiedzi.

— A mój ojciec?

— Ojciec pani?

— Hoff-Jensen jest moim ojcem.

Wypuścił niemal jej dłoń.

— On jest ojcem pani — wyszeptał.

— Teraz pojmuje pan, że jestem taka.

— Nie, przeciwnie. A pani Zingcl. Czy to pani...

— Nie, to jego przyjaciółka... Sześć lat mieszkaliśmy zagranicą, do zeszłego roku. Nie wiem dokładnie dlaczego, ale prawdopodobnie ojciec popełnił coś, co go do tego zmusiło. Wróciliśmy w listopadzie, a ojciec założył swe towarzystwo. Perriniego znalazł z zagranicy, a Piotr był moim towarzyszem zabaw, gdy byłam jeszcze dzieckiem.

Zamilkła. Jeszcze nie odpowiedziała na jego pytanie. Spojrzeli na siebie. Nie myślał o tem, że nie odpowiedziała mu jeszcze. Wysilał całą swą znajomość psychiki ludzkiej, by wyczytać myśli z jej twarzy. Zauważyła to, i znowu zjawil się w jej oczach ten chytry błysk. Czy była taką, za jaką ją uważał? Czy mylił się? Patrzył na nią przenikliwie i trwożnie. Chytry błysk w jej oczach znikł z szybkością z jaką się zjawil, a spojrzenie jej stało się naraz dobre, niemal matczyne. Wynikło to może z tego, że ujął ją nagle za rękę i pociągnął ją za sobą z krawędzi łóżka. Stał, trzymając w swych dłoniach jej dłonie, mając jej oczy tuż przed swemi. Były tak niebieskie i oczekujące, jak oczy dziecka. Teraz przypomniał sobie, że nie odpowiedziała mu jeszcze na jego pytanie. Czul w piersiach swych jakiś ciężar, to też z trudem tylko powtórzył pytanie:

— Wero, czy lubi pani to życie tutaj?

Nie odpowiedziała. Spoglądała nań wciąż i wreszcie wzruszyła niezdecydowanie ramionami. Mogło to oznaczać równie dobrze tak, jak i nie.

— Wero, nie wiem czy mogę coś zrobić, nie wiem czy pani chce tego, ale chciałbym, aby pani była szczęśliwa i...

Jej usta były napół otwarte, jak usta dziecka. Wciąż jeszcze milczała, ale w głębi jej oczu było coś, co pozwalało mu mówić dalej. Nagle nie mógł jednak znaleźć żadnego słowa. Czul, że ma wiele do powiedzenia, że chodzi tu o jej szczęście; że chce, aby była szczęśli-

wa, i to zupełnie bezinteresownie, naprawdę wierzył, że jest uczciwa i dobra i że cokolwiekby się stało, nie wolno, by znów wpadła w nieszczęście. Ale zarazem była w nim bolesna pustka; nie mógł znaleźć myśli dla swych słów; gdzie podziały się słowa? Nagle doznał uczucia, jak gdyby coś w jego wnętrzu poddawało się. Nie wiedząc prawie o tem, obejmował po raz pierwszy w swem życiu kobietę i znalazł kilka słów, ale nie z tych nieegoistycznych, których szukał:

— Nie mogę na to nic poradzić — powiedział — ale Kocham cię...

Jej oczy stały się ciemne. Cofnęła swą głowę przed jego rękami.

— Tak! — powiedział, usiłując zbliżyć jej głowę. Ręce jego drżały w wielkiej trwodze. — Kocham cię od tego wieczoru. Okłamywałem sam siebie, że tak nie jest, ale teraz już nie mogę dłużej.

Nareszcie odezwała się znowu:

— Ale ja nie jestem dobra.

— Jesteś!

Przyciągnął ją tak gwałtownie do siebie, że przez sekundę oboje zdawali się tracić równowagę.

— Stawiałaś opór, przewyciężyłaś pokusy, którym ja nędznie uległem. Nie widzę ciebie w lepszym świetle, ale taką, jaką jesteś. Nie jestem godny ciebie, ale Kocham cię.

— A Piotr? — szepnęła. — Jestem jego narzeczoną. Sam pan to powiedział kilkakrotnie.

Möbius nie poznawał samego siebie. Czuł teraz siłę i zdecydowanie, jakich dotychczas u siebie nie znalazł. Ręce, które wcióż ją trzymał, drżały jeszcze coprawda, ale głos jego był już silny.

— Nie mam żadnego szacunku dla jego praw, nawet gdybyś była jego żoną. Czy on potrafi uszanować pra-

wa innych? Czy kochasz go naprawdę? Odpowiedz. Jeżeli nie, to należysz do mnie.

Głowa jej, dotychczas odchylona, zbliżyła się nieco. W kącikach ust zadrgało przecucie uśmiechu. Jeszcze raz odpowiedziała pytaniem:

— Ale czy przez to, że nie należę do niego, należę już tem samem do pana?

— Tak — odpowiedział Möbius — jeżeli wierzysz we mnie. Jeżeli wierzysz, że cię uszczęśliwię. Czy wierzysz?

— Nie wiem. Nie wiem, czy się uszczęśliwia tego, kogo się kocha. A jeżeli ja pana unieszczęśliwię?

Mówiąc to, uśmiechnęła się. Jak legendarny Zygfyrd zrozumiał nagle śpiew ptaków, tak teraz Möbius pojął nagle uśmiech jej i zarazem odpowiedź, która była w jej pytaniu. Czul się nagle tak silny, jak Perrini. Jej opór powstał tylko poto, aby mogła go przewyciężyć jego siła. A w chwilę potem stało się coś, co wywołało te same uczucia w dwóch, różnych zresztą zupełnie osobach — w panu Piotrze Schiött'cie i w pannie Lundén w Brostacie.

— Ale ten ma pietra... Policja, kryminal... Lepiej już zostać z włamywaczami... To większy tchórz, niż przypuszczałem.

Perrini wymachiwał rękami. Piotr Schiött uśmiechał się, przytakując. Hoff-Jensen trząsł się, jak słoń, który wylał z basenu.

— Hm... — przyznał — jestem zdziwiony. Zdaje się, że przeląkł się bardzo. To znaczy...

— To znaczy... — powtórzył Schiött.

— Można to sobie jeszcze inaczej wytłumaczyć.

— Tak? Naprzykład?

— Że chciał tu zostać, aby móc nas śledzić.

Perrini wstał. Z twarzy Schiötta znikł złośliwy uśmiech.

— On? — zawołał Perrini. — Nie, on ma za duży szacunek dla rewolweru. I wystarczy spojrzeć na niego, ażeby się przekonać, że nie jest szpiegiem. Jest tchórzem, — ot i wszystko.

— Jest poprostu tchórzem — potwierdził Schiött.

Hoff-Jensen spojrział na Schiötta jeszcze bardziej tępym wzrokiem niż zazwyczaj.

— Gdy byłem młody — powiedział — byłem także zazdrosny. Ale nie gardziłem nigdy moimi rywalami. To nonsens.

Schiött zbliżył się, a z jego wyrazu twarzy widać było, że miał ochotę dać w twarz swemu przyszlmemu teściowi. Ale Hoff-Jensen uprzedził wszystkie jego protesty.

— Nie masz zresztą powodu być zazdrosny, wiem o tem. Powiedziałem tylko tak sobie. Ale ten wieczór nie wpłynął może dodatnio na twoje akcje.

— Ten wieczór! O czem myślisz? Czy o tem, co się zdarzyło w Vanadis, czy też...

— Czy też o historii z panią Zingel?

— Tak, co masz na myśli?

— I jedno i drugie. Kobiety są takie dziwne. Czasami przestają kochać tylko dlatego, że nie dotrzymuje im się wierności. Naprawdę.

Zdawało się, że Schiött chce odpowiedzieć gwałtownie, ale po chwili opanował się.

— Tego rodzaju sprawy rozumiem lepiej od ciebie. I prosiłbym cię, żebyś nie mówił więcej o tej pierwszej sprawie. Postaram się ją naprawić jutro wieczorem, w willi...

Perrini, który przysłuchiwał się ze znudzonym wyrazem twarzy, jak zawsze, gdy rozmowa toczyła się na temat kobiet, machnął ręką.



— Jutro wieczorem w willi! — powiedział. — Tak, tak. Powiedziałeś, że miał dużo pieniędzy?

— O, dużo! — potwierdził Hoff-Jensen.

— Dużo! — potwierdził również Schiött.

— A więc za dużo dla niego! — powiedział kategorycznie Perrini. — Pozatem jest Szwedem. Jak Möbius i Lindell. Jutro wieczorem w willi.

— Jutro wieczorem w willi — powtórzył Schiött z zaciętością. — Szkoda, że pan nie może być przy tem, panie dyrektorze. Mam ochotę pokazać co potrafię.

Hof-Jensen spojrział nań tępo.

— Ja *chcę* widzieć, co potrafisz — powiedział. — Będę przy tem.

— Ty? Ze swym grubym brzuchem? Zwarjowałeś chyba!

— Ty tam będziesz? Jaktó? — wolał Perrini.

Hoff-Jensen pobożnie spuścił oczy.

— Wigilja — szepnął — wigilja...

Głośny okrzyk, tępy belkot i parszczący śmiech rozbrzmiały nagle w jadalni pani Zingel, przeciskając się obok czuwającego Nera na górę, do zielonego pokoju dla służby. Gdyby Möbius miał wyjątkowy słuch, usłyszałby, jak potem nastąpiło trzykrotne: „Jutro wieczorem w willi“.

Ale Möbius stał przed lustrem, goląc się.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

*Dwóch panów zamienia się w trzech, a potem czterech.*

Wybrzeże gięło się, miękkie i białe, jakby cofając się przed atakiem błękitnych fal. Tuż nad niem stał las, zielony, nabrzmiały, bogaty. Tu i ówdzie lśniły się wśród zieleni białe wille, jak błyszczące kamyki.

Wioska i uzdrowisko Kildaback drzemało w słońcu.

W golarni było dwóch gości. Jeden z nich, już ogolony, zmywał sobie w miseczce swą podrapaną twarz, drugi wił się jeszcze pod stałą brzytwy, krzycząc głośno na fryzjera:

— Jakżeż można! Czy zapomniałeś pan, że wojna między skandynawskimi braćmi jest wykluczona? Aj, znowu! Czy już? Nareszcie! Bogu dzięki. Krwawiąc z dwudziestu czterech ran, z których jedna tylko była śmiertelna, pozostawił Cezar swój majątek Rzymianom.

Świeżo ogolony, wstał i chwiejnym krokiem podszedł do miseczki.

— Czy powiedziałem dwadzieścia cztery? Zdaje mi się, że jest ich sześćdziesiąt. Wyglądam, jak ofiara, którą Rzymianie składali zazwyczaj na cześć bogów z okazji ważniejszych zdarzeń. Zresztą, puścić trochę krwi — to nie szkodzi. Czuję, jak wypływa ze mnie żółty poncz, zupełnie jak wiosenny sok z brzozy. Wiele? Dwa-

dzieńcia pięć oerów? Proszę. Niech pan weźmie mą krew i zrobi nią znak krzyża na drzwiach, a minie pana tej nocy anioł śmierci. Dowidzenia.

Mały fryzjer wyszedł na próg swej balwierni i ze zdumieniem spoglądał za dwoma klientami, zdążającymi słoneczną drogą w stronę miasteczka. Grubas zrobił ruch ręką i pokazał swemu towarzyszowi wioskę, robiąc gest, jak szatan, kiedy pokazywał świat.

— Widzisz, braciszku? Od dwóch tygodni czeka na nas to miasteczko, a my włóczyliśmy się po Kopenhadze i pozwalaliśmy się okradać. Przez cały czas świeciło tu słońce. Przez cały czas czekało tu na nas zdrowie i radość. Przez cały czas spacerowały tu młode panienki, pokazując swe szlachetne wypukłości. Tak, tak...

Szli dalej i zbliżyli się do centrum miasteczka, gdzie sklep towarów mieszanych spoglądał kokieteryjnie na przeciwległe kino, jak ongiś Sodom na Gomorę. W sklepiku załatwili zakupy.

— Proszę odesłać do willi „Zaciszę“, będę tam mieszkał. Jestem doktor Quillander ze Szwecji, a ten pan to mój przyjaciel, doktor Schorn, także ze Szwecji. Ile płacę?

Sklepikarz obliczał na kolorowym papierze do opakowania.

— Pięć flaszek szwedzkiego Kaloriku — szeptał jak przez sen — trzydzieści koron, dwie flaszki King Sorsu czterdzieści koron, butelka czerwonego wina cztery korony, pięćdziesiąt flaszek wody sodowej pięć koron, dziękuję, siedemdziesiąt dziewięć koron.

— W porządku, ale proszę natychmiast odesłać. Ach, prawda! Zapomniałem o wódce i piwie! Trzy butelki Aalborgu i dwadzieścia cztery pilznera.

— Trzy butelki Aalborgu i dwadzieścia cztery butelki piwa — powtórzył olśniony sklepikarz — razem trzydzieści dziewięć koron, dwadzieścia cztery oery.

— Tak, a ponieważ pamiętam, więc może jeszcze kilka butelek porto i pięć butelek czerwonego wina.

— Dwie butelki porto dwanaście koron, pięć czerwonego dwadzieścia koron — wyszeptał sklepikarz... — Dziękuję, wszystko razem wynosi, hm... sto pięćdziesiąt koron i dwadzieścia cztery ocry.

Trwożnym wzrokiem spojrzął na swych klientów. Quillander zapłacił majestatycznym gestem i wraz z Scbornem opuścił sklepik. Z progu swej balwierni spoglądał za nimi wciąż jeszcze fryzjer, a sklepikarz poszedł natychmiast jego śladem. Piętnaście minut potem skończyli swe zakupy w składzie tytoniu, wskutek czego jego właściciel ukazał się również na progu, a w dziesięć minut potem zrobili zakupy u rzeźnika. Nareszcie znikli na rogu: Kildcback odetchnęło.

— Nie, nic nie zastąpi życia na wsi! — mówił radośnie Quillander, ścierając sobie pot z czoła. — Masz swój mały, wygodny domek, masz świeże powietrze, słońce, radość — i to wszystko za śmieszne komorne, za sto koron miesięcznie!

— Nie powinienem był podpisywać tego weksla — powiedział Scborn. — Bóg wie, co on powie, gdy go zobaczy.

Quillander obrzucił go pełnem pogardy spojrzeniem.

— Co powie! Postępujesz jak socjal. Oni zawsze myślą o tem, co powiedzą ludzie. Gdy jecie porządny obiad, to boicie się, że ktoś może się o tem dowiedzieć. Podpisujecie weksel, to drżycie ze strachu, że...

— ...mógłby się o tem dowiedzieć — zakończył Schorn, wzdychając. — Tak.

Zbliżyli się do małego półwyspu, wciskającego się w fale morskie, jak wąski język. Na lewo od półwyspu stały dwie wille. Quillander przystanął i, zwracając się do Schorna, zawołał:

— Ale teraz musi się to ekonomiczne postękiwanie

nareszcie skończyć, wiedz o tem ! Jeśli chcesz siedzieć przy stole, jak żywy trup, to proszę cię wyjedź raczej odrazu i szukaj zaspokojenia w religji, naprzykład u Möbiusa. Koniec. Zrozumiałeś?

Schorn chcąc uniknąć odpowiedzi spojrział na morze.

— Czy jesteś pewny, że jest w domu? — zapytał wreszcie.

— Oczywiście, do djabła! A gdzie mógłby być? Ale teraz chcę grogu! Sara! Sa-a-ra!

Z willi wyleciała niska, gruba dziewczyna. Nad wejściem do willi błyszczał napis: „Zaciszé“. Quillander spojrział na willę tak rozmiłowanem spojrzeniem, że zapomniał zupełnie o dziewczynie. Dopiero po chwili zwrócił się do niej:

— Saro — powiedział — mam pragnienie. Przynieś więc flaszkę whisky, dziesięć butelek sodowej i trochę lodu w kuble, rozumiesz? Co, uśmiechasz się? Nie? No to w porządku. I uważaj na obiad. Befszytk, kartofle, truskawki... *Beatus ille...* ach, jak pięknie mieć własny dom — zwłaszcza cudzym kosztem...

Sara odeszła, śmiejąc się lekko, aby wnet wrócić z rzeczami, które adjunkt Quillander uznał za właściwy środek na ugaszenie pragnienia, i ustawiła je na stole w ogrodzie. Adjunkt Quillander rzucił się na krzesło i spojrział na adjunkta Schorna, wpatrującego się melancholijnie w dół.

— No i co, nie masz pragnienia?

Schorn spojrział nań boleśnie.

— Mógłbym dać swą głowę, że to się skończy źle!

— Źle się skończy? Niby dlaczego?

— Weksel nie był w porządku.

— Nie w porządku? Czy coś sfalszowałem?

Schorn nie odpowiedział.

— Gdy ktoś chce odpowiedzieć na pytanie twierdzą-

co, ale wydobywa ze siebie tylko pólśłówka, co mam uczniu? Czy mam prawo mu pomóc, czy nie?

— Masz prawo, ale...

— Czy zrobiłem coś innego? Odpowiedz.

— Jesteś sofistą!

— Sofistą! Wszystkiem raczej, niż sofistą! Gdybym miał być sofistą, byłbym nim w taki sam sposób, jak Sokrates... On umiał z najbardziej mrukliwych ludzi wyciągać odpowiedź taką, jakiej pragnął. Czy zrobiłem coś innego?

— Tak, ale Möbius...

Quillander podniósł się na chwilę z krzesła.

— Teraz posłuchaj co powiem! Jeżeli nie usiądziesz natychmiast i nie zaczniesz używać swych ust do ich pierwotnego przeznaczenia, czyli do picia chłodnego grogu, to, na Dawida i Sybillę, wyrzucę cię natychmiast z tego domu. Po raz ostatni: czy zrozumiałeś?

Schorn był pokonany. Usiadł na krześle i nalął sobie szklanekę grogu. Quillander trząsł się, jak pies, którego trapią pchły, ale powoli odzyskiwał spokój. Zawartość szklanek zaczęła się obniżać, jak rtęć w dwóch barometrach. Słońce także zapadało coraz bardziej; cienie wydłużały się, komary rozpoczynały swą pracę, rybak jakiś wypłynął na morze na połów ryb. W willi śpiewała Sara jakąś duńską piosenkę. Wszędzie panował spokój. Twarz Quillandera, na której widać było małe perelki potu, przybrała wyraz szczęśliwości.

Z ogrodu doleciały jakieś glosy. Quillander i Scborn spojrzeli w tamtą stronę.

— Wybaczcie panowie, jeżeli przeszkadzam — jakże tam miłość i zdrowie? Czy wolno?

W furtce ogrodowej stał jakiś potwornie tęgi mężczyzna w szarem ubraniu, przestępując, jak słoń, z jednej nogi na drugą. Usta jego również zwisały, jak skóra słonina, a mały wąsik nadaremnie usiłował rzucić na

usta swój cień. Nosił okulary, z pod których spoglądały tępe oczy.

— Wybaczcie panowie, jeśli przeszkadzam, czy wolno wejść? — powtórzył.

Quillander wstał. Obydwaj spoglądali na siebie przez chwilę, aż wreszcie Quillander zrobił ruch ręką.

— Witam pana w mym parku, panie Svenson. Niechaj otoczą mię ludzie otyli, którzy nocą dobrze śpią. Panie Svenson, odpowiada pan wszelkim oczekiwaniom. Pod pańskim szarem ubraniem nie kryje się przecież Brutus. Proszę, niech pan wstąpi, niech pan siada. Sara! Sa-ra!

Obcy, przecisnąwszy się z trudem przez furtkę, zatrzymał się i obejrzał, jak gdyby obawiał się, że powita nie to jest pułapką a Sara żeńskim buldogiem. Gdy zobaczył obfitą pierś, rozwichrzone włosy i czerwone usta, przestał się wahać, zamknął furtkę i zaczął kołyszącym się krokiem zbliżać się do stołu, przy którym siedzieli obydwaj adjunkci. Quillander zwrócił się do Sary:

— Saro, przyszedł gość, którego będziemy nazywali panem Svensonem. Podaj nam więc szklankę, pięć butelek wody sodowej i trochę lodu.

Sara odeszła, śmiejąc się. Obcy przybysz zdjął kapelusz.

— Ale naprawdę nie przyszedłem tu poto, by się dać zapraszać — protestował. — Nazywam się dyrektor Hoff-Jensen. Jesteśmy sąsiadami. Mieszkam w tej willi obok, w willi „Wigilja“. Słyszałem, że panowie wynajęliście tu mieszkanie, pomyślałem więc sobie, że zajrzę do panów. Na wsi sąsiedzi spotykają się ze sobą, czy chcą, czy nie chcą.

— Panie Hoff-Jensen, pozwoli pan, że i ja się przedstawię. Nazywam się doktor Quillander, a to jest mój

przyjaciel, doktor Schorn ze Szwecji; on to właściwie wynajął willę.

Schorn drgnął, jak przy zetknięciu z prądem elektrycznym. Panowie Quillander i Hoff-Jensen wymienili ukłony, jak dwaj przeciwnicy przed pojedynkiem. W tej chwili nadeszła Sara, przyciskając do piersi kilka butelek sodowej wody.

— Przyniosłam odrazu dziesięć — powiedziała z uśmiechem.

— Pomysł ten — oświadczył Quillander — jest dowodem, że Sara przewyższa znacznie inteligencją murzynów australijskich, którzy najwyżej doliczyliby do trzech. Panie Hoff-Jensen, czy napije się pan z nami? *Sköl!*

— Na zdrowie, panie Quillander, panie Schorn. Ale naprawdę nie było to moim zamiarem...

Quillander popatrzył na swego gościa długo i poważnie.

— Panie Hoff-Jensen, pozwoli pan zadać sobie trzy pytania?

— Z przyjemnością.

— Jakie są pańskie zapatrywania polityczne?

— Oczywiście prawicowe. Jestem dyrektorem. Jestem zwolennikiem uporządkowanych stosunków bankowych.

— Doskonale! Jak i ja! Ja jestem pedagogiem. Chcę, aby uczniowie moi stawali się godnymi szacunku ludźmi, którzy kiedyś będą mogli dyskutować moje weksle. Mój przyjaciel Schorn jest socjalistą — przyjacielem maluczkich...

— Doktor Schorn, który wynajął willę?

— Tak, ale tylko poto, aby przyspieszyć ekonomiczną katastrofę światową. Czy mogę zapytać, jakie są pańskie poglądy literackie?

— Czytam tylko pamiętniki i opisy podróży.

— Jak ja. Z pamiętników widać, jak ludzie się za-



chowywali dawniej, a z książek podróżniczych — jak to gdzieindziej wygląda, na wypadek, gdyby... a w stosunku do sztuki?

— Krańcowo konserwatywne. W sprawach polityki dopuszczam dyskusję, ale w sztuce niebo musi być niebieskie, a krowa brunatna.

— Panie Hoff-Jensen, czy pan żonaty?

— Nie, panie doktorze.

Quillander uniósł się na swem krześle i zawołał:

— Sara! Sa-ra!

Czerwone usta, obfita pierś i czarne włosy ukazały się futurystycznie na tle kilimu z trawy. Quillander spojrział na nią majestatycznie zgóry i rzekł:

— Saro, okazało się, że pan dyrektor Svenson nazywa się Hoff-Jensen. Poglądami swymi zbliża się do typu człowieka doskonałego. Wobec tego przynieś trzecie nakrycie. Pozatem ochłodziś wódkę i przygotujesz przekąski — rzodkiewki, krewetki, sałatę, chleb, masło, ser i konserwy. Panie dyrektorze, czy zechce pan zaszczyścić nas swem towarzystwem?

— Panie doktorze — powiedział grubas — pańska gościnność ma w sobie coś wschodniego. Włiznąłem się tu, pan mnie nie zna...

— Wschód zaczyna się w Malmö — powiedział Quillander. — Szwedzi są już ludźmi Wschodu. Są rozrzutni, lubują się we frazesach, gardzą kobietami i są melancholijni. A więc? Zaszczyci nas pan swem towarzystwem?

— Panie doktorze... cały zaszczyt...

Zaczęto pić.

Sara uciekła znowu wśród łamańców futurystycznych.

Hoff-Jensen powiedział:

— Zanim przestąpię pański próg, chciałbym coś wy-

znać. Potem możecie obchodzić się ze mną, jak zechcecie. Przyszedłem tu do panów nietylko jako wasz sąsiad, ale także w pewnej sprawie. Chciałem panów ubezpieczyć. Jestem dyrektorem towarzystwa ubezpieczeń.

— Ale co u diabła chciałby pan u mnie ubezpieczyć?

— Pański dom.

— Jaki dom?

— Ten dom tutaj.

— Ale to przecież nie jest mój dom!

— Nie. Ale pan mieszka w nim. Jaką posiada pan gwarancję, że nie wkradną się tu włamywacze?

— Do mnie? Cóżby mogli tu zabrać? Nic nie jest tu moją własnością, nawet meble nie są moje...

— Zdawało mi się, że ze wsi przywieziono tu spory wózek z rzeczami.

— Ach, myśli pan o alkoholu, który tu przywieziono? Owszem, to prawda. Ktoś mógłby to ukraść, rzeczywiście. Jak się nazywa pańskie towarzystwo ubezpieczeniowe?

— „Wigilja“.

— I przyjmuje pan ubezpieczenia od kradzieży?

— Nie. Uważamy, że lepiej zabezpieczyć, niż pilnować. Posiadamy cały sztab stróżów, którzy noc w noc pilnują mieszkań naszych klientów. I mogę powiedzieć, że dotychczas czynili to ku ogólnemu zadowoleniu. Oplata jest niska.

— Ile?

— Dziesięć miesięcznie.

— Mówmy więc o czemś innym. Sprawa jest załatwiona. Ale niepokoi mię jedno.

— Co?

— Moglibyśmy wszystko wypić zanim upłynie czas

ubezpieczenia. Czy w takim wypadku towarzystwo płaci za szkodę?

Dyrektor Hoff-Jensen spojrział na swego rozmówcę z zaniepokojeniem. Potem uśmiechnął się dyskretnie i wyciągnął blok z pokwitowaniami. Wypelnił jeden kwit. Quillander podał mu dziesięć koron i schował pokwitowanie, stwierdzające, że wszystko co się znajduje w willi, pozostaje przez miesiąc pod opieką towarzystwa „Wigilja“.

— Właściwie powinienem był wystawić kwit na nazwisko doktora Schorna — powiedział Hoff-Jensen — on przecież jest odpowiedzialny za wszystko.

Schorn wypił szybko zawartość swej szklanki i utkwil oczy w ziemię. Słońce dotykało wierzchołków drzew. Komary coraz zuchwalej wyprawiały harce. Śpiew zamilkł, a po chwili ukazała się Sara z uśmiechem świętoszka na twarzy.

— Podane do stołu — powiedziała.

Wszyscy wstali i weszli do mieszkania.

Zaczął się obiad. Przekąski były dobre. Wódka zamrożona. Befszytki kruche. Wino Bordeaux w odpowiedniej temperaturze. Truskawki soczyste. Madera niesfalszowana. Quillander, zadowolony, powtórzył czterokrotnie „Ach!“.

Wszyscy wygładzili ruchem ręki kamizelki; postanowiono wypić kawę i poncz w ogrodzie. Na dworze zachmurzyło się nieco, jak gdyby miała nadciągnąć burza. Pierwsze dwie butelki ponczu kończyły się już, kiedy zjawila się Sara i, śmiejąc się jak bachantka, powiedziała:

— Jakaś pani czeka na dworze, chciałaby się zobaczyć z panem doktorem.

Quillander postawił szklankę.

— Jakaś pani? Z kim chciałaby się zobaczyć?

- Z panem doktorem.  
 — Ze mną?  
 — Tak.  
 — Jakaś pani?  
 — Tak.  
 — Która chce zobaczyć się ze mną?  
 — Tak.  
 — To musi być nieporozumienie. Czy powiedziała, że chce ze mną mówić?  
 — Tak.  
 — Jak powiedziała? Z kim?  
 — Z panem doktorem Quillanderem ze Szwecji. Zdaje się, że przyjechała tu z Kopenhagi.

Quillander spojrział na swych towarzyszy i wreszcie powiedział:

— Jedyłą kobietą, jaką znam w Danji, jest ta, która na drugi dzień mego pobytu tutaj skradła mi pieniądze. Czyżby to była ona? W takim razie idę w niedzielę do kościoła.

Hoff-Jensen przerwał potok jego pytań, okazując praktyczny zmysł swej narodowości.

— Ta pani podała chyba swe nazwisko — powiedział — czy uczyniła to, Saro?

— Tak — odpowiedziała Sara, chichocząc piskliwie jak flet. — Kazala powiedzieć, że panna Lunden ze Szwecji chce zobaczyć się z panem doktorem.

Uśmiech Sary zastygł nagle. Po jej słowach obydwaj mężczyźni wstali, jak jeden mąż: adjunkt Quillander spojrział na Sarę, a adjunkt Schorn na Quillandera. Hoff-Jensen zabierał się do wyjścia. W tej samej chwili otworzono drzwi, a na progu stanęła kobieta.

Miała około czterdziestu pięciu lat i twarde, zbolale rysy twarzy. Tuż za nią szedł jakiś mężczyzna w granatowem ubraniu, młodszy od niej o dziesięć lat, z czar-

nym wąsikiem, z szerokimi kośćmi policzkowemi i z ostrem spojrzeniem oczu. W ręku trzymał kapelusz z okrągłym denkiem.

Adjunkt Quillander i Schorn opadli automatycznie na swe krzesła. Hoff-Jensen natomiast wstał, nie rozumiejąc o co chodzi. Obca kobieta zatrzymała się, spoglądając na całe towarzystwo. Mężczyzna w granatowym ubraniu zamknął za sobą drzwi. Sara wydała ze siebie ów szczególny dźwięk, który nazywamy chichotem.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

*Z czterech panów i jednej pani powstaje partogenetycz-  
nie sześciu panów i jedna pani.*

Obca pani, przerywając milczenie, zwróciła się do Quillandera, jakby przeczuwając, że on właśnie jest gospodarzem domu. Bez żadnych wstępów zapytała:

— Gdzie jest Piotr Ludwik Möbius?

Pytanie było wyraźne. Wywołało ono podwójne zjawisko.

Quillander, który usiadł właśnie, powstał, a Hoff-Jensen, który właśnie wstał, usiadł znowu. Oczy dyrektora sprawiały wrażenie, jakby miały wysadzić szkła. Ale nikt nie zwracał uwagi na Hoff-Jensena. Uwaga wszystkich koncentrowała się w tej chwili na osobach panny Lunden i adjunkta Quillandra. Oparty lekko o stół, Quillander spoglądał na pannę Lunden. Odpowiedziała na to spojrzeniem tak chłodnym, jak lód w kuble. Niewiadomo czy naskutek zawartości kubła spojrzenie Quillandera straciło swą ostrość, w każdym razie odpowiedział on z mniejszą pewnością siebie:

— Czy... czy Möbius nie jest w Szwecji?

Panna Lunden odpowiedziała ze złością:

— Jest tu, w tym domu! Proszę go zawołać!

— Droga pani, zapewniam, że Möbiusa niema w tym domu.

— Może pan mówić, co pan chce. Wiem, że jest tutaj. Proszę go zawołać.

— Powtarzam to, co już przedtem powiedziałem. Niema go tutaj. Sądzę, że jest w Szwecji.

— A ja powtarzam swoje. Jest tutaj, w tym domu. Proszę go zawołać. Jestem tu poto, aby go stąd zabrać.

— Droga pani...

Panna Lunden zwróciła się do Sary, która natychmiast zaczęła ekstatycznie chichotać.

— Proszę zawołać pana Möbiusa, chcę z nim pomówić.

Życzenie to wydało się Sarze szczytem szwedzkiego humoru. Śmiejąc się wprost nieprzytomnie, odpowiedziała:

— Tu niema żadnego pana Möbiusa, hi, hi...

Panna Lunden obrzuciła ją spojrzeniem, które zabiłoby każdą inną dziewczynę. Ale Sarę pobudziło to do jeszcze większego chichotu. Panna Lunden zwróciła się więc do Quillandera:

— Czy ona zwarjowała? Czy też jest tylko bezwstydną? Ach, tak — rozumiem. Nauczył ją pan tego. Po raz ostatni pytam: czy chce pan dobrowolnie sprowadzić Möbiusa?

— Po raz ostatni zapewniam panią, że Möbiusa w tym domu niema.

Panna Lunden spojrzała nań przenikliwie.

— Przyznaję pan, że jest pan adjunktem Teodorem Quillanderem ze Szwecji?

— Tak.

— Przyznaję pan, że tamten pan, to pański przyjaciel, adjunkt Jan Schorn?

— Tak.

— Czy chce pan twierdzić, że nie odbyliście panowie podróży ze Szwecji do Danji wspólnie z Möbiusem.

— Hm... nie, nie chcę tego twierdzić, ale...

— Wszelkie *ale* jest zbyteczne. Mieszkaliście razem w Grand-Hotelu Pedersena, wiem o tem. Opuściliście Szwecję w dzień po ukończeniu roku szkolnego. Czy to pan naklonił Möbiusa do napisania mi kłamliwego listu?

— Nie? Cóż to za list?

— Wypiera się pan już zgóry! A. to ładnie! List, w którym zawiadamia mię, że jedzie do krewnych. To jest pańska sprawka!

— Nie, to on sam napisał.

— To nieprawda! Piotr Ludwik nie wpadłby nigdy na taki pomysł! Znam go od piętnastu lat.

— Właśnie dlatego nie zna go pani.

— Co to ma znaczyć?

— W przeciągu piętnastu lat człowiek się zmienia. Przebywając wciąż z kimś, nie widzimy tego. Zna pani Möbiusa wciąż jeszcze takim, jakim był lat temu piętnaście. Ale ten Möbius już dawno umarł.

— Niech pan przestanie tak mówić! Nie chcę słyszeć ani słowa. Kilka dni przed zakończeniem roku szkolnego odwiedził pan Piotra Ludwika. Sama pana wpuściłam. Ach, gdybym tego nigdy nie uczyniła! Gdybym panu zatrzasnęła drzwi przed nosem! Teraz już wiem, jakie pan ma zamiary! Naklonił go pan do napisania tego bezczelnego listu, obiecał mu pan podróż i zabrał go pan ze sobą do Kopenhagi. A teraz jest pan jeszcze tak bezczelny, że zaprzecza pan, jakoby Möbius był tu u pana. Jeżeli pan sądzi, że ja w to wierzę, to myli się pan!

Panna Landen obrzuciła Quillandera druzgocącym spojrzeniem, a potem obrzuciła tem samym spojrzeniem całe towarzystwo.

— Droga pani — powiedział wreszcie Quillander — wtargnęła pani do mojej willi, do ścisłego kółka przyjaciół, w sposób, który chwilowo chciałbym określić



jako samowolny; mógłbym go coprawda nazwać inaczej, ale jestem uprzejmy. Prawdą jest, że przyjechałem z Möbiusem. Prawdą jest, że mieszkaliśmy przez dwa dni razem w Grand-Hotelu Pedersena, tak, dotychczas są pani — hm... — badania słuszne. Ale od tej chwili — niech to pani sobie raz na zawsze zapamięta — nie mam z całą tą sprawą nic do czynienia. Pojęcia nie mam, gdzie jest Möbius. Nie namawiałem go do napisania żadnego listu do pani. Nie odwiedziłem go w tym celu, aby go nakłonić do podróży, przeciwnie, to on prosił mię, abym go zabrał ze sobą. Oto jest moja odpowiedź. A teraz, czy mogę uważać sprawę za załatwioną? I czy goście moi i ja możemy kontynuować nasze zebranie, które pani tak samowolnie przerwała?

Panna Lunden wyprostowała się, pełna oburzenia i pogardy.

— Nie! — zawołała — sprawa wcale nie jest załatwiona! Ani jedno słowo pana nie jest prawdą! Twierdzi pan, że nie nakłonił pan Möbiusa do napisania listu do mnie? Opowiada pan, że to on prosił, aby go pan zabrał ze sobą? Jak pan śmie powiedzieć coś takiego! Piotr Ludwik, który przez całe życie nie oddalił się sam z Brostatu, nawet gdy był na uniwersytecie, on — miałby pana prosić o to?! Ha, ha... chciałabym naprawdę wiedzieć poco miał to zrozić i dla czego?

Quillander spojrzał zgóry na mówiącą.

— Panno Lunden — powiedział — nie mam zwyczaju mówić o tem, co mi koledzy opowiadają poufnie. Ale pani mię obraziła, wysunęła pani przeciwko mnie oskarżenia, które wyjaśnić mogę tylko w ten sposób, że powiem pani, dlaczego Möbius prosił mię, abym go zabrał ze sobą do Danji.

Quillander przerwał na chwilę, poczem kontynuował:

— Möbius prosił mię, abym go zabrał ze sobą, wy-

łącznie dlatego, że był niezadowolony z dotychczasowego swego życia; pozatem dlatego, że nie posiadało ono dla niego wartości moralnych; i wreszcie dlatego, że chciał poznać pokusy.

Panna Lunden wybuchnęła ironicznym śmiechem.

— Coraz lepiej! Ha, ha... Piotr Ludwik przychodzi do pana i mówi, że życie jego nie posiada wartości moralnych! Piotr Ludwik prosi pana o zaznajomienie go z pokusami! W każdym razie nie pomylił się w adresie! Czy nie prosił także o to, aby go pan oczekiwał w Kopenhadze, przy okręcie? Domyślam się, że pokusy oznaczają w tym wypadku zepsute kobiety!

— Nie, o to mnie nie prosił — powiedział chłodno Quillander. — Prosił mię dokładnie tylko o to, co pani przed chwilą powiedziałam. Na to ma pani moje słowo honoru.

— Oceniam je właśnie na tyle, ile jest warte. Czy udało się panu doprowadzić go do upadku? Czy uległ tym pokusom?

— Uważam, że ton pani jest tego rodzaju, że możemy przerwać naszą rozmowę. Byłem przez cały czas uprzejmy i powiedziałem pani wszystko, nawet to, czego nie powinienem był powiedzieć. To było nierozsądnie z mej strony, ale nie widzę powodów, dla których miałbym pozwolić obrażać się pod własnym dachem. Proszę panią opuścić natychmiast mój dom.

Głos Quillandera stracił nagle dotychczasowy spokój, oczy mu ściemniały. Ale nie zrobiło to żadnego wrażenia. Panna Lunden zaśmiała się jeszcze raz — był to suchy, złośliwy śmiech. Po chwili wyjęła z torebki kopertę. Widząc to, adjunkt Schorn zbladł nagle. Dyrektor Hoff-Jensen, który przysłuchiwał się z widocznym zaciekawieniem, wyciągnął szyję, aby lepiej widzieć.

— Pański dom! — powiedziała wreszcie panna Lun-

den. — Opuścić dom pana! Tego nie powiedział mi dotychczas nikt!

— W takim razie powtarzam to raz jeszcze! — krzyknął Quillander, zbliżając się jeszcze o krok. — Niech pani natychmiast wyjdzie, rozumie pani?

— Rozumiem. Ale muszę prosić wpierw o wyjaśnienie.

— Wyjaśniłem pani już wszystko.

— Rzeczywiście? Nie sędzę. Czy może mi pan wytłumaczyć co to jest?

Otworzyła kopertę, wyjęła z niej cztery papierki, wyglądające wskutek długiego formatu jak banknoty amerykańskie, i pokazała je Quillanderowi. Jegomość w granatowym ubraniu, który dotychczas zachowywał się spokojnie, wystąpił naprzód i stanął, jak obrońca, przy niej. Adjunkt Schorn zaczerwienił się. Quillander cofnął się o krok wtył.

— Czy może mi pan powiedzieć co to jest? — powtórzyła.

Quillander przetarł oczy i po chwili powiedział:

— Jeżeli się nie mylę, są to weksle.

— Nie myli się pan. Teraz wyraża się pan już znacznie powściągliwiej. Czy mam jeszcze opuścić — ha, ha... — pański dom?

— Tak, nie widzę powodu, dla którego miałoby to być teraz mniej pożądane...

— Czy wie pan co to jest weksel?

— Nie umiem naprawdę...

— Panie Wessen, pan adjunkt Quillander nie zdaje sobie sprawy z tego, co to jest weksel. Trudno w to uwierzyć, wiedząc kim jest. Ale niech mu pan to wytłumaczy, panie Wessen.

Człowiek w granatowym ubraniu skierował swe czarne oczy na adjunkta Quillandera. Adjunkt Quillander otarł pot z czoła.

— Weksel — zaczął nieznajomy swój wykład — to znajdujący się pod specjalną opieką prawa kwit dłużnicy na krótki termin, przeważnie na trzy miesiące...

— Przepraszam — przerwał Quillander — gdy mam u siebie nieproszonych gości, chciałbym przynajmniej widzieć z kim mam do czynienia. Kim jest ten paen?

— Panie Wessen, proszę dalej! Zapomina pan o najważniejszym. Co grozi człowiekowi, który podpisuje weksel fałszywem nazwiskiem?

— Kto podpisuje na wekslu inne nazwisko — wykladał monotonna pan Wessen — podlega karze więzienia od czterech miesięcy do ośmiu lat. W razie powtórzenia...

— Niech pan posłucha! — powiedział Quillander, zaciskając pięści. — Kim właściwie pan jest, że ośmiela się mówić takie głupstwa? Czy chce pan może posądzić kogoś z tego towarzystwa o fałszowanie wesli? Czego pan tutaj chce?

Panna Lunden potrząsnęła z triumfem czterema wekslami.

— Pan podpisał — powiedziała — pan Schorn żyrował, a Piotr Ludwik zdyskontował je. Pierwszy weksel jest na 850, drugi na 1100, trzeci na 1200, a czwarty na 1500 koron. Wykupiłam je w banku, gdy nadeszło aviso. To naprowadziło mię na trop. Otóż, zdaje się, że pierwsze trzy weksle podpisał istotnie Piotr Ludwik. Jak go pan do tego nakłonił, nie wiem. Przeszło trzy tysiące koron w jednym tygodniu! Ale czwartego weksła Piotr nie podpisywał. Może to wygląda na jego podpis, ale on nie uczynił tego. Znam jego charakter pisma. To nazwisko podpisał ktoś inny.

Oczy jej zaiskrzyły się. Quillander cofnął się mimowoli o krok wtył, lecz opanował się wkrótce.

— Schorn! — zawołał — wzywam ciebie na świadka. Panna Lunden ośmiela się twierdzić, że weksel na tysiąc

pięćset koron z podpisem Möbiusa jest fałszowany. Powiedz! Czy nie byłeś sam świadkiem, jak Möbius podpisywał weksel na tysiąc pięćset koron? Co?

Adjunkt Schorn zmieniał co chwila barwę, jak karmelon. Wreszcie wybełkotał coś, co brzmiało jak „tak”. Panna Lunden zawołała:

— Niech pan zastanowi się nad tem, co pan mówi. Niech pan spojrzy w lustro i przekonaj się sam, czy można panu wierzyć. Piotr Ludwik nie podpisał tego, rozumie pan?

— Möbius podpisał ten weksel, Schorn to potwierdził, jak więc pani może... Czy chce mi pani pokazać ten papier?

— Chcę tylko, aby Piotr Ludwik sam potwierdził, że to jego podpis. Dopóki tego nie uczyni, nie opuszczę tego mieszkania.

— Radzę pani odejść.

— Dobrze. Ale w takim razie idę po policję.

— Radzę, niech pani uważa...

W tej chwili odczytywał się Hoff-Jensen.

— Pardon — powiedział — jeżeli się wtrącam, o ile rozumiem, zależy tak pannice Lunden, jak i panu doktorowi Quillanderowi, na spotkaniu tego... jakżeż się nazywa?... pana Möbiusa. Panna Lunden myśli, że pan doktor wie, gdzie pan Möbius się ukrywa. Doktor Quillander twierdzi, że nie wie. Jestem przekonany, że pan doktor mówi prawdę. Według mnie, istnieją dwie możliwości.

— Jakie?

— Pierwsza, zawiadomić policję, może panu Möbiusowi przytrafiło się coś złego...

— W takim razie on maczał w tem swe palce... A druga?

— Dać ogłoszenie w gazecie i wyznaczyć nagrodę dla tego, kto zawiadomi o miejscu jego pobytu.

Czarne oczy dyrektora spojrzwały chytrze na pannę Lunden.

— Jeżeli przytrafiło się coś Piotrowi, to ten pan wie o tem chyba najlepiej. Jemu nie dam chyba żadnej nagrody. Zostaję tu do dwunastej, aż do odejścia pociągu do Kopenhagi. Jeżeli pan Quillander nie sprowadzi do tego czasu Möbiusa, to posłucham pierwszej rady pana i zwrócę się do policji. Panie Quillander, czy słyszał pan, co powiedziałam? Teraz jest trzydzieści po dziesiątej. Panie Wessen, nich pan siada, zostajemy tutaj.

Nie czekając na zaproszenie, panna Lunden również zajęła miejsce.

— Czy mogę zapytać kim pan jest?

— Jestem adwokatem i — detektywem prywatnym, jeśli już chce pan koniecznie wiedzieć.

Adjunkt Schorn westchnął głęboko. Sara zaczęła się znowu uśmiechać. Quillander zgromił ją.

— Wyjdź stąd! Natychmiast!

Hoff-Jensen zbliżył się do Quillandera.

— Panie doktorze, czy mam odejść?

— Nie... Ale mam wrażenie, że moi... hm, jakby to powiedzieć... nieproszeni goście nie mają zamiaru wkrótce odejść. Fizyczną siłę uznaję tylko w ostateczności. Czy może mi pan tak długo dotrzymać towarzysztwa, dopóki ci państwo nie odejdą?

— Będzie to dla mnie przyjemnością.

Dyrektor uśmiechnął się w dziwny sposób. Quillander napełnił szklanki.

— Teraz pije pan za pieniądze Piotra Ludwika — zauważyła panna Lunden.

Quillander odwrócił się do niej plecami i zaczął rozmawiać z Hoff-Jensenem. Mężczyzna w granatowym ubraniu wyciągnął „Svenska Dagbladet“ z kieszeni. Panna Lunden spoglądała od czasu do czasu na zega-

rek. Ponecz znikał coraz szybciej. Między jednym lykiem a drugim słycać było głąbokie westchnienia adjunkta Schorna i złośliwe uwagi panny Lunden. Czas upływał, minuta za minutą, kwadrans za kwadrans. Quillander opowiadał anegdoty, jak gdyby poza nim i Hoff-Jensenem nikogo nie było w pokoju. Nagle panna Lunden chrząknęła i powiedziała:

— Teraz jest za kwadrans dwunasta.

Odpowiedziało jej tylko westchnienie adjunkta Schorna.

— Jeszcze dziesięć minut.

Znowu westchnienie, jak echo.

— Osiem minut.

Znów westchnienie.

— Pięć minut..

W tej chwili rozległy się czyjeś kroki.

Panna Lunden wstała, triumfując.

— Ha, ha! A jednak Piotr Ludwik nadchodzi! Ale gdzie był tak długo?

Ktoś otworzył drzwi do przedpokoju i słycać było czyjeś kroki, równocześnie ktoś otworzył furtkę. Jeśli więc był to Möbius, to w każdym razie nie sam. Nagle ukazały się dwie postacie — jedna w drzwiach, druga na parapecie okna — i rozległ się stłumiony, ale wyraźny głos:

— Ręce do góry albo strzelam!

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

*Sąd ostateczny w willi „Zacisze“.*

### I

Człowiek, który zjawił się w oknie, wszedł teraz do pokoju i zamknął za sobą okno. Był znacznie niższego wzrostu i, zdaje się, młodszy od swego towarzysza. Zamykając okno, kiwnął na pozdrowienie rewolwerem.

— Trzeba się wystrzegać przeciągów — powiedział — wieczory są chłodne, choć lato gorące.

Z obecnych wysłuchał natychmiast rozkazu zamaskowanych bandytów jeden tylko — adjunkt Schorn. Siedział z wyciągniętymi w górę rękoma, jak patriarcha. Tylko Hoff-Jensen chciał się bronić, ale mężczyzna przy drzwiach zawołał:

— Stój, grubasie! Ręce do góry, powiadam! Wszyscy ręce do góry, bo zastrzelę. Liczę do pięciu. Raz, dwa...

— Widzi pan, że ubezpieczenie nie było nieuzasadnione — powiedział, śmiejąc się, Hoff-Jensen. — Ale zgłosiłem się za późno. No, no, podnoszę przecież ręce do góry, czego się pan tak drze?

Quillander spoglądał na człowieka w masce oczyma, po których widać było, że pod wpływem ponczu nic już nie rozumieją.



— Trzy, cztery... prędko... liczę do pięciu, wszyscy ręce do góry, albo strzelam!

Ciężkie ramiona Quillandera uniosły się w górę.

Nagle zadrgał w jego oczach płomień zainteresowania. Zdawało się, że rewolwer zamaskowanego człowieka zacznie działać. Panna Lunden nie zdradzała najmniejszej chęci wysłuchania rozkazu. Przeciwnie. Wstała, gotowa jakby do skoku.

— Pięć! — zawołał mężczyzna w masce, zgrzytając zębami. — Strzelam!

Panna Lunden nie chciała usłuchać. Bandyta podniósł rewolwer. Jeszcze sekunda, a padnie strzał. W tej sekundzie właśnie zbliżył się pan Wessen do swej klientki i przemocą podniósł jej ramiona do góry. Oboje wyglądali przez chwilę, jak para w nowoczesnym tańcu. Efekt był nadzwyczajny, i tylko wzniesiony rewolwer zamaskowanego człowieka uniemożliwiał już zgóry wrażenie komizmu.

— Na co pan sobie pozwala? — krzyknęła.

— Niech się pani uspokoi — powiedział Wessen — mają dwa rewolwery, a nikt prócz pani nie myśli stawić oporu.

— Widzę to — powiedziała panna Lunden, obrzucając wszystkich pogardliwym spojrzeniem. — Dla tych, którzy żyją cudzym kosztem, jak ci, to istotnie wszystko jedno...

— Hallo! — zawołał człowiek w czarnej masce. — Zwiąż tę starą!

Towarzysz jego zbliżył się do panny Lunden i, wyciągnąwszy jedwabną chustkę, powiedział:

— Pani pozwoli?

Nie czekając na odpowiedź, związał jej mocno ręce. Panna Lunden drżała, jak epileptyczka.

— Pani jest nerwowa — powiedział i ująwszy ją elegancko pod ramię, zaprowadził na fotel. Ponieważ

nie chciała usiąść, trącił ją lekko. Nim zdołała się zorientować, siedziała już, przywiązana grubym sznurem do fotela.

— Najtrudniejsze zadanie już wykonane — powiedział z głębokim ukłonem. Miał rację. Ich stanowcze postępowanie podziało na resztę towarzystwa. Panna Lunden przypomniała sobie jednak, że posiada jeszcze broń i zaczęła krzyżeć. W przeciągu sekundy zakneblowano jej usta jedwabną chusteczką.

— Nareszcie — powiedział jeden z napastników. — Czy mogę teraz panów poprosić, by podnieśli nieco wyżej ręce? Tak. Dziękuję. I przepraszam, jeśli będę robił wrażenie człowieka zbyt natarczywego.

— Czy pan wie kim ja jestem? — zapytał nagłe Hoff-Jensen. — Jestem dyrektorem towarzystwa „Wigilia” — wie pan co to znaczy? W przeciągu dwudziestu czterech godzin będę miał z powrotem swe pieniądze.

— Cicho, stary grubasie!

Rewolwer w rękę napastnika uspokoił wreszcie również Hoff-Jensena. Po chwili zastanowienia napastnik zaczął rewizję. Rozpoczął ją od adjunkta Schorna, który drżał na całym ciele, jak liść osiki. Zegarek i papierośnica były jedyną zdobyczą bandytów, portfel adjunkta Schorna był bowiem doskonale próżny. Drugą ofiarą bandyty stał się Hoff-Jensen. Gruby, nabity portfel wywędrował z kieszeni dyrektora do kieszeni bandyty. Złoty zegarek i srebrna papierośnica poszły tą samą drogą. Hoff-Jensen zgrzytał zębami w daremnej złości.

— Wie pan kim jestem? — mrucał Hoff-Jensen. — W przeciągu dwudziestu czterech godzin...

Wyciągnięty rewolwer uspokoił go znowu. Teraz przyszła kolej na Quillandera, którego dokładnie przeszukano, ale z jedenastu jego kieszeni wydobyto zaledwie portfel i srebrny zegarek. Hoff-Jensen przypatrywał się tej scenie z zacięciem. Jego oczy wyrażały

zdziwienie, nie ustępujące zdziwieniu bandyty. Obydwaj oczekiwali widocznie więcej od człowieka takiego, jak Quillander. Bandyta obliczał zawartość portfela.

— Osiemset dwadzieścia — powiedział — to niewiele. I bloczek z długimi blankietami. To są chyba czek. Na jaki bank?

Quillander nie odpowiedział. Jego oczy podążyły za banknotami, jakby chciały wejść wraz z niemi do kieszeni bandyty. Tymczasem zwróciła na siebie uwagę inna para oczu. Panna Lunden dawała wszelkimi sposobami znać, że pragnie, by ją zwolnili z knebla. Zdało się, że się udusi. To też jeden z bandytów wyjął go, mówiąc:

— Jeżeli pani będzie krzyczała...

— Wcale nie mam zamiaru krzyżeć — przerwała mu panna Lunden. — Chciałam panu tylko podziękować. Dziękuję za to, żeście zabrali temu drabowi pieniądze. Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję.

Zacząła się śmiać — Sara mogłaby jej pozazdrościć tego śmiechu. Bandyta zrobił ruch, jakby chciał jej znowu włożyć knebel w usta. To ją uspokoiło.

— Nie oszalałam, niech się pan nie boi — powiedziała. — Ale sto razy chętniej wolę widzieć te pieniądze u pana, niż u tego lotra.

Bandyta uklonił się z zadowoleniem.

— Tak, pan przynajmniej nie udaje nic — ale tamten! Ha, ha... Urzędnik, który żyje z tego, że zabrał Piotrowi Ludwikowi pieniądze.

Quillander obudził się z osłupienia.

— Cicho! — powiedział. — Mam dosyć tej gadaniny! Nie zabrałem Möhiusowi żadnych pieniędzy. On sam podpisał, z własnej woli, jest zresztą specjalistą od wolności woli...

Bandyta, który opróżnił kieszenie Quillandera, drgnął i spojrzal poprzez maskę na pannę Lunden.

— Jak się nazywa ten, któremu zabrał pieniądze? — zapytał wreszcie.

— Piotr Ludwik Möbius — odpowiedziała panna Lunden — mój ukochany siostrzeniec. Dlaczego się pan o to pyta? Czy go pan zna?

— Skąd miałbym go znać?

— To on — panna Lunden wskazała spojrzeniem na Quillandera — wywiózł go ze sobą do Kopenhagi, aby go zaznajomić z bandytami i zepsutymi kobietami. Dlaczego nie miałby go pan znać?

Quillander siedział zamyślony, wpatrując się w torebkę panny Lunden.

— Teraz mam już dosyć tego — mruknął. — A pan, panie bandyto, mógłby zajrzeć także i do jej torebki.

Panna Lunden była mocno przywiązana; gdyby nie to, zerwałaby w tej chwili swe więzy z wściekłości.

— Nie! To już przechodzi wszelkie pojęcie! Ten lotr prosi tego draba, by zajrzał mi do torebki! Wzywa go do kradzieży! Dobrze! Niech pan wźmie torebkę, ale niech pan mi zostawi weksle, które tam są. Niech mi je pan pozostawi, w ten sposób przynajmniej on dostanie się do więzienia, jeżeli już nie pan... Przecież tylko dlatego chcę, aby pan zabrał torebkę, bo weksle są fałszywe.

— Cicho! Milczeć! — zawołał drugi bandyta. — Zrób tak, aby to stare babsko zamilkło nareszcie!

Jego towarzysz wziął torebkę panny Lunden i przeszukał ją. Jedyne banknot stukoronowy stał się poza czterema weksłami jego zdobyczą. Bandyta oglądał weksle i widać było, że nie wie co z niemi zrobić. Ruchom jego towarzyszyły niespokojne spojrzenia dwóch par oczu — panny Lunden i adjunkta Quillandra.

W tej samej chwili dały się słyszeć kroki w przedpokoju, i nim jeszcze zamaskowany bandyta zdołał temu przeszkodzić, otworzyły się drzwi. Na progu stało dwoje

młodych ludzi. Krzyk radości wyrwał się z piersi panny Lunden.

2.

— Piotr Ludwig! Ha, ha... Wiedziałam przecież! Ha, ha... Panie Quillander, co? Nie mówiłam? Wiedziałam, że przyjdzie. A gdzieś ty był dotychczas? I z kim tam jesteś?

Panna Lunden mówiła do słuchaczy, którzy jej wyjątkowo nie przerywali.

Gdyby się chciało narysować futurystycznie jadalnię willi „Zacisze“, trzeba by było przedstawić spojrzenia wszystkich jako rodzaj reflektorów. Snop światła z oczu adjunkta Schorna padały wprost na młodą dziewczynę, którą Möbins trzymał za rękę. Była smukła, z niebieskimi oczyma i miała sportową czapkę na głowie. Snop światła z oczu dziewczyny krzyżował się znowu ze spojrzeniem bandyty, który wszystkich obrabował. Spoglądali na siebie w zdumieniu. Quillander zatrzymał swe spojrzenie na towarzyszu młodej dziewczyny. Dyrektor Hoff-Jensen spoglądał uporczywie na sufit. Panna Lunden na Möbiusa. Nikt jednak nie patrzył na pana Wessena. Korzystając więc z chwili nieuwagi, zrobił kilka kroków naprzód, aby zapalić światło. W tej samej chwili bandyta wyciągnął rewolwer w jego stronę. Ręce Wessena podleciały odrazu w górę.

— Ręce do góry! Jeden ruch, a strzelam! Spokój tam! Czego tu szukacie? Jaki djabeł was tu sprowadził?

Pytania te odnosiły się do Möbiusa i młodej dziewczyny. Równocześnie odezwała się panna Lunden:

— Piotrze Ludwiku, gdzie byłeś tak późno? Kogo przyprowadziłeś ze sobą?

Möbius przeciągnął ręką po czole, jakby się chciał obudzić z hipnozy. Panna Lunden wpadła nagle na pomysł.

— Piotrze Ludwiku, czy podpisywałeś weksle dla tego lotra? Powiedz, zrobiłeś to? Prawda, że nie zrobiłeś tego, mój chłopcze!

— Skąd się tu wzięłaś, cioteczko?

— Przyjeżdżam z Brostatu, aby cię ratować. Ja i pan Wessen odnaleźliśmy twe ślady. Pan Quillander mówił, że ciebie tutaj niema, ale ja wiedziałam lepiej. Tych dwóch w maskach nie było tu, gdyśmy przyszli. Zabrali mi wszystkie pieniądze. Nie chcę twierdzić, że ktoś z tego towarzystwa ma z tem coś wspólnego, ale — kto jest ta pani, z którą przyszedłeś? I dlaczego zgolileś sobie brodę?

Möbius przetarł oczy, jak gdyby nic nie rozumiał.

— O jakich wekslach mówisz, cioteczko?

— Ha, ha, ha... — zaśmiała się panna Lunden. — Dobrze, że mi przypominasz. Sprawa ma się tak...

— Sprawa przedstawia się tak, drogi przyjacielu — przerwał jej Quillander — siedzieliśmy właśnie dziś wieczorem, Schorn i ja, i rozmawialiśmy właśnie o tobie. Szukaliśmy ciebie przez kilka dni. Mówiliśmy właśnie o tem, co się też z tobą stać mogło, gdy nagle twoja — hm... szanowna ciotka wtargnęła do mieszkania i popsuła cały nastrój. Po niej przyszło jeszcze kilka osób, o których nie mogę stanowczo powiedzieć, że należą do jej towarzystwa. W każdym razie, kosztowała mię ta wizyta osiemset dwadzieścia koron. Ale o tem innym razem. Niezależnie od tego zabrali memu przyjacielowi, dyrektorowi Hoff-Jensonowi, który tam siedzi, większą sumę. Ach, prawda, zapomniałem was zaznajomić.

Möbius zrobił nerwowy ruch ręką.

— Dziękuję — powiedział — nie trzeba. Znam pana dyrektora Hoff-Jensena.

— Znasz pana dyrektora Hoff-Jensena?

— Tak, mam przyjemność. Jednej tylko rzeczy nie rozumiem.

— Czego?

— Twierdzisz, że okradziono pana Hoff-Jensena?

— Tak, oczywiście. Zrabowano mu wszystkie pieniądze. Mnie także, ale o tem później. Dlaczego nie rozumiesz tego?

— Bo pan Hoff-Jensen jest szefem tych ludzi, którzy cię obrabowali.

Quillander spojrzal na Möbiusa, jak obłąkaniec. Panna Lunden przysłuchiwała się słowom swego siostrzeńca, jak słowom ewangelji. Dyrektor Hoff-Jenesen zalozył ręce i uśmiechnął się uprzejmie w stronę Möbiusa.

— Jestem szefem dwóch bandytów? Dlaczego uie trzech? Czy banda nie korzystała w pewnych momentach z pomocy pewnego adjunkta, wierzącego w wolność woli? Inaczej mówiąc, jeżeli ja jestem szefem, czy nie jest pan tem samem moim podwładnym? Przepraszam, że o tem mówię, ale pan sam zaczął.

Panna Lunden zrozumiała natychmiast sens tych powolnie przez usta cedzonych słów dyrektora. Przez sekundę nie mogła wydobyć ze siebie głosu. Wreszcie powiedziała:

— Piotrze Ludwiku, on chyba oszalał!

Dyrektor posłał jej uśmiech, przepaszający uśmiech dyrektora banku, który zmuszony jest nie przyjąć jakiegóś weksla.

— Proszę, niech pan powie, czy naprawdę oszalałem.

— Czy ty go znasz, Piotrze Ludwiku?

Möbius nerwowym ruchem przetarł kilkakrotnie oczy.

— Tak, cioteczko, on mnie zna.

— Co ty mówisz?!

— Tak, i powiedział prawdę.

— Powiedział prawdę? A więc ty... a więc ty...

— Jest tak, jak on powiedział. Jestem złodziejem.

— Ty, najlepszy, najszlachetniejszy człowiek, nauczyciel religii, który nigdy nie chodził nawet do restauracji, ty miałbyś być... nie, to niemożliwe, oszalałeś chyba tak samo jak on!

— Nie, cioteczko, nie jestem szaleńcem. Wiem, co mówię. Tym trzem panom, których tu widzisz, udało się zrobić ze mnie złodzieja. Ale nie, ja kłamię...

— Prawda, że żartujesz? — przerwała mu panna Lunden. — Dlaczego mnie męczysz?

— Nie, nie kłamię, albo kłamię tylko w pewnym sensie, bo nie oni zrobili ze mnie złodzieja, lecz mój własny zły charakter.

— Co mówisz chłopcze? Twój zły charakter! Ty, najbardziej czysty z pośród ludzi, których znam, masz zły charakter? Żartujesz chyba! Człowiek, który nigdy nie chodził do restauracji, nie stykał się nigdy z kobietami... Nie, to są żarty.

— Cioteczko, zapewniam cię, że nie żartuję. Jestem złodziejem. Pomagałem panu Hoff-Jensenowi kraść. Mój zły charakter, a nie ktoś obcy, nakłonił mię do tego.

Pannic Lunden zdawało się przez chwilę, że traci zmysły. Ale nagle myśli jej znalazły ratunek w pojęciu, które wypowiedziała już przedtem:

— Twój charakter — zawołała — był nieskazitelny. Do tego lata. I jeżeli cię ktoś zepsuł, to ten lotr, który śmie weksle fałszować...

Quillander podjął przerwana przedtem rozmowę:

— Drogi przyjacielu — powiedział — pozwól mi przerwać twej ciotce. Trudno mi uwierzyć, że to, co powiedziałaś przedtem o Hoff-Jansenie, jest prawdą. Pan Hoff-Jensen i ja wymieniliśmy nasze poglądy na różne sprawy i miałem możność przekonania się, że pan Hoff-Jensen jest tak samo zdrowo myślącym człowiekiem, jak ja sam. Ale o tem potem. Zdaje się, że znasz tych dwóch zamaskowanych panów. Czy sądzisz,



że możesz nakłonić ich do tego, aby zwrócili pieniądze, lub przynajmniej odeszli?

Panna Lunden kontynuowała swe myśli.

— Piotrze Ludwiku! — powiedziała. — Kto jest ta pani? Nie widziałam ciebie nigdy w towarzystwie kobiety. Jeżeli wykoleiłeś się, to winę ponoszą ten łotr i zle kobiety! Ten łotr chęcił się przecież, że zaznajomił cię z pokusami! Dlaczego zgoliłeś brodę? Kto jest ta pani?

Möbius potarł nerwowym ruchem czoło, jak człowiek, który się budzi z ciężkiego snu.

— To jest moja narzeczona — powiedział po chwili.

Przytulił do siebie młodą dziewczynę i spojrział na nią takimi oczami, jakich panna Lunden jeszcze u niego nie widziała. Minęło kilka sekund. Nagle zbliżył się do Möbiusa bandyta, który przeprowadzał przedtem rewizję, i powiedział:

— Co, ty klecho! Twoja kobita? Odkąd to moja kobita jest twoją?!

Panna Lunden słuchała z szeroko rozwartemi oczami.

— Ona jest twoją narzeczoną? Piotrze Ludwiku, opamiętaj się! Chcesz dotknąć się kobiety, którą miał taki człowiek?

Bandyta chwycił dziewczynę za ramię.

— Co ty na to? Czy ty chcesz mieć coś wspólnego z takim facetem, jak on?

Möbius objął spokojnie dziewczynę, stawiając czoło nadciągając burzy.

— Jest moją i pozatem niczyją! Czem była przedtem, to nie obchodzi nikogo! Teraz jest moją, bo kocham ją. Miłość jest największą rzeczą na świecie! Nie zamykajcie swych serc, gdy usłyszycie jej głos.

Przytulił ją mocno do siebie. Odrzucony pretendent nachylił się przez chwilę, jak kot do skoku, poczem

sięgnął do kieszeni, wyciągnął rewolwer i skierował lufę w stronę rywala.

— Stop! Precz z tem! Rewolweru używa się tylko w interesach, a nie w sprawach miłosnych! Schowaj to natychmiast i wstydz się!

Słowa te wypowiedział dyrektor Hoff - Jensen, który dotychczas spokojnie siedział w fotelu. Człowiek w masce zatrzymał się natychmiast, jak rekrut pod komendą, opuścił rękę i spoglądał tępo na dyrektora.

— Co, u licha, ma to znaczyć? — wykrztusił.

— Czy nie wstyd ci zamierzać się z rewolwerem w rękę na człowieka, który konkuruje z tobą w miłości?

— Nie widzę tu żadnej różnicy między interesem a miłością. Zabrał mi moją kobietę. Pozatem wie, jak się nazywamy. Czy ma sens pozostawić go przy życiu poto, aby wszystko wypaplał?

Starszy z bandytów, który dotychczas milczał, odczwał się nagle:

— Nie, to niema sensu. Dziewięćset koron i zegarek. Nie, to niema sensu, opowie wszystko policji. Ja — strzelam!

Wyciągnął rewolwer, a towarzysz jego, widząc to, zrobił to samo.

Dwa strzały padły, a równocześnie rozległy się krzyki i ciemność zalała znowu jadalnię willi „Zaciszte“.

### 3.

Gdy po chwili rozjaśniło się, okazało się, że adjunkt Schorn leży na podłodze, jęcząc. Obok, na krześle, siedział Quillander z dziwnym wyrazem trwogi, zdziwienia i bezradności. Zdawał się nie widzieć nic, choć oczy jego były szeroko rozwarte. Jeżeli coś widziały, to chyba tylko zaciętego wroga, pannę Lunden.

Panna Lunden tymczasem wyzwoliła się częściowo z więzów, tak że mogła w każdym razie już stać. Ręce miała wciąż jeszcze związane. Stała, drżąc na całym ciele, nie mogąc wymówić ani słowa.

W drzwiach, prowadzących do kuchni, stała Sara. Czarne jej włosy spadały w nieporządku na jej rozpiętą bluzkę, odkrywającą frywolnie część dojrzałych piersi. Stała z otwartymi ustami, dookoła których nie drgnął nawet cień uśmiechu.

Dyrektor Hoff - Jensen, wyprężony jak posąg, zdawał się słuchać jeszcze echa dwóch wystrzałów. Poprzez swe okulary spoglądał w stronę, gdzie przedtem stał Möbius.

Obydwaj zamaskowani bandyci stali wciąż jeszcze z wyciągniętymi rewolwerami. U ich stóp leżały dwie postacie — Möbius i dziewczyna.

Światło, które wtargnęło do pokoju, nie pochodziło z sufitu, lecz z zewnątrz domu, i wpadało do pokoju przez otwarte okno. Była to wązka, biała smuga światła, które wędrowało od twarzy do twarzy, zatrzymując się na każdej kilka sekund. Twarz panny Lunden była żółta i pomarszczona, jak pergamin, twarz dyrektora Hoff - Jensena szara, jak kurz, twarz adjunkta Quillandera czerwona, jak burgundzkie wino. Gdy adjunkt Schorn uniósł nieco głowę, ukazała się w smudze świetlnej jego plamista, jak u lamparta, twarz. Zaslonił oczy dłońmi i szlochał:

— Ach, nie! Ach, nie!

Napięcie minęło szybko. Światło zgasło nagle i słychać było czyjeś stąpanie, równocześnie ktoś dobierał się do drzwi. Nagle padł strzał i z sufitu osunęło się trochę tynku. Ktoś zaklął w niemożliwy sposób. Na podłodze wily się walczące postacie. Wreszcie zaczęło wszystko przycichać i zapłonęło nagle światło latarki. Adjunkt Quillander i jego goście mogli rozejrzeć się w sytuacji.

Willa „Zacisze“ otrzymała czterech nowych gości. Wszyscy byli ubrani na granatowo, mieli czarne wąsy, szerokie policzki i przenikliwy wzrok. Jeden z nich trzymał rękę na ramieniu dyrektora Hoff - Jensena, dwóch innych trzymało wyższego bandytę, który wrzeszczał, jak szalony; jego niższy towarzysz wił się, jak piskorz, w ramionach czwartego. Ktoś przekręcił kontakt i jasne światło zalało pokój.

— Widzę, że mogę znów zapalić światło.

Słowa te powiedział pan Wessen. Sara krzyknęła i szybko zakryła swą odkrytą pierś. Człowiek, trzymający rękę na ramieniu dyrektora, zgasił latarkę i zapytał, zwracając się do pana Wessena:

— Czy to pan zgasił przedtem światło?

— Tak, właśnie w chwili, gdy obydwaj łotrzy chcieli strzelać — chciałem zapobiec nieszczęściu.

— A z kim mam przyjemność?

— Nazywam się Wessen, jestem adwokatem i prywatnym detektywem ze Szwecji.

— Co pan tu robi?

— Przyszedłem w towarzystwie tej pani, panny Lundén, z jej polecenia.

— Czy zna pan tego pana, tam?

— Nie.

— Dobrze. Niech pan pomoże mi trzymać go.

Pan Wessen skwapliwie chwycił dyrektora Hoff-Jensena za ramię. Dyrektor Hoff-Jensen nie protestował zresztą. Mogłoby się wydawać, że wcale tego nie zauważył. Spoglądał wciąż jeszcze na podłogę, mając oczy utkwione w jeden punkt. Nagle twarz jego drgnęła; z westchnieniem ulgi zwrócił się teraz do Wessena i człowieka z latarką:

— Niech pan tak nie ściska, panie! I co pan tu robi? Czego pan tu szuka?

— Sądzę, że się pan sam domysli.

— Mogę zrozumieć to, co pańscy trzej przyjaciele robią, ale może pan będzie łaskaw powiedzieć mi, dlaczego pan tu stoi i trzyma mię za ramię?

— Sądzę, że pan to rozumie.

— Nie, stanowczo nie. Czy pan wie, kim jestem?

— Tak.

— Wie pan, że jestem dyrektorem Hoff - Jensenem z „Wigilji“.

— Cieszę się, że pan to sam potwierdza.

— Dlaczego więc trzyma mię pan za ramię?

Człowiek z latarką nie odpowiedział. W tej samej chwili walka na podłodze uspokoiła się; trzej mężczyźni w granatowych ubraniach byli zwycięzcami. Było niemal cicho. Tylko adjukt Schorn jęczał wciąż: „Ach, nie! Ach, nie!“

— Dobrze! — powiedział mężczyzna, stojący obok Hoff - Jensena. — Holm, nałóżcie im kajdanki!

Podwładny jego, chcąc wyjąć kajdanki z kieszeni, opuścił jedną rękę z ramieni bandyty, który, korzystając z tego, usiłował się wyrwać. Ale okazało się, że tamten dorósł do swego zadania. W przeciągu kilku minut nałożył kajdanki obydwu bandytom.

— Dobrze! A teraz zajmijcie się tą parą przy drzwiach — powiedział człowiek obok Hoff-Jensena.

Słowa jego działały, jak formułka czarodziejska.

Człowiek, do którego zwrócił się z tym rozkazem, zwrócił się natychmiast w stronę, gdzie na podłodze leżeli Möbius i dziewczyna. Sądząc z ich wyrazu twarzy, oboje byli martwi.

Holm zostawił więźniów pod opieką swego towarzysza i zwrócił się do leżących na podłodze. Szedł powoli, jak gdyby spełniał przykry obowiązek. Stał nad nimi i spozjrzał na swego zwierzchnika.

— Pośpieszcie się, Holm! — usłyszał.

Nachylił się nad nimi. W tej samej chwili nastąpiło

coś zupełnie nieoczekiwanego. Dziewczyna podniosła nagle głowę i zaczęła płakać. Nie zwracając uwagi na Holma, nachyliła się nad Möbiusem i pieśczośliwie dotknęła jego czoła. Panna Lunden drżała na całym ciele.

— Czy żyjesz? Piotrze! Czy żyjesz?

Był to krzyk rozpaczny. Nagle nastąpiło coś nieoczekiwanego. Jak gdyby w odpowiedzi na wołanie ciotki, lub na pieśczołą dziewczyny, adjunkt Möbius podniósł się, zachwiał się i usiadł na podłodze. Błędnym wzrokiem spoglądał na zebranych.

— Co? gdzie? zdawało mi się....

Panna Lunden, której ręce wciąż jeszcze były związane, ukłękła przy nim.

— Jesteś ranny? Gdzie? Ach, Piotrze Ludwiku, myślałam, że już nie żyjesz!

Möbins dotknął swych skroni.

— Nie wiem — zdaje się, że ktoś strzelał.. tu na górze....

Dziewczyna przyglądała włosy. Czerwona rana ciągnęła się wzdłuż skroni, jak krwawa ścieżka. Kula jednego z rewolwerów musnęła lekko jego czoło, nie wchodząc w głębię. Błędny wzrok jego był aż nadto zrozumiały. Panna Lunden wstała, podniosła do góry swe związane ręce i zaczęła tupać nogami.

— Ten niższy to zrobił! to jego wina! jestem pewna, że to on!

Człowiek stojący przy boku Hoff-Jensena powiedział:

— Holm! zdejmijcie im maski, bal się skończył.

Rozkaz jego został natychmiast wykonany.

— Być może, że nie wszyscy tutaj znają tych panów, pozwolę sobie ich przedstawić: pan Giovanni Perrini i pan Piotr Schiött. Pan Perrini posiada pozatem jeszcze sporo innych nazwisk, ale nie mam czasu, aby wyliczyć je wszystkie. Co się tyczy Piotra Schiotta: każda chmura ma srebrny brządek, nie wątpię, że Piotr Schiött

chciałby i ten brzeżek ukraść. Ale czy wolno mi zapytać pana Möbiusa, w jaki sposób dostał się do takiego towarzystwa?

Möbius wstał, ale zachwiał się. Jeden z mężczyzn w granatowym ubraniu okazał się świetnym psychologiem; zerwał się szybko, napełnił szklanę ponczem i podał ją Möbiusowi. Towarzyszyło mu przytem spojrzenie adjunkta Quillandera; przyjrzał mu się dokładniej i mruknął:

— Ach, to ten... Zaczynam rozumieć...

Möbius wypił żółty napój i odetchnął głęboko. Wreszcie mruknął do strażnika Hoff-Jensena:

— Pan wie, jak się nazywam?

— Tak, Piotr Ludwik Möbius ze Szwecji, nauczyciel w Brostacie.

— Skąd pan wie o tem? Czy pan jest detektywem?

— Tak.

— A więc jest pan tu poto, aby mię zaaresztować?

— Jeżeli się to okaże koniecznem. Czy chce pan odpowiedzieć na me pytania? Jak pan się tu dostał?

— Przez jakiś czas byłem więźniem tych ludzi... dziś wieczorem jednak, gdy odeszli, postanowiliśmy.... Wera i ja... uciec. Wera... to znaczy... ja dowiedziałem się, że mieszka tu kilku przyjaciół i chcieliśmy...

— Dobrze! A teraz niech mi pan opowie szczerze i dokładnie, w jaki sposób nauczyciel ze Szwecji dostaje się do towarzystwa takich panów, jak Giovanni Perrini i Schiött.

Perrini i Schiött mieli wprawdzie kajdanki na rękach, ale usta mieli wolne. To też Perrini zaczął kłąć, jak szalony.

— Ach, porco madonna santissima! Przeklęty krokodylu i klecho! Popamiętacie jeszcze, bo ja również nie zapomnę! Z rewolwerem przyjdę, a wtedy, porco dio, porco sacramento! Zobaczycie!

Jeden z mężczyzn w granatowym ubraniu zatkał mu usta. Szef jego zwrócił się do Möbiusa:

— Proszę, niech pan opowiada.

— Było to w Roskildzie — zaczął Möbius. — Byłem tam, aby obejrzeć sobie katedrę. Zostawilem mych przyjaciół w Kopenhadze — pana Quillaudera i pana Schorna, którzy tam siedzą, widzi pan?

— Dostyc miałeś ich towarzystwa, mój chłopcze, nieprawdaż? Mogę to sobie łatwo wyobrazić. Pojechałeś więc do Roskildy, aby pójść do kościoła. Słusznie postąpiłeś. Tego spodziewałam się po tobie, mój chłopcze.

— Właśnie w kościele w Roskildzie popełniłem mój pierwszy fałszywy krok. Obejrzenie kościoła kosztuje pięćdziesiąt oerów. Nie mając nic przy sobie, oszukałem stróża kościelnego na pięćdziesiąt oerów...

— Tak, mój chłopcze, tego nie powinieneś był robić. Ale gdy nie miałeś nic przy sobie, to nic nie szkodzi.

— Nie. Zrobiłem to z premedytacją. Postanowiłem już zgóry nabrać go. Chciałem poznać pokusy. Poto przecież wyjechałem z Quillanderem do Danji.

Adjunkt Quillander przemówił znowu:

— Drogi przyjacielu, chcę ci tylko powiedzieć, że to samo powiedziałem twojej ciotce. Ale przyjęła me słowa w sposób niegodny jej i obraziła mię. Bardzo mię obraziła. I gdybym nie miał szacunku dla starszych pań, mógłbym się uniósł.

Panna Lunden zabrała głos:

— Powiedziałam temu lotrowi, że jeżeli chodzi o to, aby poddać się pokusom i zepsuciu, to z pewnością nie znajdziesz lepszego przewodnika. Ale zapomniałam o wekslach! Piotrze Ludwiku, czy ty...

— Drogi przyjacielu, proszę cię...

— Panie Möbius, czy mógłby pan kontynuować swe opowiadanie, unikając wszelkich rodzinnych dygresyj?



Möbius przesunął kilkakrotnie ręką po swej ogolonej twarzy.

— W nocy nastąpiło włamanie do kościoła i włamywacze zastali mię tam. Zabrali mię i uwięzili w domu pewnej znanej im kobiety.

— W domu pewnej kobiety! Czy to nie u tej, którą przyprowadziłeś ze sobą? I ją nazywasz swą narzeczoną? Ach, Piotrze Ludwiku, gdyby twoja matka — nie, Piotrze Ludwiku, nigdybym się tego nie spodziewała!

— Cioteczko, to nie była Wera, powiadam ci... Wera jest moją narzeczoną.

— Panie Möbius, proszę odłożyć wszelkie inne wyjaśnienia na później i chwilowo trzymać się ściśle tematu. Czy włamywacze zabrali coś z kościoła?

— Zdaje mi się, że zabrali złote wience z kaplicy.

— A potem....

— Zaprowadzili mię do domu, gdzie byłem więźniem.

— Do kogo należy ten dom?

— Do pewnej kobiety.

— Czy poza nią i panem mieszkał jeszcze ktoś w tym domu?

Möbius milczał.

— Czy słyszał pan moje pytanie?

— Tak.

— A więc?

Möbius spojrział przez sekundę na Werę, która na to spojrzenie odpowiedziała zaciekawionym wzrokiem.

— Nie chce pan tego powiedzieć?

Möbius nie odpowiedział. Hoff - Jensen był przecież jej ojcem. Detektyw przypatrywał mu się uważnie.

— Niepotrzebnie się pan waha. Mogę panu sam dokładnie powiedzieć, kto tam mieszkał. Byliśmy w tym domu, zanim przyszedł tutaj. Pani Zingel siedzi teraz za kratkami. Nim nam się to udało, musieliśmy zastrze-

lić najbardziej złośliwego psa, jakiego dotychczas widziałem.

— Czy Nero nie żyje?

— Nie. Ale nie o tym mieszkańcu willi myślałem. Czy chce pan powiedzieć?

Möbius milczał. Detektyw pociągnął Hoff-Jensena za rękę i powiedział:

— Czy mogę przedstawić pana dyrektora Krystjana Hoff-Jensena z towarzystwa „Wigilja“? Spłatał on jedną z najlepszych sztuczek, jakiej od lat nie widziałem! Nieprawdaż, panie Hoff-Jensn, że nie powiedziałem za wiele? Pan Hoff-Jensen powrócił tego roku do kraju z zagranicy, gdzie przez szereg lat dawał się we znaki tamtejszym władzom. Przeszłość pana Hoff-Jensena jest czarna. Pan Hoff-Jensen zebrał zagranicą trochę oszczędności i chciał je ulokować w dobrym interesie. Zastanowił się przez chwilę i założył towarzystwo ubezpieczeń „Wigilja“.

Detektyw przerwał na chwilę i mocniej ujął swego więźnia za rękę. Pan Wessen poszedł za jego przykładem. Möbius spoglądał to na Werę, to na jej ojca. Pana Lunden przesywała go spojrzeniami, jak sztylety. Quillandcr wbił tępe spojrzenie w swego gościa. A adjunkt Schorn powtarzał nieustannie swe „Ach, nie! Ach, nie!“ Detektyw kontynuował:

— Zadaniem „Wigilji“ była opieka nad mieniem jej klientów w dzień i w nocy. Szczególnie w nocy. W tym celu zaangażowała cały sztab współpracowników, z których każdy miał conajmniej elementarne pojęcie o zasadach współczesnego włamywania.

Popatrzył przez chwilę na Hoff-Jensena, który drżał na całym ciele.

— Jako urzędnicy towarzystwa ubezpieczeniowego „Wigilja“ mieli oczywiście wolny wstęp do wszystkich domów, z czego też korzystali. Gdy tylko odkrywali coś

wartościowego, ukazywali swe istotne oblicze. Wkradali się zabierali to, co uważali za stosowne, i uchodzili. Wkrótce oni sami odkrywali włamanie i kradzież, o czym zawiadamiali natychmiast policję, zacierając oczywiście za sobą wszelkie ślady. Oto są zasady handlowe „Wigilji“, której dyrektorem jest pan Krystjan Hoff-Jensen.

— Ubezpieczyłem się właśnie dziś u pana Hoff-Jensena — powiedział Quillander.

— Ach, tak. Zaczynam rozumieć. A wieczorem odwiedzili pana jego ludzie... Ale przerwałem panu, panie Möbius. Czy ma pan coś jeszcze do powiedzenia?

Möbius potarł czoło nerwowym ruchem.

— Tak... tak... Czy chce mię pan aresztować?

— Dotychczas nie widzę powodu. To, że pana uprowadzili i zamknęli, nie jest jeszcze pańską winą. Przypuszczam, oczywiście, że pańskie zeznanie opiera się na prawdzie. Dlaczego więc miałbym pana zaaresztować?

Möbius drgnął.

— Z powodu... z powodu...

— A więc? Słucham.

— Z powodu... Pomogłem im raz w kradzieży. Jednaście tysięcy koron, jak powiedziała pani Zingel. Powiedziałem ci już przedtem, cioteczko, że jestem złodziejem.

Panna Lunden obudziła się z hipnozy i skierowała spojrzenie na dyrektora Hoff-Jensena.

— Nie! Wykluczone! Jeżeli ktoś jest złodziejem, to pan Quillander. Podpisywał twe nazwisko na...

Adjunkt Quillander zapomniał również o swych sprawach z „Wigilją“.

— Muszę przyznać, że miałeś dziwne przeżycia, drogi przyjacielu, odkąd widzieliśmy się ostatni raz. Śniadanie wówczas było bardziej harmonijne, niż dzisiejsze

kołacja. Czy mogę pana zapytać o coś, panie detektywie?

Ale detektyw nie spuszczał z Möbinsa swych oczu.

—A więc pan przyznaje, że był pan tam i brał w tem udział? Chodzi właśnie o „Vanadis“. Proszę, niech pan mówi...

Möbius stal z pochyloną głową i stłumionym głosem zaczął swe opowiadanie. Mówił o tem, że po pierwszym swym upadku w Roskildzie postanowił nie ulegać już dalszym pokusom; o tem, jak zloczyńcy wysunęli swe żądania; jak myślał, że uda mu się ich oszukać, wobec czego poszedł z Perrinim do towarzystwa „Vanadis“; i wreszcie o tem, że zamiast powiedzieć to, co chciał powiedzieć, pomógł im, chociaż nie wiedział, na czem polegał ich plan.

Detektyw przerwał mu:

— I nie wie pan dotychczas na czem polega ten plan?

— Nie.

— Jakto? Nie rozumie pan tak prostej rzeczy?

— Zapewniam, że nie.

— Przypomina pan sobie, że w „Vanadisie“ siedziało dwóch urzędników?

— Tak, panowie Stewén i Lindell.

— Słusznie. A z kim pan się umówił?

— Z panem Stewénem.

— Czy wie pan dlaczego?

— Nie.

— Ha, ha... Bo przyjaciele pańscy chcieli go usunąć z drogi... W stosunku do Lindella było to niepotrzebne, bo Lindell jest przyjacielem Schiötta. Dlatego właśnie. Ha, ha...

Detektyw zaczął się śmiać.

— Nieprawdaż, panie Schiött, że to było zabawne? A co pan na to, panie dyrektorze? Co? Jakież zabawne!...

Hoff-Jensen stał z tępym wyrazem twarzy. Schiött leżał na ziemi, z kajdankami na przegubach rąk.

— Tak, to było aż nazbyt zabawne! — podjął znowu detektyw. — Pan Schiött i pan Lindell ułożyli wszystko bardzo sprytnie. Pan Lindell miał czuwać, pan Schiött miał przyjść, związać Lindella i obrabować kasy. Tak się też stało. Zaaranżowali małą walkę, ażeby wszystko naturalniej wyglądało. Ale tu nastąpiło coś nieprzewidzianego. Pan Schiött uderzył pana Lindella nieco mocniej, niż trzeba było. Pan Lindell mu oddał. I zanim się zorientowali, powstała regularna bójka, zupełnie na serjo. Po dziesięciu minutach pan Lindell wyrzuca Schiotta za drzwi i obiecuje mu zbić go dokładniej, jeżeli odważy się raz jeszcze zajrzeć do „Vanadis”. Ha, ha... Niech pan przyzna, że to jest arcyzabawne.

Möbius zrobił jeden krok naprzód.

— Ale w takim razie...

— Co?

— W takim razie nie jestem złodziejem! W takim razie nie pomogłem im przecież w kradzieży!

— Właściwie nie, ale według litery prawa jest pan odpowiedzialny za usiłowanie. Że kradzież nie udała się, nie znaczy...

W tej chwili nastąpiło coś, czego nikt się nie spodziewał. Czyżby Hoff-Jensen i Perrini dali sobie potajemnie jakiś znak? W każdym razie nie zauważył tego nikt. Nagle Perrini zerwał się, podniósł ręce do góry i z całych sił uderzył kajdankami w głowę najbliższego detektywa, poczem porwał z podłogi Schiotta i pociągnął go za sobą do przedpokoju. Tam znalazł kontakt elektryczny i skręcił światło. Jadalnia willi „Zacisze” znalazła się znowu w ciemnościach; słychać było, jak ktoś wyskoczył przez okno. Zabłysło światelko latarki, a po chwili ktoś zapalił światło. W pokoju nie było ani Schiotta, ani Perriniego, ani dyrektora Hoff-Jensena.

Detektywi zmagali się ze sobą, przekonani wzajemnie, że każdy bije się z jednym ze złoczyńców. Główny detektyw zorjentował się pierwszy i wyskoczył przez okno w pogoni za dyrektorem; trzej pomocnicy rzucili się do przedpokoju za Schiöttem i Perrinim. Pan Wessen odezwał się:

— Prawdopodobnie ich złapią. Jeżeli nie teraz, to później. W każdym razie zostałem przez pannę Lunden zaangażowany poto, aby sprowadzić pana Möbiusa do Szwecji. Jeżeli pan Möbius pozostanie tu, duńscy detektywi mogą go zaaresztować. Jeżeli go nie zastaną, można będzie sprawę zatuszować. Ale nie mamy ani chwili do stracenia. Musimy uciekać do Szwecji.

— Do Szwecji?

— Panie Wessen, jest już wpół do drugiej...

— Może pan jechać z moją ciotką, panie Wessen, ja zostaję tutaj.

— Nie chcesz pojechać z nami, Piotrze Ludwiku? — zapytała panna Lunden.

— Nie, cioteczko.

— Czy nie rozumiesz tego, co mówi pan Wessen?

— Rozumiem. Ale obowiązkiem mym jest pozostać tutaj. Za wiele popelnilem, aby teraz odjeżdżać.

— Głupstwo! Nonsens!

— Słyszałaś, co mówił duński detektyw. Nie kradłem wprawdzie, ale nie jest to moja zasługa, że się nie udało. Wobec prawa jestem tak samo odpowiedzialny, jak gdybym kradł...

— Co za głupstwa pleciesz!

— Nie, cioteczko. To prawda. Zostaję.

Panna Lunden zobaczyła, że myśli to poważnie, zmieszala się i powiedziała:

— Rozumiem! Zostajesz, aby jej dotrzymać towarzysstwa!

Wskazała na Werę oczyma, w których tliły się iskry.

— Wolisz przy niej zostać, zamiast wrócić do domu!  
O, gdyby to twoja matka wiedziała!...

— Tak, cioteczko, zostaję, także dlatego. Przecież z tego powodu opuści syn swego ojca i matkę swoją i...

— Piotrze Ludwiku, nie myślisz tego poważnie!

— Jednak, cioteczko, zupełnie poważnie.

Panna Lunden zbladła i zwróciła się nagle do dziewczyny:

— Niech pani mu powie, by wyjechał i że nie wolno mu tu zostać ani przez chwilę, bo inaczej dostanie się do więzienia!

Wera cofnęła się i powiedziała:

— Słyszysz, co twoja ciotka mówi! Myślę tak samo. Nie powinieneś tu zostać. Pójdiesz do więzienia. A jeżeli to się stanie, to będzie moja wina.

Möbius przyciągnął ją do siebie. Jego świeżo ogolona szczeka drżała ze wzruszenia, ale i stanowczości zarazem.

— Słyszę, co mówisz. Ale nie zrobię tego. Zostaję tu, przy tobie.

Spojrzenia panny Lunden błądziły po sali, szukając oparcia. Nagle zobaczyła Sarę, która stała z szeroko otwartymi ustami, i krzyknęła:

— Precz stąd!

Sara uciekła. Nagle twarz panny Lunden rozjaśniła się. Powzięła pewien plan.

— Zostajesz tu, ażeby być przy niej. Ale... gdyby ona także...

Wymawiała słowa swe z widocznym wysiłkiem, nie patrząc przytem siostrzeńcowi w oczy.

Möbius spojrzał na nią i milczał.

Potem spojrzał na Werę.

— Cioteczko — powiedział Möbius.

Panna Lunden milczała, prowadząc ze sobą samą zaciętą walkę.

— Cioteczko!

Panna Lunden przewyciężyła się. Młoda dziewczyna pochodziła coprawda z nieświatłej rodziny, ale nie wyglądała źle.

— Jeżeli ona również wyjedzie z nami? — zapytała wreszcie, a w głosie jej drżała jeszcze siła zwycięstwa.

— Czy mówisz poważnie, cioteczko?

— Tak — powiedziała — mówię to poważnie.

— Ale musisz ją kochać, cioteczko, zasługuje na to.

— Dobrze, ale on nie pojedzie z nami!

Powiedziała to w odpowiedniej chwili.

Adjunkt Quillander stał właśnie pod lampą i z facho-wością urzędnika bankowego przyglądał się weks-łom, które Schiött zabrał przedtem pannie Lunden i zo-stawił na stole. Chciał je właśnie zmiąć i włożyć do kie-szeni, gdy nastąpił atak panny Lunden.

— Ha, ha... Przypuszczałam.... Oczywiście! Ale teraz pomówimy o wekslach! Czy ty je podpisywałeś, Piotrze Ludwiku?

— Drogi przyjacielu — powiedział Quillander, rozwi-ajając weksle i opierając się próbom panny Lunden zdo-bycia ich. — Twoja czcigodna ciotka ma pewnego ro- dzaju idée fixe i idiosynkrazję w stosunku do mnie. Za- uważyłem to dzisiaj niejednokrotnie. Staralem się na- wet odbiegać od tematów, które doprowadzają twą cio- tkę do zdenerwowania. Ale teraz musisz mi zrobić tę łaskę i przyczynić się do tego, aby twa ciotka pozbyła się tych przykrych myśli. Jak słyszysz, kilka naszych wspólnych papierów wywołało gniew twej ciotki. Czy chciałbyś potwierdzić, że podpisałeś te weksle?

— Cioteczko — powiedział Möbius — jest prawdą, że podpisałem kilka weksli dla Quillandra. W jaki spo- sób dowiedziałaś się o tem?

— Z banku nadeszły awisa — powiedziała panna Lunden — wykupiłam je więc i przyjechałam tutaj, aby



ciebie ratować. Ale jak mogłeś to zrobić? Ile takich weksli podpisałeś?

— Nie wiem — powiedziała Möbius — Quillander będzie wiedział.

— Cztery! — powiedział adjunkt Quillander. — Mam je przy sobie. Ponieważ ciotka twa wykupiła je, nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy ich zniszczyć. Dostaniesz ode mnie kwit na tę sumę.

— Nie! — krzyknęła panna Lunden. — Powiedz mu, niech zaczeka! Ile weksli było? Cztery, czy też tylko trzy?

— Czy było więcej, niż trzy? — zapytał Möbius.

— Cztery, drogi przyjacielu, pamiętasz chyba. Jak się już rzekło, ponieważ ciotka twoja, jak *dea ex machina*, dokumenty te wykupiła, nie widzę przeto powodu, aby...

— Piotrze Ludwiku! Musisz sobie obejrzeć te weksle, zanim on je zniszczy, proszę cię.

— Pokaż mi je — powiedział Möbius — widzisz, że ciotce mej zależy na tem.

Möbius odszedł od Wery i stanął pod lampą obok adjunkta Quillarda.

— Mój drogi — powiedział — wiesz przecież, że ci ufam. Ale tylko dla uspokojenia mej ciotki pozwól mi obejrzeć te papiery.

Adjunkt Quillander zaczerwienił się, a potem znowu zbladł. Pod zimnem spojrzeniem panny Lunden podał wreszcie Möbiusowi cztery podłużne papierki.

— A więc, proszę.

Nastąpiła chwila bezwzględnej ciszy, którą zakłóciło tylko głębokie westchnienie adjunkta Schoraa; siedział ukryty za płachtą „Svenska Dagbladet“, którą przywiózł pan Wessen. Ale gdzie był Wessen? Nikt nie pytał o to, ale pana Wessena nie było w pokoju. Nagle zabrzmiał gniewny głos adjunkta Quillandera:

— Zastanawiasz się, drogi przyjacielu! Nie chcesz przecież twierdzić, że...

Möbius przetarł sobie oczy i spojrzal na Quillandera.

— Czy rzeczywiście podpisałem ten weksel na tysiąc pięćset koron?

Adjunkt Quillander przybrał majestatyczną postawę, spojrzal na Möbiusa i piorunującym głosem powiedział:

— Dosyć! Szukam słów, ale nie znajduję ich. Czy ty podpisywałeś? Pozwolisz, że się zapytam: kto w takim razie podpisywał, jeżeli nie ty? Może Schorn? Albo ja?

Möbius przetarł sobie znowu oczy. Panna Lunden chciała coś odpowiedzieć, ale Quillander zmusił nawet ją do milczenia.

— A może ja? — powtórzył Quillander.

W tej samej chwili doszedł z za gazety jakiś głos, a zaraz potem ukazała się blada twarz adjunkta Schorna.

— Tak, Quillander, to ty podpisałeś ten weksel!

Quillander rzucił się, jak ukąszony przez żmiję.

— Schorn! — krzyknął — że kretynizm czyhał na ciebie jako na pewną ofiarę, o tem wiedzieliśmy już od dawna. Ale nie przypuszczaliśmy, że nastąpi to tak szybko...

Adjunkt Schorn przerwał mu. Wyraz niepewności i lęku znikł z jego twarzy zupełnie. Spojrzal Quillanderowi prosto w oczy i powiedział:

— Powiedz prawdę, przyznaj się! To niema sensu! Möbius zaczął podpisywać ten weksel, ale wieczne pióro nie dopisało i wtedy Möbius wziął drugi blankiet i podpisał, a ten z niedokończonym podpisem wzięłeś ty i dopisałeś resztę nazwiska. Wyznaj prawdę!

Adjunkt Quillander robił wrażenie człowieka, który lada chwila runie wskutek zbyt silnego uderzenia krwi do głowy. Niezliczone tyrady przeciągały mu przez myśl. Ale adjunkt Schorn uniemożliwił je kilkoma prostymi słowami.

— Quillander! Opamiętaj się! I nie udawaj nic przed nami. Nie jest to już zresztą potrzebne. Twój stryj umarł, w gazecie jest nekrolog.

Szybkim ruchem wyrwał mu Quillander gazetę z dłoni. Po chwili opuścił ją. Wreszcie spojrzął na Schorna, a potem na Möbiusa.

— Mój stryj umarł... Tak, tak.... To było do przewiedzenia. No, tak... Smutna wiadomość... Ale co chciałem powiedzieć?

Chrząknął i po chwili powiedział z godnością:

— Co chciałem powiedzieć? Ach, tak. Wraz z życiem mego stryja znika, jak ci wiadomo, drogi przyjacielu, wszelkie ryzyko dla tych, którzy wraz ze mną podpisali weksle. Wobec czego proponuję, abyśmy przerwali dyskusję na ten temat.

A zabierając z rąk Möbiusa weksle, dodał:

— I ażebyśmy je zniszczyli celem uniknięcia powtórzenia podobnych nieporozumień. Sumę tę otrzymasz natychmiast po ogłoszeniu testamentu.

Nie czekając na odpowiedź, podarł weksle na drobne kawalki. Panna Lunden spoglądała na tę jego czynność z milczącą złością. W tej chwili zjawił się pan Wessen.

— Łódź jest przygotowana — powiedział.

— Łódź?

— Tak — potwierdził pan Wessen — wynajęłem motorówkę, która przewiezie nas do Szwecji. Jest tam miejsce na — spojrzenia jego przeglądały towarzystwo i zatrzymały się ironicznie na Quillanderze — na sześć osób oprócz rybaka. Czy jedziemy?

— My tak — powiedziała ciocia Lunden, spoglądając na Quillandera — ale...

— Cioteczko — zawołał Möbius — pomyśl przez sekundę o mnie! Cóż wiemy o wolności woli?! Naprawdę możemy tylko nie kłamać! Jeżeli Quillander kłamie, to

nie oszukuje nikogo, nawet siebie. I gdyby nie Quillander...

— To nie byłbyś wpadł w to wszystko — powiedziała ostro panna Lunden.

— Nie to — powiedział Möbius i spojrzal na Werę.

Panna Lunden milczała. Wkrótce potem lampy elektryczne w jadalni willi „Zacisze“ oświetlały tylko puste fotele, puste butelki i resztki uczy — pierwszej, lecz zarazem i ostatniej — która odbyła się tam pod przewodnictwem adjunkta Quillandera. Po chwili adjunkt Quillander zgasił światło i, jako dobry gospodarz, ostatni opuścił swój dom.

Była pachnąca i ciemna noc letnia. Słowik, którego sprawy miłosne stały widocznie jak najlepiej, śpiewał w jednym z krzaków adjunkta Quillandera. Nagle zjawił się biały jak papier księżyc i zawisł między chmurami, aby rozjaśnić drogę do przystani. Panna Lunden i pan Wessen szli pierwsi, za nimi Möbius i Wera, rzucający jeden cień.

Adjunkt Schorn spoglądał filuternie na Quillandera.

— Teraz może znajdę okazję przyspieszenia z twoją pomocą światowej katastrofy ekonomicznej.

Adjunkt Quillander spojrzal w stronę przystani i powiedział:

— Jest już dostatecznie przygotowana.

KONIEC.

WYDAWCA

I SKŁAD NAKŁADU

PIŚMIENIOWYCH

S. i J. Zielonkowień.

Strywaki, ul. Kusociuski 14







130-

146211  
60182

